PRZEKRÓJ

NR 17/3383 / 27 KWIETNIA 2010 / CENA 4,95 ZŁ
/ W TYM 7% VAT /

projekt okładki: Jan Dziaczkowski

CZAS
Kraków
022152

„Przekrój" obchodzi
65. urodziny!

Ake

KS 371424
9 770033 248007

Zużycie paliwa i emisja CO_2: Ford Focus 1.6 Duratorq TDCi – 4,5 l/100 km, 118 g/km (zgodnie z dyrektywą 80/1268/EEC, cykl mieszany). Na zdjęciu samochód z wyposażeniem opcjonalnym. Szczegóły oferty u Autoryzowanych Dealerów Forda. *koszt: 1 jednostka taryfikacyjna TP S.A. za każdą rozpoczętą minutę połączenia.

Ford Focus.
Przyciągająca siła...
...w nowej, kuszącej ofercie.

Poznaj szybki sposób na wzbudzenie zainteresowania.

1. Odwiedź najbliższy salon Forda.
2. Sprawdź **nową, atrakcyjną, niską cenę** Forda Focus.
3. Dobierz jeden z **promocyjnych pakietów wyposażenia**.
4. Wybierz niezwykle **korzystny wariant ubezpieczenia**.
5. Skorzystaj z **opłacalnego kredytu**.
6. Wyjedź z salonu z komfortem **potwierdzonego bezpieczeństwa oraz niezawodności**.
7. Przyzwyczaj się do bycia w centrum zainteresowania dzięki **stylistyce Ford kinetic Design**.

Zapraszamy do salonów Forda.

FordFocus | Feel the difference

www.ford.pl
Infolinia: 801 50 60 70*

FordCredit

NA POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU OBSZERNIEJ NIŻ ZWYKLE NIE PISZEMY...

...o tym, że długo zastanawialiśmy się – z oczywistych powodów – kiedy wypada nam znów zacząć pisać o tym, o czym nie piszemy. Skoro jednak wszyscy wokół piszą na potęgę, osiągnęliśmy w końcu kruche przekonanie, że napisanie kilku słów o nieopisanym ujmy ni nam, ni nikomu nijak nie przyniesie.

...o tym, że rozczytując się w mnogich ostatnio napisanych słowach, szukaliśmy fundamentu, na którym można by wesprzeć nasze niepisanie. I przypomnieliśmy sobie naukę Hölderlina, że „co się ostaje, ustanawiają poeci", i w słowach wierszy jęliśmy szukać opoki.

...o Marcinie Wolskim nie piszemy zatem, który, zaiste, ustanowił rekord, na chybcika przepisując piękny wiersz Juliana Tuwima „Pogrzeb prezydenta Narutowicza" na nieudolną rymowankę pod tytułem „Na śmierć prezydenta Kaczyńskiego". Bo wstyd pisać o czymś, co nie tylko grzeszy przeciw dobremu smakowi, ale i haniebnie urąga prozodii.

...o Jarosławie Marku Rymkiewiczu nie piszemy takoż, choć wiersz „Do Jarosława Kaczyńskiego" istotnie nas przejął, a jego soczystym dystychom niczego nie chcemy zarzucić. Bośmy zlękli się, że pisząc niepojęte „Ojczyzna jest w potrzebie – to znaczy łajdacy/Znów wzięli się do swojej odwiecznej tu pracy" albo „Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei//Którzy chcą nam ją ukraść i odsprzedać światu", stary mistrz z milanowskiego zaścianka zgłosił akces do szajki poetów niezrozumiałych, którzy tyle już szkód literaturze naszej wyrządzili.

...o Wojciechu Wenclu, poecie w średnim już wieku, który na stronie magazynu „Czterdzieści i cztery" pomieścił datowany na 10 kwietnia utwór „In hora mortis", gdzie powiada na przykład: „gdy przestaną nas hartować strzałem w potylicę/samoloty będą spadać za lub przed lotniskiem". Bo Wencel dał się już nieraz poznać jako autor zdolny do wszystkiego w imię niewymuskanego katolicyzmu oraz prostych, kibicowskich wartości i, prawdę powiedziawszy, niczego innego się po nim nie spodziewaliśmy.

...o Szymonie Babuchowskim, który, widać, pozazdrościł starszemu koledze i na tej samej stronie umieścił swój „Tren smoleński" (na końcu trenu mamy „samolot nawleczony na ucho igielne" i datę „11–13 kwietnia"). Bo mu współczujemy mentora.

...o natchnionym felietonie Dominika Zdorta z „Rzeczpospolitej", z którego dowiedzieliśmy się, iż „powszechnie zaakceptowaliśmy fakt, że nie wolno rozdziału państwa od Kościoła traktować rygorystycznie, ale wręcz odwrotnie – że w ważnych dla narodu chwilach Kościół i państwo zawsze muszą być razem. Majestat żałobnych uroczystości w wawelskiej katedrze spowodował, że bez znaczenia są już protesty przeciw religii w szkole czy wieszaniu krzyży w klasach". Bo przeraziliśmy się nagle, że także prozaicy, a nawet żurnaliści stanowić coś mogą, i dreszcz przebiegł nam po plecach.

...na koniec o tym, jak nam smutno i straszno czytać było to wszystko, o czym nie napisaliśmy.

– *Marcin Sendecki*

NA OKŁADCE: ILUSTRACJA IANA DZIACZKOWSKIEGO

PRZEKRÓJ

6 | **Świat według „Przekroju"** Katarzyny Janowskiej, Orbita „Przekroju" Mieczysława Czumy, życzenia Mrożka
8 | **Krótko**

KRAJ I ŚWIAT

10 | **Dyskryminacja po polsku**, czyli homozakazy
16 | **Wojny narkotykowe** – zwycięzca jest tylko jeden
20 | **Nie tylko żałoba.** Czego nas nauczy smoleńska tragedia
22 | **Stacja Arctowski** na lodzie
26 | **Traktorem po bankomat**

SYLWETKA

28 | **O wolności i ziemście. Najsztub rozmawia z Wojciechem Jaruzelskim**
32 | **Zapomnijcie o Madonnie. Popem rządzi Lady GaGa**
55 | **Krystyna Skarbek**. Polska agentka na usługach brytyjskiego wywiadu

PRZEKRÓJ NA 65. URODZINY

36 | **Zdarzyło się w 1945 roku**
37 | **10 rzeczy, które musisz wiedzieć o Polsce sprzed 65 lat**
38 | **Ludwik Jerzy Kern** – pół wieku w służbie „Przekroju"
40 | **Humor „Przekroju"**: cały ten błysk
42 | **Wojciech Plewiński** i jego muzy
45 | **Bieńczyk i Pióro.** Bez keczupu
46 | **Podróż po świecie**, który dawno przeminął. Prowadzi Kika Szaszkiewiczowa
48 | **Eile dał nam jazz.** A jazz poprowadził ku dorosłości
50 | **Daniel Mróz** i jego legendarne kreski
54 | **Filutek, Wacuś, Kern.** Na deser „Przekrój" w poprzek

CYWILIZACJA

60 | **Brzemienne w skutkach igraszki wulkanów**
62 | **Usłyszeć orkiestrę** z „Titanica"? To możliwe
62 | **Też pytanie!**
64 | **Korzystaj.** Jeden ślad na każdą okazję

KULTURA

68 | **Sztuka:** Bujnowski fenomenalny
70 | **Muzyka:** Słowniki McFerrina
71 | **Film:** Bridges popełnia grzech pychy
72 | **Muzyka:** Country ma sens
74 | **Książki:** Goźliński nie dla miłośników narodowej mitologii

ZAWSZE W „PRZEKROJU"

76 | **Ładne rzeczy** Oli Salwy
78 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką i felietonami
80 | **Stopklatka**
82 | **Dziennik** Jerzego Pilcha
78 | **Raczkowski**

LAST MINUTE
+ Krzysztof Płyta +

Majowa dieta: Jaka jest najpopularniejsza metoda spalania tłuszczu? Grill.

(1) Test in vitro. (2) Skuteczność SP94™: test in vitro przy użyciu węgla aktywnego C14. (3) Skuteczność Aminexil SP94™ po 90 dniach: test kliniczny w grupie 48 kobiet.
* IMS Pharma Trend International Europe 9 (segment środków przeciw wypadaniu włosów), wartość sprzedaży Dercos, 2008.

Stres, wahania hormonalne, zmiany pór roku: kiedy włosy wypadają, należy działać podwójnie.

Laboratoria Vichy stworzyły kurację przeciw wypadaniu włosów, aby włosy były lepiej przytwierdzone(1) i mocniejsze(2).

DERCOS AMINEXIL SP94™
KURACJA PRZECIW WYPADANIU WŁOSÓW DLA KOBIET

Udowodniona skuteczność zapobiegania wypadaniu włosów już po 3 tygodniach
Średnica włosa: +22,5%(3)

NR 1 W APTEKACH WŚRÓD PREPARATÓW PRZECIW WYPADANIU WŁOSÓW*
Zapytaj farmaceutę o poradę

ZDROWIE JEST PIĘKNE
VICHY LABORATOIRES

Indywidualna, kompleksowa diagnostyka, porady ekspertów oraz program punktowy, dzięki któremu kupując dermokosmetyki, zbierasz punkty i wymieniasz je na nagrody. Wejdź na www.VICHYCONSULT.pl



Podanie

Do prezydenta Krakowa, pana Jacka Majchrowskiego

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

INTERNAUTOM ZADALIŚMY PYTANIE: MÓWIĘ „PRZEKRÓJ", MYŚLĘ... ODPOWIEDZI PRZYSZŁO wiele, a moja ulubiona jest najprostsza: Mówię „Przekrój", myślę.

A ja? Mówię „Przekrój", myślę Marian Eile. Przygotowując jubileuszowy numer pisma, który powinien ukazać się 15 kwietnia, ale z racji ostatnich wydarzeń pojawia się z opóźnieniem, zastanawiałam się, na czym polegał geniusz pierwszego redaktora.

Pan w przydeptanych kapciach i znoszonych spodniach obdarzony był absolutnym słuchem do autorów, nowinek kulturalnych, światowej literatury, europejskich mód, które przez ponad 20 lat odnotowywał na łamach „Przekroju". Kiedy oglądam stare roczniki, uderza mnie przede wszystkim ulotny wdzięk, nonszalancja w projektowaniu stron, duch niewymuszonej zabawy. Legenda głosi, że Eile redagował od dziecka. Już jako uczniak miał stworzyć pisemko pełne graficznych drobiażdżków, zabawnych rysunków, tekścików. Ot, miniaturka przyszłego „Przekroju" osiągającego pod jego ręką milionowe nakłady.

●

TUŻ PO WOJNIE W KRAKOWIE NA METR KWADRATOWY PLANT PRZYPADAŁO KILKU, JEŚLI NIE kilkunastu poetów, pisarzy, artystów. Kłębili się w słynnym domu literatów na Krupniczej, a dla złapania oddechu spacerowali po Plantach, które nieodmiennie prowadziły ich do „Przekroju". Tam za słynnym biurkiem z blatem obitym czerwonym suknem, z latami coraz bardziej poszarpanym (nie widziałam go, niestety, bo gdzieś przy okazji zmian właścicielskich przepadło, ale szczęśliwego znalazcę zapraszam z biurkiem do „Przekroju" – nagroda go nie minie), siedział Eile pozwalający na swoich łamach popraktykować a to młodziutkiemu Kernowi, a to Gałczyńskiemu, a to Waldorffowi, Kisielewskiemu, Tyrmandowi czy Mrożkowi, który przysłał nam z Nicei urodzinowy rysunek.

●

NA STRONACH DAWNEGO „PRZEKROJU", W KTÓRYM CZUJE SIĘ RĘKĘ DŻENTELMENÓW Z PRZEDwojennym sznytem, było dużo śmiechu i zabawy, ale była też misja. Marian Eile chciał zaszczepić zasklepionemu w PRL-owskiej siermiężności społeczeństwu wrażliwość na rzeczy przede wszystkim wartościowe, ale też nowe. Stąd jego fascynacja jazzem, rock and rollem, modą, czyli – jak powiedzielibyśmy dziś – szlachetną popkulturą, z którą pismo cudownie oswajało. Na „Przekroju" wychowały się pokolenia – to banał, ale prawdziwy, więc nie wstydzę się go przytaczać, tym bardziej w słusznej sprawie.

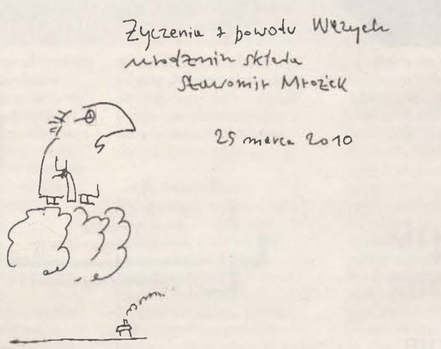
Z okazji 65. rocznicy trwania „cywilizacji »Przekroju«" (termin Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego) stworzonej przez Mariana Eilego zwracam się z uprzejmą prośbą do pana Jacka Majchrowskiego, prezydenta stołecznego miasta Krakowa, o zmianę nazwy ulicy Małej na ulicę Mariana Eilego. To tam w dwupokojowym mieszkanku nadredaktor Eile podejmował gości, wymyślał nowe rubryki, inspirował autorów, którzy przez długie lata po jego odejściu szli tropem jego pomysłów.

Wiem, wiem, że parę lat temu rada miasta postanowiła, że w Krakowie nie można zmieniać istniejących nazw ulic, a jedynie nadawać nazwy nowym. Ale czy reguły nie są po to, by robić od nich wyjątki?

Ja w każdym razie w imieniu tygodnika „Przekrój" wysyłam petycję w sprawie zmiany nazwy ulicy na dziennik podawczy. Tak chcą procedury.

●

„ZACIEKAWIĆ CZYTELNIKA, PODRAŻNIĆ, NIE POZOSTAWIĆ GO OBOJĘTNYM – O TO NAM głównie chodziło" – pisze we wspomnieniowej książce wieloletni redaktor Andrzej Klominek. I nam dziś też o to w „Przekroju" chodzi. □





Czas przeszły dokonany

Kiedy przekraczałem progi redakcji, byłem chyba najmłodszym naczelnym pisma o zasięgu ogólnopolskim

MIECZYSŁAW CZUMA

POŁOWĘ SWOJEGO DOROSŁEGO ŻYCIA SPĘDZIŁEM W „PRZEKROJU". PRZEZ PRAWIE 28 LAT (1973–2000) w zmieniających się politycznych krajobrazach dane mi było kontynuować i rozwijać przesłanie Mariana Eilego. Od początku swojego istnienia tygodnik starał się krzewić życzliwość, budzić uśmiech, uczyć i bawić. Od początku zapraszał na swe łamy autorów wybitnych, kształtował gusty i obyczaje, zaspokajał ciekawość świata. Nie tylko pokorą, ale też z determinacją chciałem sprostać tym wyzwaniom.

W szaroburej rzeczywistości realnego socjalizmu byliśmy natchnieni jedną myślą: być jak najbliżej Czytelnika (pisanego zawsze przez duże C), towarzyszyć mu w jego bardzo prywatnym myśleniu o świecie, podpowiadać mu, jak swoje życie – jedno przecież jedyne – uczynić lepszym i bogatszym wewnętrznie, nawet przy tej niesprzyjającej politycznej pogodzie. Inni – pouczali, nakazywali, objawiali, my – z uporem stroniliśmy od prostackiej dydaktyki.

W czasach kiedy poeci pisali wiersze o tym, że „gromady są piękne", nasz tygodnik starał się prowadzić intymny, kameralny dialog z każdym pojedynczym odbiorcą. Podpowiadał, co czytać, jak się ubierać, co oglądnąć w kinie i teatrze, zachęcał do uprawiania sportu, objaśniał zalety zdrowego żywienia, upowszechniał mało znane warzywa, oznajmiał, że fajka mniej szkodzi, przestrzegał, że otyli żyją krócej. Swoistym fenomenem była umiejętność poruszania i aktywizowania Czytelników. To oni proponowali, a także zasilali dziesiątki, setki najprzeróżniejszych rubryk i nadsyłali materiały do wspólnie prowadzonych okienek.

Kiedy przekraczałem progi redakcji, byłem chyba najmłodszym naczelnym pisma o zasięgu ogólnopolskim. W jego legendę trzeba było wpisać się mocnym akcentem: do współpracy zaprosiłem Melchiora Wańkowicza i Jarosława Iwaszkiewicza, na łamy powrócili odsunięci od nich wcześniej Kamyczek (Janina Ipohorska) i Eile.

Stroniliśmy od polityki. Przeznaczony dla władzy przysłowiowy ogarek stanowiły zawsze dwie czysto informacyjne kolumny. Tylko raz jeden zostaliśmy wplątani w wielką politykę, i to zupełnie bezwiednie. Numer 1914, który błyskawicznie wycofano z kiosków, nosił datę 13 grudnia 1981 roku. Wydrukowano go w całkowitej czerni, bo wszelkich kolorowych farb wtedy zabrakło. Na okładce czarne sylwetki posępnych ptaków unosiły się nad jakimś kolczastym drutem, a poniżej przedstawiona była ulica Floriańska z szarymi sylwetkami ludzi przemykających wśród śnieżnej zamieci. A wszystko to obejmowała czarna rama. Ponieważ numer robiło się z dwutygodniowym wyprzedzeniem, wszyscy pytali: skąd już wtedy wiedzieliście, że będzie stan wojenny i powstanie WRON?

Najwyższy nakład w całej swojej historii miało pismo w latach 1976–1980. Sprzedawało się wtedy 760 tysięcy egzemplarzy, i to bez jakichkolwiek zwrotów. Numery świąteczne i wakacyjne sięgały miliona. Pismo prenumerowano w 102 krajach, za granicę szło kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, w tym do Związku Radzieckiego, gdzie „Przekrój" był prawdziwą „bramą na Zachód"– prawie 10 tysięcy. To wtedy Josif Brodski i inni uczyli się na tej lekturze języka polskiego. Czytali je polonusi w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Anglii, we Francji, Włoszech i nie tylko tam. Na końcu tej długiej tabeli znajdował się maleńki Mauritius. Tam – wstyd się przyznać – prenumerowano tylko jeden egzemplarz.

Co z tamtych i późniejszych czasów wpisało się w naszą zbiorową świadomość, co stało się trwałą cząstką naszej obyczajowości i kultury? Na tych łamach profesor Aleksander Krawczuk przedstawił „Poczet cesarzy rzymskich", fascynujący serial o aktualnych w każdej epoce mechanizmach władzy. Tu ksiądz profesor Józef Tischner po raz pierwszy obwieścił światu „Historię filozofii po góralsku" (cenię sobie dedykację na egzemplarzu wydania książkowego: Za kumoterskie poparcie – Boże pomogoj). Serwowane co numer przez Janka Kalkowskiego „Jedno danie" stało się jaskółką tak bardzo teraz modnych poradników kulinarnych. Dokumentem epoki pozostaną podszyte żartobliwą filozofią wierszowane opowiastki Ludwika Jerzego Kerna. Wtedy właśnie pismo gościło na swoich łamach za sprawą Zbyszka Rogowskiego (jak żadne inne, na zasadach całkowitej wyłączności) najjaśniejsze ze światowych gwiazd: Gregory'ego Pecka, Jacka Nicholsona, Sofię Loren, Alberta Morawię i wielu, wielu innych. No i wreszcie Daniel Mróz: poeta czerni i bieli, po galicyjsku staroświecki i wyrafinowanie nowoczesny – wówczas wzniósł się na szczyty swojego talentu i otworzył nowy rozdział w dziejach polskiej ilustracji.

65-latek to osobnik doświadczony, który potrafi smakować uroki świata. W tamtych, bliskich mi czasach wyróżniały go autoironia, kokieteryjne, ale jakże sympatyczne wewnętrzne ciepełko, niepowtarzalny styl, dystans do siebie samego. To się Czytelnikowi podobało. I choć ten urodzony i ukształtowany pod Wawelem tygodnik zmienił adres, a także szaty i formułę – wciąż trzymam za niego kciuki i życzę mu jak najlepiej. □

Autor był redaktorem naczelnym tygodnika „Przekrój" w latach 1973–2000

RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘĆ MARKA SZCZEPAŃSKIEGO I WOJCIECHA MATUSKA/AG

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile

ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, **TEL.** 22 525 99 33, **FAKS** 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, **E-MAIL: redakcja@przekroj.pl** lub **imie.nazwisko@przekroj.pl**
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ:** Juliusz Urbanowicz, Marek Zając **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Mysiuk **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Piotr Witek **SEKRETARIAT:** Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33
KULTURA: kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pisternak; stałe współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski
KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wieczorek (redaktorzy); Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawicka, Igor Rycak, Anna Szulc; stałe współpracują: Piotr Najsztub, Bogdan Rymanowski **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor)
Maciej Jarkowiec, Joanna Woźniczko-Czeczott **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; stałe współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki **ROZMAITOŚCI KRZYŻÓWKA:** rozrywka@przekroj.pl,
Marcin Pieszczyk; stałe współpracuje: Ola Salwa, Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedyr. art.), Małgorzata Kloszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTOEDYCJA:** foto@przekroj.pl, Marcin Kącza (szef), Anna Bączek, Bogdan Kędzior, Marek Szczepański;
stałe współpracuje: Kuba Dąbrowski **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Krap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Ciechański **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

GREMI GRUPA

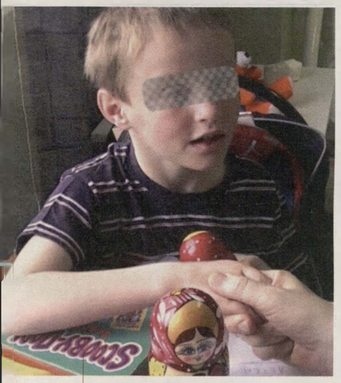
WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKRÓJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, **TEL.** 22 525 99 55, **FAKS** 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz **P.O. DYREKTOR WYDAWNICZY:** Artur Pamiarek **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremecka (szef), Jakub Maszkowski **BIURO REKLAMY „PRZEKROJU":** reklama@przekroj.pl,
Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16, Izabella Cieniuszek tel. 22 525 99 15 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciątek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZEZ WYDAWNICTWO
– należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88
lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: roczny – 202,80 zł, półroczny – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 **PRZEZ RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16, 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



TEN NUMER MIELIŚMY WYCIĄĆ TYDZIEŃ TEMU

KRÓTKO



Dziecko nie wypaliło

Rosja przestała oddawać sieroty do Ameryki

ROSJA ZAWIESIŁA WSPÓŁPRACĘ Z AGENcjami i organizacjami adopcyjnymi w Stanach Zjednoczonych po odesłaniu przez 33-letnią Amerykankę adoptowanego pół roku wcześniej chłopca. 7-letni Artiom Sawieliew do Moskwy przyleciał sam – adopcyjna matka kupiła mu bilet w jedną stronę i zawiesiła na szyi kartkę z informacją, że rezygnuje z opieki. „Dziecko ma problemy psychiczne i jest agresywne. Zostałam oszukana" – napisała Torry Hansen z Shelbyville (Tennessee). Wystraszonego chłopca odebrał opłacony wcześniej przewodnik i zawiózł go do ministerstwa edukacji, któremu w Rosji podlegają sierocińce. – To doprawdy ohydny czyn – ocenił prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew. Szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow zapowiedział, że zagraniczne adopcje są wstrzymane do momentu podpisania przez Rosję i USA porozumienia, które określi obowiązki przyszłych rodziców oraz sierocińców. Według oficjalnych danych Amerykanie w ubiegłym roku adoptowali blisko 1,8 tysiąca rosyjskich sierot. – *rk*

Mur na moście

Mieszkańcy i urzędnicy mają dość ludzi balansujących na balustradach

BUDOWA OGRODZENIA NA MOŚCIE Aurora Bridge w Seattle ma powstrzymać samobójców. Most o wysokości 50 metrów nie tylko łączy brzegi jeziora Lake Union, ale także biegnie nad częścią dzielnicy biur, sklepów i domów mieszkalnych. Przez ostatnie 10 lat zabiło się, skacząc z niego, ponad 50 osób, a od otwarcia mostu w 1932 roku – aż 230. Samobójcy wielokrotnie spadali na parkingi (jeden wprost na stojące auto), dlatego mieszkańcy obawiają się, że kiedyś desperat zabije przy okazji przechodnia, a pracownicy firm i urzędów skarżą się na traumę powodowaną widokiem ludzi balansujących na balustradach. W 2006 roku zainstalowano na moście budki telefonu zaufania, ale to nie pomogło. Dlatego pod koniec tego roku kosztem pięciu milionów dolarów wzdłuż zewnętrznych balustrad powstanie trzymetrowe ogrodzenie. – *syl*

Rehabilitacja w warzywniku

Ośrodek pomaga dorosłym z autyzmem, ale jak pomóc ośrodkowi?

FUNDACJA WSPÓLNOTA NADZIEI tworzy pierwsze w tej części Europy miejsce, w którym dorośli z autyzmem mogą mieszkać, rehabilitować się i pracować. Na razie w podkrakowskich Więckowicach postawiono pierwszy z pięciu domów, założono sad i warzywnik. Mieszkańcy ośrodka uprawiają tu między innymi jarmuż, seler naciowy, pasternak i dynię makaronową (gospodarstwo ma certyfikat rolnictwa ekologicznego). Docelowo na siedmiu hektarach mają powstać centrum rehabilitacyjne i przetwórnia warzyw. Budowa farmy pochłonęła dotąd około trzech milionów złotych. Każdy może ją wesprzeć, przekazując jeden procent swojego podatku. Wystarczy wpisać w PIT fundacja Wspólnota Nadziei i podać KRS 0000115868. – *dd*

Co mówią liczby

31 procent dłużników nie odbiera poczty ani telefonów, a nawet nie wychodzi z domu. – Stawienie czoła problemowi wymaga wysiłku. Trzeba się dogadać z wierzycielem, negocjować spłatę rat. A jeśli zadłużony nie odbierze listu od firmy windykacyjnej, problem chwilowo „sam się rozwiąże" – mówi autor sondażu, profesor Tomasz Zaleśkiewicz z wrocławskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Tylko co czwarty zadłużony Polak deklaruje, że stara się za wszelką cenę spłacić pożyczki. – *rk*



Polacy robią na polach to, czego **nie chce się robić** *Niemcom*

KIERUNKI ANNA SZULC

Szparagi zamiast zmywaka

Ponad połowa osób, które w ostatnich miesiącach z powodu kryzysu masowo wracały z Wielkiej Brytanii, chce emigrować powtórnie. Tym razem do Niemiec

CI, KTÓRZY JUŻ RAZ WYJECHALI, NIE CHCĄ ZOSTAwać w Polsce. W pośredniakach godziwej pracy dla nich nie ma, a przedsiębiorcy są wobec nich nieufni, bo obawiają się wysokich żądań finansowych – wyjaśnia profesor Krystyna Iglicka, ekonomistka i demograf z Centrum Stosunków Międzynarodowych w Warszawie, która rozdała ankiety reemigrantom z pięciu polskich aglomeracji. Ale dlaczego Niemcy? Czy tylko dlatego, że nasi zachodni sąsiedzi chcą od przyszłego roku znieść ograniczenia w dostępie do swojego rynku pracy? Przecież bezrobocie w Niemczech i Wielkiej Brytanii jest porównywalne (wynosi około ośmiu procent). – Jednak w Niemczech to bezrobocie pozorne, po prostu nasi zachodni sąsiedzi nie biorą się do ciężkich prac fizycznych, od kopania szparagów po opiekę nad ludźmi starszymi – uważa profesor Iglicka. Bogusław Półtorak, główny ekonomista portalu Bankier.pl, twierdzi, że niemiecki rynek pracy zapewnia też najlepszą ochronę socjalną w Europie, i dodaje: – Poza tym wbrew pozorom Polakom kulturowo bliżej jest do Niemców niż do Brytyjczyków. □



Całe śmieci w ręce gmin

Ustawa szykowana przez resort środowiska ma oczyścić lasy z odpadków

W LEGIONOWIE – JAK W CAŁEJ POLSCE – MIESZkańcy sami zawierali umowy z firmami śmieciowymi i sami płacili za opróżnianie pojemników. – Ale niektórzy umów nie podpisywali i odpadki piętrzyły się po lasach – mówi Roman Smogorzewski, prezydent miasteczka pod Warszawą. Dlatego w 2009 roku zmieniono zasady. – Teraz za odbiór śmieci odpowiada gmina, która w przetargu wybiera jedną firmę, a ta odpadki odbiera bez limitu, więc nikogo nie kusi, by pozbyć się ich nielegalnie – tłumaczy Smogorzewski. W zamian mieszkańcy płacą w gminie miesięczny ryczałt – 8,50 złotego od osoby w rodzinie sortującej śmieci, 15 złotych w pozostałych. Zyskali też mieszkańcy osiedli, bo stawki gminne są niższe. Pomysłem zainteresował się resort ochrony środowiska, który chce go wprowadzić obowiązkowo w całym kraju. – Ależ to doprowadzi do likwidacji wolnego rynku – ostrzega Witold Zińczuk ze Związku Pracodawców Gospodarki Odpadami. Jego zdaniem, gdy gminy zajmą się odbiorem odpadów, będą dyktować ceny. Prezydent Legionowa ripostuje: – Jeśli firmy zaoferują dobre stawki, to outsourcing będzie się gminom opłacał – wyjaśnia. I dodaje, że najważniejsza korzyść to koniec zaśmiecania lasów. Reforma ma szansę na poparcie koalicji i opozycji. Jeśli do końca roku przejdzie w Sejmie, to będzie objęta vacatio legis i zacznie obowiązywać w 2013 roku. – *fieda*

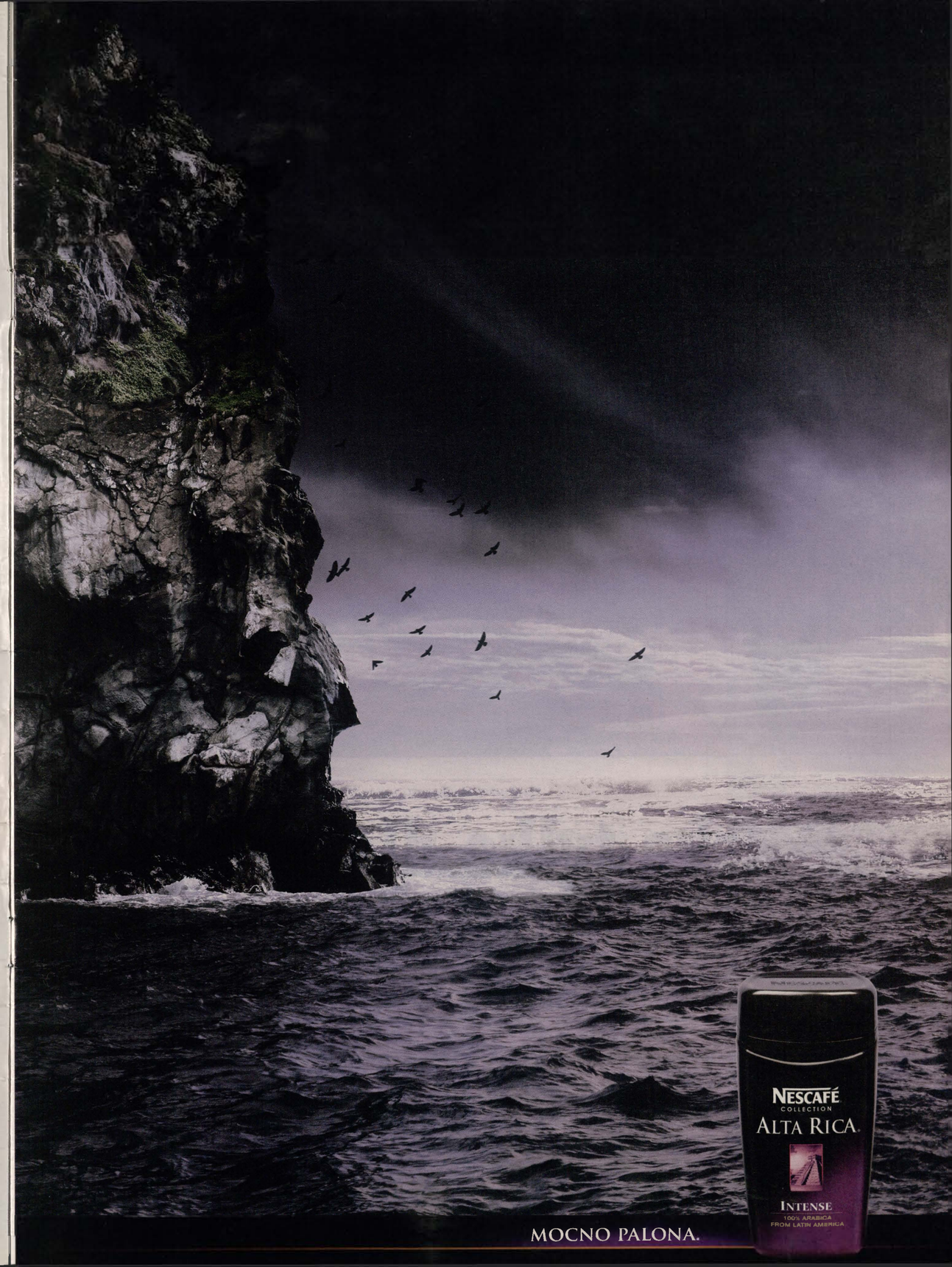


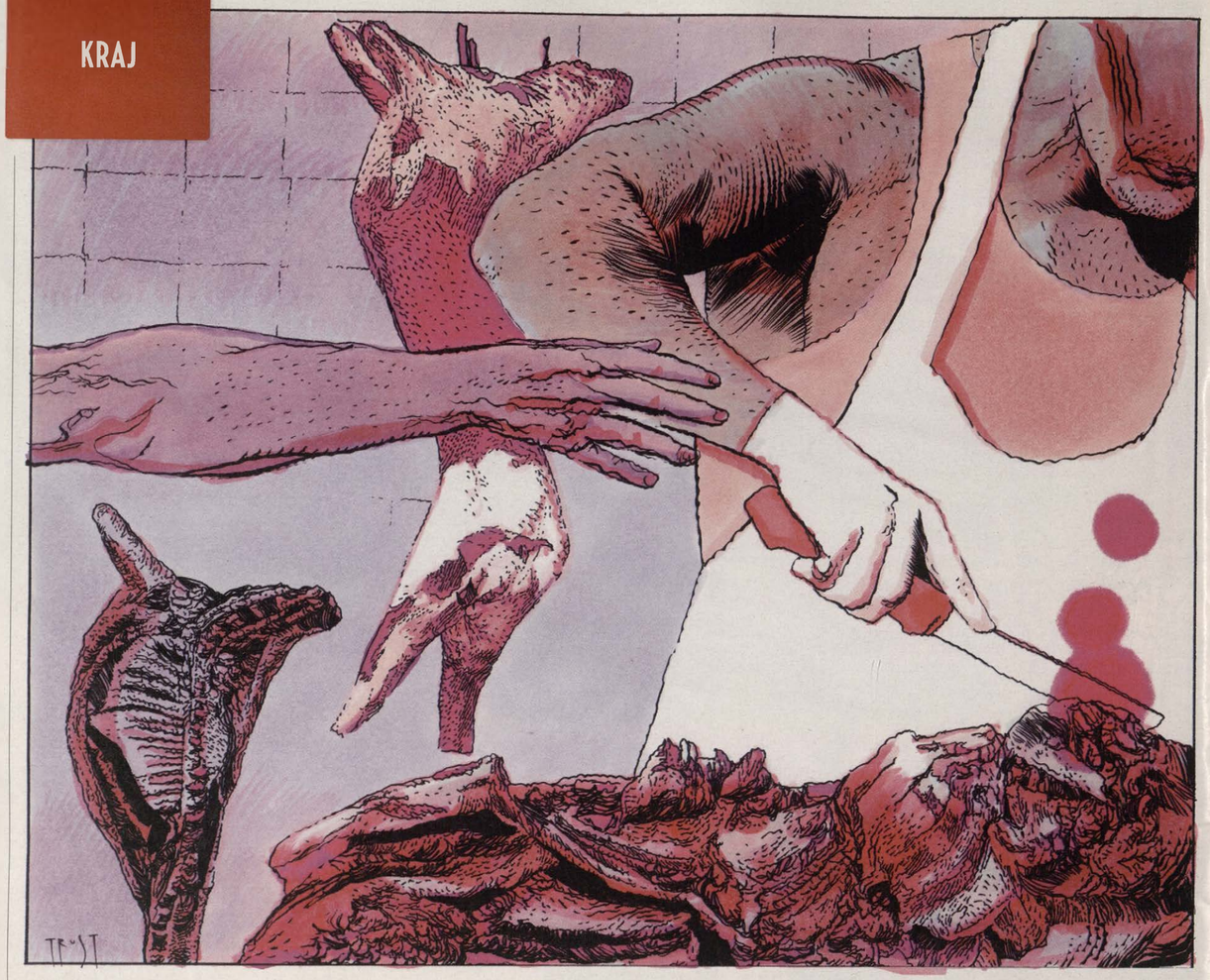
Panie ubrane skromnie **nie mają nic wspólnego** *z kataklizmem*

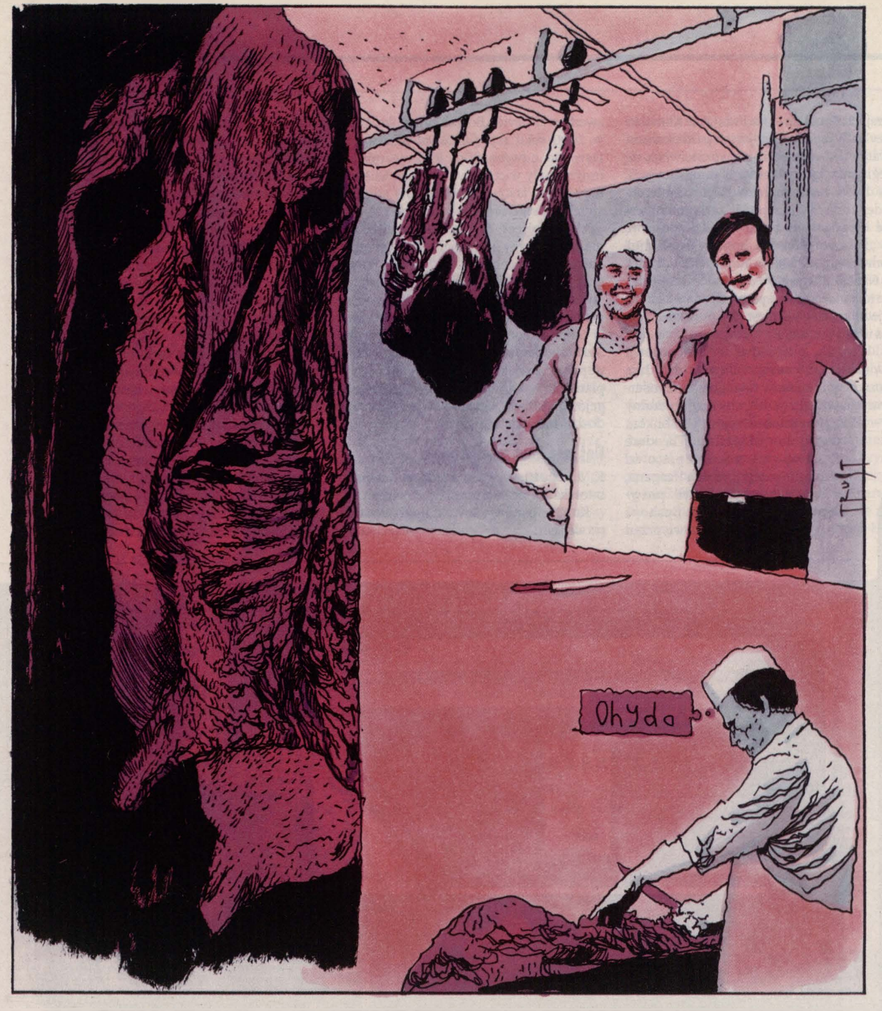
KOBIETY TRZĘSĄ TEHERANEM

PREZYDENT IRANU MAHmud Ahmadineżad poinformował, że Teheran wkrótce zostanie spustoszony przez silne trzęsienie ziemi. Kiedy dokładnie? Nie wiadomo, ale trwają poszukiwania winnych. Zdaniem Hojatoleslama Kazema Sedigha, jednego z czołowych irańskich duchownych, za nadchodzący kataklizm już teraz odpowiadają kobiety. – Nieskromnym ubiorem wodzą na pokuszenie młodych mężczyzn. Dlatego szerzą się zdrady, a to prowadzi do częstszych trzęsień – wytłumaczył. Minister polityki społecznej Sadeq Mahsooli radzi, by Irańczycy więcej się modlili i pościli, wtedy katastrofy nie będzie. Prezydent Ahmadineżad zaleca raczej wyprowadzki. – Co najmniej pięć milionów osób powinno opuścić Teheran, bo miasto jest przeludnione – ostrzegł prezydent. Ci, którzy wyjadą z 12-milionowej stolicy, mogą liczyć na pomoc w zakupie ziemi oraz na korzystne kredyty. Część komentatorów sugeruje, że władzom nie chodzi o ochronę obywateli, ale o to, by wysiedlić z Teheranu tych, którzy najgłośniej protestują przeciwko Ahmadineżadowi, oskarżając go o sfałszowanie ubiegłorocznych wyborów prezydenckich. – *rk*

FOT. RIA NOVOSTI/TOPFOTO/FORUM, HAHN/LAIF/EK PICTURES, TYTUŁ ŻMIJEWSKI/FORUM, MAXX PBP/FORUM







TOLERANCJA TEKST MACIEJ JARKOWIEC, ILUSTRACJA TRUST

Polska tylko dla hetero

NARODOWE POJEDNANIE TO OKAZJA, ŻEBY POLACY WYKAZALI DOBRĄ WOLĘ WOBEC MNIEJSZOŚCI SEKSUALNYCH. ICH PRZEDSTAWICIELE, CHOĆ NIKOMU NIE ROBIĄ KRZYWDY, **SĄ W NASZYM KRAJU DYSKRYMINOWANI** NIE TYLKO PRZEZ WSPÓŁOBYWATELI, ALE TAKŻE PRZEZ INSTYTUCJE PAŃSTWA

Piotr Kozak wygrał z Polską w Strasburgu. Wiadomość trafiła na pierwsze strony gazet, w radiu i telewizji komentowały ją mądre głowy – jedne z oburzeniem, drugie z satysfakcją. A Piotr następnego dnia normalnie poszedł do pracy. Jest rzeźnikiem, kroi mięso w szczecińskim supermarkecie.

– Bałem się potwornie, że będę atakowany z każdej strony – opowiada. – Ale jest cisza. I całe szczęście. Koledzy, którzy koło mnie kroją, to pewnie nawet nie wiedzą. W kadrach może panie kojarzą, że to o mnie chodzi, ale nikt nic nie mówi. W kamienicy sami starsi ludzie, może dlatego nie dociera do nich co i jak. Jak Tadeusz żył, to myśleli, że u niego kąt podnajmuję. Tylko jeden sąsiad na pewno wiedział, o co chodzi, bo on jest ten, wie pan... Taki ten... Jak ja.

Góralskie nasienie

Piotr jest gejem, dlatego tak bardzo nie ufa innym. 51 procent homoseksualistów badanych przez Kampanię przeciw Homofobii (KPH) regularnie doświadcza przemocy psychicznej. Przejawia się ona najczęściej używaniem wulgarnych określeń, jak „pedał" czy „lesba", wyśmiewaniem, ale też izolowaniem i ostracyzmem społecznym. Jednocześnie badania CBOS pokazują, że według 83 procent Polaków najbardziej obraźliwym wulgaryzmem jest właśnie słowo „pedał". „Przemoc psychiczna wobec osób homoseksualnych jest zjawiskiem tak powszechnym, że można zaryzykować tezę, że przestało się ją zauważać" – konkludują autorzy raportu o sytuacji osób homoseksualnych w Polsce w latach 2005–2006. Z kolei według analizy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka („Orientacja seksualna i tożsamość płciowa – aspekty prawne i społeczne") geje i lesbijki są w Polsce dyskryminowani również przez państwo. Sprawa Piotra Kozaka jest jedną z wielu, która tego dowodzi.

Piotr wygrał z Polską, bo – jak mówi – „jest z niego góralskie nasienie i nie idzie go siekierą dobić". Urodził się w Zakopanem 59 lat temu. Dzieciństwo miał – jak opowiada – „nieciekawe": ojczym alkoholik, kilkuletni pobyt w domach dziecka, gdzie „stare byki brały sobie takich chłopców jak ja do łóżka do zabawy". Skończył zawodówkę gastronomiczną. Większość życia przepracował w knajpach jako kelner i kucharz. 30 lat temu przyjechał za robotą do Szczecina. Jednak do dziś, gdy odwiedza mamę w Zakopanem, łzy mu się cisną do oczu, kiedy spojrzy na Tatry.

Jego wycieczki po górach z księdzem od katechezy to jedyne przyjemne wspomnienie z dzieciństwa. Kiedy mi to opowiada, też płacze. Na lusterku w jego fiacie dyndają miniaturowe kierpce i góralski kapelusik. Zajeżdżamy pod kamienicę, gdzie od 20 lat mieszka w komunalnej kawalerce. Pierwsze 10 lat mieszkał ze swoim partnerem. Oficjalnie najemcą był Tadeusz. Następne 10 lat to urzędowo-sądowe przepychanki, bo Piotr po śmierci Tadeusza poprosił prezydenta miasta o przepisanie mieszkania na siebie. Prezydent odmówił. Piotr poszedł do sądu.

– Pamiętam, jak wszedłem na rozprawę. Oni mnie potraktowali jak powietrze – wspomina. – To trwało chwilę, sędzia nawet na mnie nie spojrzał. „Dziękujemy, rozpatrzymy, do widzenia". Czułem się upokorzony. Człowiek tyle czeka, napięty, wystraszony, a oni nie spytali nawet, dlaczego ja w ogóle chcę to mieszkanie zatrzymać.

Arkadiusz Biliński, adwokat Piotra, argumentował, że według przepisów osoby żyjące w konkubinacie mają prawo do dziedziczenia mieszkań komunalnych po zmarłych partnerach. Sądy kolejnych instancji orzekały jednak, że dotyczy to wyłącznie par heteroseksualnych. Rację Kozakowi przyznał dopiero Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. W marcu tego roku sędziowie uznali, że odmawiając prawa przejęcia lokalu komunalnego po zmarłym partnerze, Polska naruszyła artykuł 14. konwencji praw człowieka o zakazie dyskryminacji oraz artykuł 8. o poszanowaniu prawa do życia rodzinnego.

Urzędnik niełaskawy

Grupa inicjatywna złożona z przedstawicieli organizacji pozarządowych – KPH i stowarzyszenia Lambda Warszawa – oraz partii Zieloni 2004 przygotowuje ustawę o związkach partnerskich, która ma uregulować sytuację prawną par homoseksualnych w Polsce. Geje i lesbijki chcą, aby państwo rozpoznawało ich związki w urzędach stanu cywilnego i dało im wiele praw, którymi cieszą się małżeństwa. Najważniejsze z nich to:

– możliwość wspólnego opodatkowania,
– możliwość odmowy składania zeznań w procesach karnych (jako najbliższa osoba),
– prawo do udzielania informacji o stanie zdrowia i podejmowania decyzji związanej z leczeniem partnera (gdy on sam nie jest zdolny tego zrobić),
– prawo do dziedziczenia po partnerze,
– prawo do korzystania z zabezpieczenia socjalnego (renta rodzinna, emerytura po zmarłym partnerze, zasiłek opiekuńczy, ubezpieczenie partnera jako członka rodziny i inne).

Wśród postulatów – wbrew temu, co często twierdzą przeciwnicy ustawy – nie ma adopcji dzieci. Środowisko osób homoseksualnych nie domaga się też, żeby ich związki nazywać małżeństwem. Dziś pary jednopłciowe albo powyższych praw nie mają, albo są skazane na mniej lub bardziej łaskawą interpretację przepisów przez sądy bądź urzędy. A z dobrą wolą sędziów i urzędników bywa różnie. Na przykład chorzowski miejski ośrodek pomocy społecznej odmówił pomocy Grzegorzowi C. Powód był taki, że pani dyrektor chciała być sprawiedliwa.

Rok 2007, 27-letni Grzegorz po raz kolejny wychodzi ze szpitala. Od dziecka ma problemy z oddychaniem i chodzeniem, zdiagnozowano u niego dwie niepełnosprawności. Tym razem lekarze orzekają niezdolność do pracy. Nie może już zarejestrować się jako bezrobotny – urząd pracy go nie ubezpieczy. Może to zrobić tylko Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej (MOPS).

Grzegorz mieszka ze swoim partnerem na 30 metrach kwadratowych w starej kamienicy w centrum Chorzowa. Partner pracuje jako sprzedawca. – Znali nas w ośrodku, bo wcześniej dostaliśmy dofinansowanie do opału – opowiada Grzegorz. – Wtedy kazali nam składać dwa osobne wnioski, nie traktowali nas jako rodziny. Kiedy przyszedłem się ubezpieczyć, powiedzieli, że najpierw muszę złożyć wniosek o zasiłek stały, a do tego potrzebne jest oświadczenie o dochodach osoby, z którą mieszkam. Jakiś absurd, myślę, bo nagle jesteśmy dla nich jak małżeństwo. Poszedłem do pani dyrektor. Mówię, że nie dostarczę oświadczenia, bo formalnie Janek nie jest żadną moją rodziną. Co z tego, że on zarabia, skoro w zakładzie pracy nie może mnie ubezpieczyć jako członka rodziny? Pani dyrektor na to, że jak da mi zasiłek, to skrzywdzi innych, którym „z tych samych powodów" nie →

REKLAMA

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI ENGLISH
NIEMIECKI DEUTSCH
FRANCUSKI FRANÇAIS
HISZPAŃSKI ESPAÑOL
WŁOSKI ITALIANO



Nowy język z przyjemnością

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka **(799 zł)**.

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA
Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty **(229 zł za jeden poziom kursu)**.



	PODSTAWOWY poziom 1	PODSTAWOWY poziom 2	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 1	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 2
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24. miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14. dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gd', jesteście Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odeślemy pieniądze. PRZEKRÓJ

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa

www.sita.pl



→ dała. Czyli już wcześniej odmawiała pomocy gejom.

– Na tym przykładzie widać, że choć konstytucja definiuje rodzinę jako związek kobiety i mężczyzny, możliwa jest całkiem inna interpretacja – mówi nam Adam Bodnar z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – Chorzowski MOPS wykorzystał zapis ustawy o pomocy społecznej, który definiuje rodzinę jako „osoby spokrewnione lub niespokrewnione pozostające w faktycznym związku, wspólnie zamieszkujące i gospodarujące". Problem w tym, że urzędnicy włączyli w tę definicję pary homoseksualne, aby wykorzystać to na ich niekorzyść.

Boje Grzegorza z ośrodkiem pomocy społecznej ciągnęły się kilka miesięcy. Pani

REKLAMA



HTC Desire

MOTOROLA **MILESTONE**™

dyrektor ani myślała odpuścić. W końcu został ubezpieczony po decyzji Samorządowego Kolegium Odwoławczego.

Nie planujemy współpracy

Formalne związki jednopłciowe są prawnie dozwolone w 33 państwach świata. W Europie Zachodniej nie można ich zawrzeć tylko we Włoszech.

W siedmiu krajach – Belgii, Holandii, Norwegii, Szwecji, Hiszpanii, Republice Południowej Afryki i Kanadzie – są równorzędne z małżeństwem. W nowych krajach Unii ustawy o związkach partnerskich uchwalili Czesi, Słoweńcy i Węgrzy. Na śluby gejowskie pozwala też kilka państw Ameryki Łacińskiej, między innymi Ekwador, Kolumbia i Urugwaj. Przeciwne są im Afryka (z wyjątkiem RPA) i Azja.

W większości państw Zachodu kwestia praw homoseksualistów przestała być zarzewiem sporów między prawicą a lewicą. Na przykład w Skandynawii, Niemczech, krajach Beneluksu, we Francji, w Kanadzie czy na Wyspach Brytyjskich partie konserwatywne i chadeckie nie sprzeciwiają się legitymizacji związków jednopłciowych. W lipcu zeszłego roku David Cameron, lider torysów, przeprosił za homofobiczne błędy swojej partii (chodzi o ustawę o „zakazie promocji homoseksualizmu" uchwaloną za rządów Margaret Thatcher).

– Nie mieliśmy racji – oświadczył i obiecał, że to konserwatyści pierwszy raz w historii Zjednoczonego Królestwa wprowadzą geja na urząd premiera.

W USA, gdzie dziś o legitymizacji związków homoseksualnych decydują poszczególne stany, to zagorzały konserwatysta podjął wysiłek, aby rząd federalny zagwarantował gejom i lesbijkom prawo do małżeństwa. Theodore B. Olson w latach 80. pracował w administracji Ronalda Reagana, a w 2000 roku załatwił prezydenturę George'owi W. Bushowi – wygrał dla niego sprawę przed sądem najwyższym, gdy przeciwnik Busha Al Gore zakwestionował wynik głosowania. Olson został wtedy „najbardziej znienawidzonym przez lewicę prawnikiem" w USA. Dziś do sądu najwyższego zamierza doprowadzić sprawę lesbijskiej pary z Kalifornii. Będzie zabiegał o wyrok uznający, że małżeństwo jest konstytucyjnym prawem każdego obywatela – bez względu na orientację seksualną. Tłumaczy, że „małżeństwo jest przede wszystkim wyrazem tożsamości i częścią prawa do prywatności". Do swego zespołu Olson zwerbował Davida Boiesa, prawnika, który w 2000 roku reprezentował Ala Gore'a. Dawnym adwersarzom kibicuje między innymi były wiceprezydent Dick Cheney, największy jastrząb poprzedniej administracji, którego córka jest lesbijką.

A w Polsce? Tu homoseksualiści nie mają szans, aby do swojej sprawy przekonać prawicę i centrum. Pod koniec lutego grupa inicjatywna pracująca nad ustawą wysłała list z zaproszeniem do dyskusji do wszystkich klubów parlamentarnych w Sejmie. Pozytywnie zareagował tylko SLD (spotkanie się odbyło, lewica będzie wspierać projekt). Odpowiedź PiS: „Nie planujemy współpracy ze środowiskami gejów i lesbijek". Odpowiedzi od PSL i PO do dziś nie nadeszły.

Gej nie jest wielbłądem

K.M.B. 2010 wypisane kredą na drzwiach mieszkania na warszawskim Powiślu.

– Który z panów taki religijny? – pytam po wejściu.

Jakub: – Wierzę. Jestem katolikiem. Miałem szczęście do dobrych doświadczeń z katolicyzmem. Rodzice są członkami Klubu Inteligencji Katolickiej. Dla mnie ksiądz to nie jest zacietrzewiony tępak. Co tydzień jestem na mszy w kościele Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu.

Prawników Jakuba Urbanika i pochodzącego z hiszpańskiej Galicji José Luisa Alonsa połączyło prawo rzymskie – poznali się pięć lat temu na poświęconej mu konferencji we Włoszech. Szybko zamieszkali razem. Są przykładem szczęśliwej pary. Pracują na Uniwersytecie Warszawskim, są dobrze sytuowani, spełnieni zawodowo (José, tuż przed czterdziestką, już z tytułem profesora; 34-letni Jakub jest doktorem), akceptowani przez rodziny i otoczenie w pracy, choć nie bez wyjątków. Mają wspólne ubezpieczenie w prywatnej firmie, chodzą, trzymając się za ręce, po centrach handlowych. Oczywiście słyszą wyzwiska, ale Warszawa jest względnie tolerancyjna.

– Wierzę w edukacyjną moc prawa – mówi Jakub. – To ono powinno inicjować zmiany. Pełni funkcję normalizacyjną. Wskazuje, że geje to nic złego, to nie są zboczeńcy. Pełni też funkcję symboliczną, bo formalnie rozpoznaje grupę obywateli dotychczas pod wieloma względami wykluczoną.

José dodaje: – Odrzucenie homoseksualizmu bardzo często płynie ze wstydu. Przerażenie mojej matki wynikało z tego, że musiała się konfrontować z otoczeniem, że sąsiadki pytały, co ze mną nie tak, że ludzie ze mnie żartowali. Jeśli pojawia się ustawa, która mówi, że pedały to normalni ludzie, to moi rodzice też zaczynają się zastanawiać, czy to rzeczywiście jest takie straszne. Znika wstyd.

Przeciwnicy ustawy powtarzają argument, że nie jest ona konieczna, bo wystarczy możliwość zawierania umów cywilnych. Nie jest to prawdą – możliwości wspólnego opodatkowania, odmowy składania zeznań czy dostępu do świadczeń socjalnych nie załatwi wizyta u notariusza, może je zagwarantować tylko państwo. Inni proponują korektę istniejących ustaw, ale to z kolei nie rozwiąże problemów w sferze symbolicznej i edukacyjnej, o której wspominają Jakub i José.

– A to jest bardzo ważne – podkreśla Adam Bodnar. – Osoby homoseksualne powinny mieć poczucie, że są akceptowane przez państwo, że państwo mocą aktu urzędowego je rozpoznaje.

Przemysław Szczepłocki, prawnik ze stowarzyszenia Lambda Warszawa, nazywa to „elementem godnościowym". – Taka ustawa sprawiłaby, że nie musiałbym ciągle udowadniać, iż nie jestem wielbłądem.

W obronie tradycji

Oprócz argumentu, że w polskim prawie dyskryminacji osób homoseksualnych nie ma – czemu przeczą sprawy Piotra Kozaka, Grzegorza C. i im podobne, a także liczne analizy niezależnych prawników (choćby

Do płacenia podatków homoseksualiści nadają się jak wszyscy, ale dać im takie same prawa jak reszcie obywateli – nie ma mowy

z helsińskiej fundacji) – przeciwnicy ustawy często twierdzą, że związki osób tej samej płci są „zagrożeniem dla tradycyjnego modelu rodziny". Według Adama Bodnara to nietrafiony argument: – Jeśli nie ma racjonalnych przesłanek, trzeba grać na emocjach.

– Jak ja z moim chłopakiem zagrażamy małżeństwu mojej siostry? – pyta Tomasz Szypuła z grupy inicjatywnej.

A Grzegorz C. z Chorzowa żartuje: – Jeśli tradycyjny model to Rodzina Radia Maryja, to ja mu rzeczywiście zagrażam.

Sandra Rutkiewicz, 33-letnia psycholożka i działaczka społeczna z Krakowa, od czterech lat w związku z o sześć lat młodszą Katarzyną, chciałaby wiedzieć, co kryje się pod hasłem „tradycyjny model rodziny". – Bo wielu z tych, którzy chcą go bronić, na pewno w takim nie żyło. Niektórzy politycy wspominają przecież, że wychowywała ich tylko linia mleczna. Analitycznie podchodząc do sprawy: podświadomie zagrożony czuje się ten, kto

Stereotyp geja nie pasuje do stereotypu Polaka broniącego ojczyzny. Lalusie w szpilkach nie pójdą przecież na barykady

i musisz jakoś z tym się zmierzyć – tłumaczy Jakub.

Na razie na racjonalne argumenty Polacy są odporni. W społeczeństwie pokutuje stereotyp, że gej to pedofil, choć badania statystyczne dowodzą, że 90 procent przypadków pedofilii dotyczy heteroseksualnych mężczyzn. Popularne jest przekonanie, że homoseksualizm jest dewiacją, choć już dawno za taką nie uważają go ani psycholodzy, ani lekarze, a Światowa Organizacja Zdrowia wykreśliła go z listy chorób w 1990 roku. Tymczasem badania sam jest niepewny swojej roli i nisko ocenia swoje wartości.

José Luis Alonso zgadza się, że chodzi przede wszystkim o strach: – Jako obserwator z zewnątrz dostrzegam, że Polacy boją się utraty narodowej tożsamości, tego, kim są.

Jakub Urbanik wyjaśnia, kim jesteśmy: – Tym wyjątkowym w Europie narodem, ostoją katolicyzmu, bojownikami o wolność. To nas jakoś definiuje, daje nam siłę. Stereotyp geja nie pasuje do stereotypu Polaka broniącego ojczyzny. Lalusie w szpilkach nie pójdą przecież na barykady.

I dodaje, że przełamywanie homofobii utrudnia prozaiczny fakt, że większość Polaków nigdy nie poznała homoseksualisty (albo im się wydaje, że nie poznała). – Nie mają poczucia niesprawiedliwości, bo ten temat w ogóle ich nie dotyka. Racjonalne argumenty zaczynają działać, dopiero jak w twojej własnej rodzinie pojawia się gej

One są tylko w Play. Telefony, które nie muszą dzwonić, żeby zwrócić uwagę. Zresztą sam widzisz.

Oferta Play Premium to supertelefony do rozmów, a także osobisty konsultant do dyspozycji.

PLAY

Do dnia 30 kwietnia 2010 r. Play ma wyłączność wśród operatorów telefonii komórkowej na sprzedaż telefonów Motorola Milestone i HTC Desire. Osobisty konsultant to osoba z Obsługi Klienta P4, która skontaktuje się z Abonentem w przypadku zawarcia do dnia 31 maja 2010 r. umowy w ramach oferty Play Premium oraz kupna telefonu Motorola Milestone lub HTC Desire i za zgodą Abonenta będzie dedykowana do jego obsługi w sprawach związanych ze świadczeniem usług telekomunikacyjnych przez P4 przez cały okres obowiązywania umowy. Szczegóły oferty na www.playmobile.pl i w punktach sprzedaży Play.

CBOS pokazują, że 92 procent Polaków uważa homoseksualizm za nienormalny, 31 procent twierdzi, że nie należy go tolerować, a aż jedna trzecia respondentów odmawia gejom i lesbijkom prawa do uprawiania seksu.

Fobia w białych rękawiczkach

Za społecznym uprzedzeniem – zamiast próbować z nim walczyć – skrywa się polski rząd, który nie jest skory do podjęcia dialogu ze środowiskiem osób homoseksualnych. Elżbieta Radziszewska, pełnomocnik rządu do spraw równego traktowania, swoje stanowisko wobec ustawy o związkach partnerskich wyjaśniła między innymi w wywiadzie dla Radia RMF FM 21 listopada 2009 roku, kiedy stwierdziła, że „nie może być tak, że mówimy (...) o tolerancji dla rzeczy nieakceptowalnych społecznie".

Tomasz Szypuła podejrzewa, że większość polskich gejów głosuje na Platformę Obywatelską. Tak jak Piotr Kozak, który powiedział mi, że „na mniejsze partie się boi, bo one nie powstrzymają PiS". Za swoje głosy geje i lesbijki od rządu Donalda Tuska dostają co najwyżej milczenie. PO uprawia taktykę nietykania tematów kontrowersyjnych.

– Chodzi o to, żeby nie tworzyć zbyt łatwych pól walki – mówi Adam Bodnar. – Geje, in vitro, parytety, edukacja seksualna – wszystkie te kwestie powodujące napięcia ideologiczne są spychane w niebyt.

O związkach partnerskich mimo wielokrotnych próśb i wymiany SMS-ów (jeszcze przed smoleńską katastrofą) nie chciały z nami porozmawiać osoby uchodzące w PO za względnie przyjazne środowisku gejowskiemu – Joanna Mucha („Proszę spróbować ze Sławkiem Nowakiem"), Sławomir Nowak (jego asystent obiecał nam rozmowę z posłem, po czym przestał odbierać telefony) i Janusz Palikot (osobiście obiecał i osobiście nie odbiera). Na telefony i SMS-y w tej sprawie nie reagował też rzecznik klubu PO Andrzej Halicki. W końcu udało nam się porozmawiać z Małgorzatą Kidawą-Błońską. Pani poseł nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego PO nie zareagowała na list grupy inicjatywnej zapraszający do dyskusji o ustawie o związkach partnerskich. Przyznała, że w partii nie ma żadnej debaty na temat praw gejów, ale „na pewno się wkrótce rozpocznie, pośpiech nie jest dobrym doradcą". Do tego czasu w kwestii ustawy PO nie będzie miała stanowiska. Kidawa-Błońska mówi, że prywatnie jest za ustawą i nie widzi w związkach jednopłciowych „zagrożenia dla tradycyjnego modelu rodziny", lecz zaznacza, że w partii są grupy o różnych poglądach. Pytana o to, dlaczego premier pozostaje głuchy na krytykę pod adresem Elżbiety Radziszewskiej, której postawę środowisko gejowskie nazywa „homofobią w białych rękawiczkach", nasza rozmówczyni odpowiada: – Pani minister wykonuje dużo niewidocznej pracy w bardzo wielu obszarach.

Piotr Kozak, który wygrał z Polską w Strasburgu, marzy, żeby premier się otworzył: – Ja go w ogóle w tej sprawie nie rozumiem. Polityka nie powinna dzielić ludzi na lepszych i gorszych.

Grzegorz C., który walczył z chorzowskim MOPS, chciałby zapytać premiera: – Ciekawi mnie, czy byłoby mu miło, gdyby musiał utrzymywać swego wroga? Bo rządzona przez niego Polska stawia się w roli wroga gejów. Do płacenia podatków nadają się jak wszyscy, ale dać im takie same prawa jak reszcie obywateli – nie ma mowy.

A Tomasz Szypuła z grupy inicjatywnej przewiduje, że w obecnym Sejmie szanse na przejście ustawy są bliskie zera.

Dzień jak co dzień geja

Piotr Kozak czeka na emeryturę. – Brat ma pensjonat w górach. W Dunajcu są pstrągi, lipienie, łososie nawet. Łódkę ma, pomogę mu to prowadzić. I tyle. Normalnie, wie pan. Brat mnie akceptuje, siostra i szwagier też się pogodzili. Do wymarzonej emerytury większość dni upłynie Piotrowi Kozakowi mniej więcej tak: pobudka za piętnaście piąta, śniadanie, potem kawa, papierosek. W pracy osiem godzin „na nożu". Przed świętami godzinę dłużej. Kilka ton mięsa dziennie obrobi. Po pracy obiadek. „Pyszne sosy robię i smakosz ryb jestem". Sąsiadka do niego wpadnie, „trochę go pobajeruje", głównie o wnuczce. Kawkę wypiją, zapalą. Wieczorem telewizja – jak mecz, to może i jakiś kumpel wpadnie. W dzień wolny Piotr do Międzyzdrojów podjedzie, na morze sobie popatrzy. Albo do Morynia na architekturę. Przed snem nieraz porozmawia z Bogiem.

– Jak mam ochotę z nim pogadać, to sobie z nim gadam. Bez kościoła.

– O czym?

– Pytam go, czy znajdzie dla mnie miejsce. Czy jak już tutaj będzie mój koniec, to mnie weźmie tam, do siebie. □

Wyobraź sobie miasto, które pobudza wszystkie Twoje zmysły. Wyobraź sobie przestrzeń, w której możesz trafić na miejsca przygotowane z myślą o Tobie.
Wyobraź sobie Miasto, gdzie ogród jest odmieniany przez wszystkie doznania.
Potrafisz to sobie wyobrazić?

Wyobraź sobie,
że niewiele brakowało...

www.2016katowice.eu

Idea miasta ogrodu pojawiła się w Anglii w 1898 roku. Rok później jej autor _ Ebenezer Howard _ założył Stowarzyszenie Miast Ogrodów, które miało zmienić teorię w praktykę. Udało się już po czterech latach, kiedy to 55 kilometrów od Londynu powstało Letchworth _ pierwsza realizacja miasta, które zapewniało swoim mieszkańcom harmonijny kontakt z przyrodą i kulturą.

Najstarsze miasto ogród, leżące w granicach obecnej Polski, to katowicki Giszowiec. W latach 1907-1910 zbudowano tu osiedle dla robotników koncernu Giesches Erben (Spadkobiercy Gieschego) _ głównie górników dzisiejszej kopalni Wieczorek (dawniej Giesche). W centrum znajdował się plac, wokół którego zgromadzono szkoły, sklepy, pocztę, gospodę (przystosowaną do przyjmowania profesjonalnych zespołów teatralnych!), administrację osiedla, łaźnię, pralnię i domy noclegowe. Przy wewnętrznych ulicach ustawiono dwu_ i czterorodzinne domy z ogródkami. Wszystkie budynki nawiązywały do regionalnego stylu i były wyposażone w spadziste dachy z dużym okapem oraz otwarte przedsionki. Mimo tego w całym osiedlu nie było dwóch identycznych budynków. Różniły się od siebie dachami, wejściami, altanami... W 1914 roku Giszowiec, Janów i Nikiszowiec połączyła bezpłatna kolej wąskotorowa zwana "Balkan Ekspresem".

20 lat później _ pod koniec lat 30. ubiegłego wieku _ w miastach województwa śląskiego zaczęły powstawać **ogródki jordanowskie** z pawilonami przedszkolnymi i sportowo-rekreacyjnymi. W Katowicach udało się wybudować co najmniej 4 ogrody. Ich ślady najłatwiej znajdziemy przy ulicach Barbary 25, Gliwickiej 212 i Hallera 72. Dodatkowo, w stolicy województwa, powstawały place zabaw, obowiązkowo wyposażone w brodzik i piaszczyste plaże. Odległość między takimi miejscami mogła wynosić maksymalnie 1500 metrów. Fontanna przy Placu Andrzeja to prawdopodobnie pozostałość po dawnym brodziku i plaży.

W latach 70. wiele budynków Giszowca rozebrano, a ich miejsce zajęły jedenastopiętrowe bloki z wielkiej płyty. Zniszczeniu dzielnicy zapobiegło wpisanie układu urbanistycznego i części domów do rejestru zabytków. Teraz, równo 100 lat po narodzinach Giszowca, mamy szansę na rozwinięcie pomysłów dawnych mieszkańców naszego miasta. **Unikalny charakter Katowic wynika z niezwykłego zderzenia industrializacji i natury.**
To inspiruje do współczesnego marzenia o Katowicach _ Mieście Ogrodów.

Al Di Meola
9 maja
Katowice

Carlos Saura

Mamy krótkie dzieła, które wydają się trwać w nieskończoność i długie, które przemijają w mgnieniu oka. Flamenco Hoy należy do tego ostatniego rodzaju.

FLAMENCO HOY!
16 maja (niedziela), godz. 19.00
Reżyseria: Carlos Saura
Muzyka: Chano Domínguez
Choreografia: Rafael Estévez i Nani Panos
Górnośląskie Centrum Kultury
www.2016katowice.eu

Miasto Ogrodów
KATOWICE
Kandydat na Europejską Stolicę Kultury
2016

W PROSZKU MACIEJ JARKOWIEC

Narkobiznes po amerykańsku

Dobra wojna to taka, której nie da się wygrać, ale można na niej zarobić. Ta filozofia od lat sprawdza się w Ameryce Łacińskiej. Na tamtejszych wojnach narkotykowych najwięcej zyskują koncerny z USA



Trawka *(na zdjęciu: 4,5 tony przechwycone w Kolumbii) jest mniej szkodliwa od papierosów. Państwa, zamiast na niej zarabiać, wojują z nią kosztem miliardów dolarów. Zarabia mafia*

W 2009 roku na ulicach Juárez zginęło 2600 cywilów. W tym czasie w całym Afganistanie liczba cywilnych ofiar konfliktu, który nie schodzi z pierwszych stron gazet, była o 500 osób mniejsza. Juárez, miasto położone w północnym Meksyku, przy granicy z USA – to najbardziej niebezpieczne miejsce na ziemi. – W ostatnich kilku tygodniach uciekło stamtąd około 20 procent mieszkańców – mówi nam Jorge Hernández Tinajero z meksykańskiej organizacji CUPIHD, która monitoruje politykę antynarkotykową rządu.

W połowie marca wśród ofiar przemocy w Juárez znalazło się trzech Amerykanów. Wtedy Meksyk odwiedziła amerykańska delegacja na najwyższym szczeblu: sekretarz stanu Hillary Clinton, sekretarz obrony Robert Gates i szef połączonych sztabów Mike Mullen. To nie pierwsza taka wizyta. Odkąd Amerykanie zaczęli pomagać prezydentowi Felipe Calderónowi w jego zainicjowanej w 2006 roku antynarkotykowej krucjacie, w całym Meksyku zginęło już 20 tysięcy ludzi. Tylko w marcu tego roku liczba zabitych osiągnęła dwa tysiące.

Ale meksykańska jatka to jedynie nowy front innego starcia, i to trwającego już od co najmniej dwóch dziesięcioleci w innym kraju. Dlatego chcąc zrozumieć to, co dzieje się w Meksyku, najpierw trzeba zrozumieć Kolumbię. To stamtąd przybyła do Juárez narkotykowa wojna. I nie zniknie, dopóki nie skończy się ta w Kolumbii.

Zamach

Odpowiedź na pytanie, dlaczego to akurat Kolumbia od ponad dwóch dziesięcioleci jest największym na świecie producentem i eksporterem kokainy, tkwi w wydarzeniach sprzed 62 lat.

9 kwietnia 1948 roku po godzinie 13.00 Jorge Eliécer Gaitán, wielbiony przez masy lider Partii Liberalnej i kandydat na prezydenta, wyszedł na ulicę ze swego biura w centrum Bogoty. Za nim ruszył morderca. Wyciągnął rewolwer, oddał trzy strzały w plecy. Gaitán zmarł na stole operacyjnym kilkadziesiąt minut później. Motywu nigdy do końca nie wyjaśniono, bo tłum zlinczował zamachowca. Ale o emocjach, jakie wywołało zabójstwo, niech świadczy fakt, że liczne teorie spiskowe wymieniają wśród mocodawców między innymi KGB, CIA i Fidela Castro.

Sam Gaitán wymykał się powojennemu podziałowi na czarnych i czerwonych – był socjalistą, ale odrzucał komunistyczną rewolucję. Jego marzenie o reformie rolnej, która zwracałaby ziemię rdzennym mieszkańcom, nigdy się nie spełniło. Do dziś bogactwo naturalne Kolumbii pozostaje w rękach wąskiej kasty latyfundystów.

Po śmierci Gaitána nastąpił dziesięcioletni okres zwany La Violencia, czyli Przemoc. To w tamtym czasie – masakr, zamachów i gwałtów – narodziły się liczne partyzantki lewicowe i prawicowe. Potęgę obu stron wyhodowała zimna wojna – od połowy lat 60. konta jednych zasilały miliony z Waszyngtonu, a drugich – z Moskwy. Kwestią czasu było pojawienie się też potężnych grup przestępczych.

Już w latach 80. kartele narkotykowe rosną w siłę. Początkowo importują kokę z Boliwii i Peru, zajmując się wyłącznie produkcją narkotyku. Ale z czasem opanowują cały proces, począwszy od upraw. Jednocześnie utrzymują bliskie związki ze wszystkimi zaangażowanymi w wojnę domową. I właśnie dlatego, gdy konflikt zaczyna finansować głównie kokaina – w latach 90. następuje narkotykowy boom.

Interesy USA

– Po zakończeniu zimnej wojny Amerykanie ani myśleli rezygnować ze swoich wpływów w Kolumbii – mówi nam Pien Metaal z amsterdamskiego Transnational Institute (TNI), międzynarodowej organizacji na rzecz rozwoju najbiedniejszych rejonów świata.

Nic dziwnego – Kolumbia jest drugim pod względem populacji i czwartym co do powierzchni krajem w Ameryce Południowej. Ma dostęp do dwóch oceanów – Pacyfiku i Atlantyku. Ale najważniejsze są surowce. Kolumbia zajmuje siódme miejsce na liście największych eksporterów ropy do USA. W porównaniu z Wenezuelą czy Brazylią zachodnie korporacje naftowe działają tam na wyjątkowo korzystnych warunkach. Tylko jedna czwarta zysków z kolumbijskiej ropy pozostaje na miejscu, reszta zasila konta zagranicznych nafciarzy. Najwięksi to brytyjski BP oraz amerykańskie Occidental Petroleum Corporation i Exxon Mobil.

– To właśnie hasło wojny z narkotykami pozwoliło jankesom umocnić relację z kolumbijskim establishmentem – tłumaczy Pien Metaal. Najlepszym przykładem są losy „Planu Kolumbia", od 10 lat uznawanego za sztandarową operację rządu USA w jego światowej wojnie z narkotykami.

Plan powstał zresztą wcale nie w Stanach, ale właśnie w Kolumbii, i to jako inicjatywa pokojowa, a nie wojenna. Prezydent Andrés Pastrana rozpoczął negocjacje z największą z lewicowych bojówek – Rewolucyjnymi Siłami Zbrojnymi Kolumbii (FARC). Udało się zdemilitaryzować część południa kraju. „Plan Kolumbia" miał zachęcić do dalszych negocjacji, zakładał bowiem porozumienie co do państwowego uregulowania upraw koki i opium na terenach kontrolowanych przez rebeliantów. Biały Dom postawił weto i wezwał Pastranę na dywanik. Prezydent dostał propozycję nie do odrzucenia: Amerykanie dadzą pięć miliardów dolarów na sześć lat, ale kolumbijski rząd musi zerwać rozmowy z FARC i przeznaczyć 80 procent pomocy na działania militarne. Rząd się ugiął i przyjął nową wersję planu. Z pierwotnym pomysłem ma ona niewiele wspólnego.

William Hartung z nowojorskiego Instytutu Polityki Światowej wspomina: „Najważniejszym pytaniem w debacie nad planem w Kongresie było, ile helikopterów dla Kolumbii ma powstać w firmie Bell Helicopter, a ile w Sikorsky Aircraft Corporation. Politycy powiązani z tymi koncernami kłócili się o pieniądze. Nikt nie pytał, czy plan w ogóle ma sens".

Ostatecznie Bell dostał kontrakt na 42 helikoptery, a Sikorsky na 30. W czasie gdy Kongres dyskutował nad planem, obie korporacje wydały na swoich waszyngtońskich lobbystów łącznie 1,6 miliona dolarów.

Katastrofa humanitarna

Oficjalnie „Plan Kolumbia" zdał egzamin. Tak twierdzą Waszyngton i Bogota, tak twierdzi ONZ, tak twierdzi wielu zagranicznych dziennikarzy podróżujących do Kolumbii.

– Lądują w Bogocie pierwszy raz po 10 latach i przecierają oczy ze zdumienia – mówi Pien Metaal z TNI. – Rzeczywiście, stolica diametralnie się zmieniła: są restauracje, szklane biurowce, eleganckie samochody. Jest bezpiecznie. Tyle że mało który z tych wpadających w zachwyt wybiera się na głęboką prowincję.

Tam, głównie na południu, żyje około pięciu milionów uchodźców wewnętrznych. Już co 10. Kolumbijczyk musiał porzucić własny dom. To masy ludzi gnane coraz głębiej w dżunglę.

90 procent kokainy na rynku Stanów Zjednoczonych i 60 procent na światowym pochodzi z Kolumbii

Rząd w Bogocie kontroluje sytuację w miastach i na najważniejszych szlakach komunikacyjnych. Ale produkcja koki to udzielne księstwo narkotykowych karteli bądź – w zależności od prowincji – lewicowych bojówek albo prawicowych grup paramilitarnych. Chłopi uprawiają dla nich krasnodrzew, a potem z jego liści wyrabiają pastę, która przetwarzana jest na kokainę. Ta praca zapewnia ich rodzinom byt.

– Odbiorcy pasty przyjeżdżają co tydzień po towar i płacą gotówką – tłumaczy Martin Jelsma z TNI. – Farmer nie ma w zasadzie wyboru. Mógłby uprawiać jukę albo platany, ale musiałby je zawieźć do miasta i sprzedać. Tymczasem nie ma ani samochodu, ani drogi, którą mógłby dojechać na targ. „Plan Kolumbia" nie stworzył takiej alternatywy. Pozostawił chłopów na pastwę mafii.

Tymczasem podstawową kuracją antynarkotykową zaaplikowaną Kolumbijczykom przez USA jest niszczenie plantacji krzewów koki. W latach 1998–2008 samoloty spryskały 13 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni. To tak, jakby zrosić trucizną całe województwo lubuskie. W efekcie areał uprawny krasnodrzewu zmniejszył się o połowę. Tyle że produkcja narkotyku wcale nie spadła – z mniejszych pól chłopi nauczyli się uzyskiwać lepsze zbiory.

Do oprysków stosuje się między innymi środek o nazwie Roundup Ultra produkowany przez amerykańską megakorporację chemiczno-spożywczą Monsanto. Jego skład nigdy nie został ujawniony. Oprysków dokonuje się z wysokości 30–40 metrów, przez co wraz z koką giną również sąsiednie pola uprawne. Spryskany teren wygląda jak po wybuchu bomby jądrowej. Chemikalia dostają się do gleby, zatruwają wodę. Organizacja WWF alarmuje, że kolumbijscy chłopi z dotkniętych opryskami terenów już dziś cierpią na choroby skóry, układu pokarmowego i oddechowego. Na dodatek Theo Colborn z WWF ostrzega, że prawdziwe skutki oprysków, dokonywanych na przykład podczas wojny w Wietnamie, wychodzą na jaw dopiero po latach – epidemia nowotworów dotyka drugie i trzecie pokolenie urodzone na skażonych terenach.

Na pytanie, czy „Plan Kolumbia" rzeczywiście się sprawdził, odpowiedzi niech udzielą statystyki: po 10 latach, 10 miliardach dolarów, 130 tysiącach kilometrów kwadratowych zniszczonych pól, około 15 tysiącach zabitych (partyzantów, żołnierzy i cywilów; rząd w Bogocie przyznaje, że dokładna liczba ofiar wojny domowej jest trudna do ustalenia) produkcja kokainy w tym kraju utrzymała się na poziomie 600 ton rocznie. 90 procent kokainy na rynku amerykańskim i 60 procent na światowym pochodzi z Kolumbii.

Wuj Sam w Meksyku

W latach 90., zanim plan wystartował, konserwatywna grupa badawcza RAND na zlecenie rządu USA dokonała analizy ekonomicznej efektywności różnych strategii zwalczania narkotyków na ulicach amerykańskich miast. Najtańsze okazało się inwestowanie w programy prewencyjne połączone z leczeniem uzależnionych. Dużo droższe jest koncentrowanie się na działaniach policji, sądów i służb granicznych. Ale najgorzej wypadają operacje prowadzone poza granicami USA, jak ta w Kolumbii. Są 23 razy mniej efektywne od krajowej prewencji i leczenia – orzekła RAND. W dokumentalnym filmie „Plan Kolumbia" Sanho Tree, naukowiec z waszyngtońskiego Institute for Policy Studies, stawia pytanie: – Czy gdyby w naszej strategii kolumbijskiej rzeczywiście chodziło o usunięcie ⟶

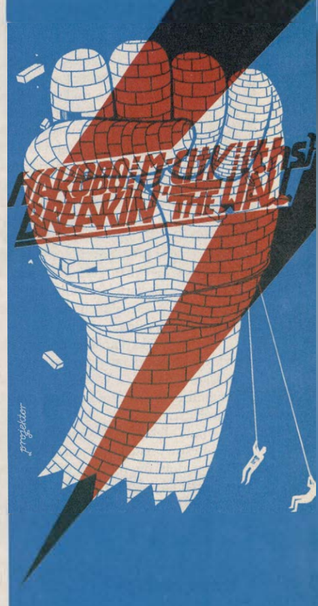


Tak wygląda **produkcja kokainowej pasty**. *Ten farmer zarabia na tym kilka dolarów dziennie. Innej alternatywy nie ma*

REKLAMA

OUT OF STH

PREZENTUJE



OUT OF STH prezentuje
symultaniczna scena miejska
23/04–13/06/2010

Obiekty pneumatyczne
wystawa Mariusza Warasa aka M-city
Galeria Awangarda | BWA Wrocław

Hail to the King, Baby!
wystawa Thomasa Schostoka aka {ths}
Galeria Awangarda | BWA Wrocław

Breakin' the Wall – wystawa murali
artyści: Dem / Erica Il Cane / Escif / Fefe Talavera / Jiem / Mudwig / SickBoy / Vova Vorotniov / Zosen
Przestrzeń miejska Wrocławia

HGW: Hakobo Graphic World
wystawa Jakuba Stępnia aka Hakobo
09/04-22/05/2010 | Galeria Design

www.outofsth.org

BWA Wrocław

FOT. CHRISTIAN ESCOBAR MORA/AP/BE&W, WALTER SILVER/DPA/FORUM, RICARDO VENTURI/CONTRASTO/EK PICTURES, MOTTE JULES/ABACA/FOTOLINK

→ narkotyków z naszych ulic, wybieralibyśmy najdroższy i najmniej skuteczny sposób?

Dziś ta wątpliwość dotyczy też amerykańskiej pomocy w Meksyku. Tamtejsze kartele wyrosły na szmuglu kokainy właśnie z Kolumbii do USA. Potem stopniowo uzupełniły działalność o uprawę marihuany, której głównym odbiorcą są Amerykanie. Gdy w 2006 roku prezydent Felipe Calderón rozpoczął wojskową ofensywę przeciw kartelom, Waszyngton temu przyklasnął i ekspresowo uchwalił plan dla Meksyku: 1,6 miliarda pomocy na trzy lata, z czego większość idzie na dozbrajanie i szkolenie armii oraz policji.

– Podobnie jak w Kolumbii ta pomoc to forma subsydiowania amerykańskiej zbrojeniówki i budowania wpływów w meksykańskiej armii i rządzie – podkreśla Jorge Hernández Tinajero z CUPIHD. – Po czterech latach ofensywy Calderóna w północnych stanach Meksyku wszyscy tłuką się ze wszystkimi: siły rządowe z kartelami, kartele między sobą, coraz częściej dochodzi do ataków na ludność cywilną.

Według Meksykańskiej Komisji Praw Człowieka morderstw dopuszcza się też wojsko. Tinajero: – W warunkach stanu wojennego 90 procent zabójstw nie podlega śledztwu.

A inne efekty? Meksykański przemysł narkotykowy nadal wart jest około 30 miliardów dolarów rocznie, większa część jego produkcji wciąż trafia do USA, a najpotężniejszy narkoboss Joaquín Guzmán Loera znalazł się na 41. miejscu listy najbardziej wpływowych osób na świecie tygodnika „Forbes".

Rządzi Pentagon

Zasadne jest zatem pytanie – co zrobić z problemem narkotyków?

Coraz liczniejsze organizacje, intelektualiści i autorytety proponują przerzucanie środków z działań policyjnych, sądowych i militarnych na prewencję i leczenie oraz stopniowe rozluźnienie reżimu prohibicyjnego. Od dziesięcioleci nie zdaje on egzaminu – narkotyki zażywa regularnie ponad 200 milionów ludzi. ONZ przyznaje, że to głównie na wartym 400 miliardów rocznie handlu narkotykami opierają swą działalność międzynarodowe grupy przestępcze. W wywiadzie, którego udzielił „Przekrojowi" w zeszłym roku Ethan Nadelmann, prezes Drug Policy Alliance, największej amerykańskiej organizacji zabiegającej o reformę polityki antynarkotykowej, nasz rozmówca przekonywał: – Ludzie popełniają błąd, myśląc, że prohibicja jest ostateczną formą regulacji. Jest na odwrót. Przedmiot prohibicji wymyka się spod kontroli państwa i przechodzi w gestię przestępców. Jest kompletnie nieuregulowany. Nie da się ustalać norm – komu wolno, komu nie wolno, jak sprzedawać, w jakich ilościach i jakich standardów jakości się trzymać. My nie mówimy: uwolnić narkotyki! Mówimy: podatek, regulacja, kontrola, edukacja.

Na straży prohibicji stoi konwencja ONZ z 1961 roku. Zmiana nie dokona się od razu i może nastąpić tylko pod warunkiem współpracy międzynarodowej. Tymczasem największe światowe supermocarstwo nadal preferuje rozwiązania siłowe. Działacze, z którymi rozmawialiśmy, są jednak zgodni, że Barack Obama chce korekty amerykańskiej polityki antynarkotykowej. Świadczy o tym choćby zawieszenie federalnego zakazu sprzedaży marihuany w celach medycznych (dopuszczalna jest w 14 stanach) czy zapowiedź Hillary Clinton w Meksyku, że więcej środków zostanie skierowanych na projekty społeczne i infrastrukturalne, a mniej na antynarkotykowe zbrojenia. Ale jak mówi nam Katarzyna Malinowska-Sempruch, szefowa programu Global Drug Policy: – Wojna z narkotykami to potężne pieniądze, interesy przeróżnych grup, konkretne ustawy uchwalane przez Kongres. To ogromny okręt, manewr jego zawracania nie będzie łatwy i szybki.

Pien Metaal z amsterdamskiego TNI wyraża się dobitniej: – Obama się stara, to widać. Ale do przejęcia kontroli nad Pentagonem jeszcze mu daleko. □



Prawie połowa Kolumbijczyków żyje poniżej progu **ubóstwa**. *Na zdjęciu: Rejon miasta Tumaco często nawiedzany przez kataklizmy*

SKĄD SIĘ WZIĘŁA KOKAINA

UPRAWA KRZEWÓW KOKI w rejonie Andów to tradycja sięgająca ponad tysiąca lat – opowiada Martin Jelsma i pokazuje mi słoiczek pełen drobnego zielonego proszku. – Liście koki spożywane w naturalnej postaci nie mają żadnych właściwości zmieniających nastrój albo świadomość. Haj z koki to dopiero dzieło europejskich naukowców.

Największymi amatorami liści krasnodrzewu (łac. *Erythroxylon coca*) są rdzenni mieszkańcy dzisiejszej Boliwii i Peru. Od stuleci koka używana jest przez nich jako łagodny stymulant. Żuje się liście, parzy z nich herbatę lub mieli je na proszek, który można dodawać do potraw i napojów. Martin, który przywozi proszek z Andów, porównuje jego działanie do kawy: – Lekko pobudza, wzmaga koncentrację.

Kokainę – czyli alkaloid silnie oddziałujący na organizm – z liści krasnodrzewu wytrącił niemiecki chemik Friedrich Gaedcke w 1855 roku. Od razu zaczęła robić karierę. Świetnie sprawdzała się w anestezjologii (do dziś używana jako miejscowe znieczulenie w okulistyce) i leczeniu zaburzeń nastroju (jej entuzjastą był Zygmunt Freud). Znalazła się w pierwszej, opracowanej w 1886 roku recepturze coca-coli. Jak w książce „De handelsreiziger van de Nederlandse cocainefabriek" („Kupiec w niderlandzkiej fabryce kokainy") dowodzi Conny Braam, w okopach I wojny światowej żołnierze wszystkich armii zagrzewali się kokainą do boju.

Wraz z rozwojem farmakologii kokaina zaczęła być wypierana przez nowe, syntetyczne środki, dość prędko też zauważono jej moc uzależniającą. Jednocześnie zyskiwała popularność jako narkotyk – urozmaicała towarzyskie uciechy artystycznej bohemy, dawała kopa do pracy robotnikom portowym, pomagała zapomnieć o znoju prostytutkom. – To rząd USA tradycyjnie stojący na straży międzynarodowej moralności rozpoczął starania o jej globalną delegalizację – mówi Martin Jelsma. – Nastąpiło to ostatecznie w 1961 roku mocą konwencji antynarkotykowej Narodów Zjednoczonych. Z prohibicyjnego rozpędu ONZ zdelegalizowała nie tylko produkcję kokainy, ale też uprawę krasnodrzewu.



Kolumbijska antynarkotykowa policja w akcji. Najwięcej korzyści z jej działalności mają amerykańscy **producenci helikopterów**



Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad **1500** współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Bełchatów BALSA 044 633 24 31 • **Białystok** AWRUK – STOLARKA BUDOWLANA 085 653 93 23 • **Bielsko-Biała** MTB JASIŃSKI 033 816 33 36 • **Błonie** CENTROBUD 022 731 81 53 • **Bolesławiec** JAWA 075 732 05 24 • **Busko Zdrój** FONTIS 041 378 80 45 • **Bydgoszcz** DRZWI – TESSA 052 364 67 00 • **Bydgoszcz** STALREM 052 346 55 23 • **Chełm** PORTO 082 565 28 28 • **Czaplinek-Sikory** P.P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 094 375 47 56 • **Czechowice Dziedzice** MTB JASIŃSKI 032 215 50 49 • **Częstochowa** BEL – POL 034 324 49 58 • **Częstochowa** FACHOWIEC 034 360 22 40 • **Ełk** MURBET 087 620 06 20 • **Gdańsk** BEL–POL 058 301 78 39 • **Gdańsk** STALREM 058 340 69 50 • **Gdynia** STOREM 058 668 46 87 • **Gdynia** WOODCOTE POLAND 058 663 84 00 • **Gliwice** BEL–POL 032 232 87 58 • **Gliwice** MAT – BUD 032 331 37 20 • **Gorzów Wlkp.** BEL–POL 095 722 73 19 • **Gorzów Wlkp.** STALREM 095 725 03 66 • **Grudziądz** EKSPOL 056 461 37 78 • **Jastrzębie Zdrój** HADEX 032 478 81 10 • **Jelenia Góra** BEL–POL 075 767 83 88 • **Kalisz** BEL–POL 062 753 67 21 • **Katowice** BEL–POL 032 252 86 91-92 • **Katowice** BUDUS Grupa PHMB 032 608 87 87 • **Katowice** WOODCOTE POLAND 032 202 50 30 • **Kielce** APOLLOPLAST 041 346 10 11 • **Kielce** BEL–POL 041 362 68 66 • **Kielce** FONTIS 041 362 72 41 • **Kłodzko** STOLPLAST 074 867 46 74 • **Kołobrzeg** WIK 094 351 64 18 • **Koszalin** SEZAM 094 342 54 46 • **Koszalin** TOM–SAN 094 343 54 88 • **Kościan** EFLI 065 511 95 66 • **Kraków** BEL–POL 012 417 39 46 • **Kraków** DREWEX 012 622 88 60 • **Kraków** HEBAN 012 651 87 62 • **Kraków** KONSTRUKTOR 012 420 00 12 • **Kraków** STALREM 012 264 72 25/26 • **Kraków** WOODCOTE POLAND 012 417 13 00 • **Legnica** BEL–POL 076 856 03 00 • **Lubin** BUDUS Grupa PHMB 076 844 39 90 • **Lublin** INTER GIPS 081 441 72 27 • **Lublin** PORTO 081 444 60 25 • **Łomża** DW DOMEL 086 215 66 15 • **Łódź** BEL–POL 042 682 64 67 • **Łódź** EKOCENTR 042 656 73 34/35 • **Łódź** MATERIAŁY BUDOWLANE 042 674 82 44 • **Łódź** STALREM 042 653 51 44/45 • **Maków Mazowiecki** CENTROBUD 029 717 13 48 • **Nowa Sól** BEL–POL 068 356 33 20 • **Nowy Sącz** BOGDAŃSKI 018 444 24 13 • **Nowy Sącz** TOMEX 018 444 11 27 • **Olsztyn** ALTADOOR 089 533 21 07 • **Olsztyn** D.P. 089 532 02 17 • **Opole** BEL–POL 077 454 42 33 • **Opole** WOODCOTE POLAND 077 402 44 40 • **Ostrów Wielkopolski** INTAR 062 737 51 48 • **Płock** BUD–MAT 024 268 65 04 • **Płock** PIK 024 268 99 66 • **Poznań** BUDOM MARKET 061 859 83 00/23 • **Poznań** C.B. PROGRESS 061 873 33 00 • **Poznań** STALREM 061 846 08 60-62 • **Przemyśl** MULTI–FORM II 016 678 48 31 • **Pszczyna** KRONODOM 032 738 77 77 • **Radom** FACHOWIEC 048 340 03 45 • **Radom** OKNO–BUD 048 381 17 95 • **Rzeszów** BOZ 017 850 51 33/34 • **Rzeszów** PORTO 017 853 27 15 • **Rzeszów** WEPA 017 864 22 80 • **Sanok** INSTAL – BUD 013 493 24 11 • **Słupsk** ROLBUD 059 842 34 95 • **Słupsk** TOM–SAN 059 842 03 22• **Słupsk** WOODCOTE POLAND 059 848 59 75 • **Suwałki** ALMAT 087 563 16 31 • **Szaflary** TOMEX 018 275 40 64 • **Szczecin** HIPER–GLAZUR 091 485 64 51 • **Szczecin** STALREM 091 484 73 99 • **Szczecinek** KPPD Szczecinek 094 372 95 55 • **Świdnica** BEL–POL 074 856 38 30 • **Tarczyn** CENTROBUD 022 727 87 67 • **Tarnów** TRANSBUD 014 629 80 73 • **Toruń** DRZWI–TESSA 056 655 92 60 • **Toruń** MS PROFI 056 660 52 95 • **Tychy** MULTI–FORM II 032 227 27 27 • **Wałbrzych** BEL–POL 074 886 95 00 • **Wałbrzych** SIRBUD 074 666 88 88 • **Warszawa** CENTROBUD 022 756 72 36 • **Warszawa** CENTRUM DRZWI 022 651 03 50 • **Warszawa** SYKOMAT 022 840 42 57 • **Warszawa** TECHNOBUD 022 632 85 06 • **Warszawa** WOODCOTE POLAND 022 796 00 76 79 • **Warszawa – Grodzisk Mazowiecki** FACHOWIEC 022 724 35 91 • **Warszawa – Janki** SYKOMAT 022 720 50 05 • **Warszawa – Łomianki** TECHNOBUD 022 751 70 41-44 • **Warszawa – Piaseczno** SYKOMAT 022 750 68 66 • **Warszawa – Pruszków** FACHOWIEC 022 728 23 78 • **Warszawa – Stara Miłosna** SYKOMAT 022 773 38 81 • **Warszawa – Stare Babice** TECHNOBUD–ALSTAL 022 382 41 01 • **Warszawa – Ząbki** SYKOMAT 022 781 55 06 • **Wejherowo** BEL–POL 058 672 30 51 • **Włocławek** MAJSTER ATLAS KUJAWY 054 412 66 21 • **Wrocław** BEL–POL 071 325 27 77 • **Wrocław** BUDUS Grupa PHMB 071 373 19 90 • **Wrocław** WOODCOTE POLAND 071 346 79 90-91 • **Zamość** METBUD 084 639 10 09 • **Zielona Góra** CeMBe 068 320 33 00

Porta KMI Poland Sp. z o.o. należy do **GRUPY BALTIS**

www.porta.com.pl



FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Po katastrofie śmigłowca z Leszkiem Millerem premier powiedział, że jeśli Polska nie wymieni przestarzałych maszyn, **wszyscy spotkamy się na pogrzebie znanej osoby**

GORZKIE LEKCJE AGNIESZKA FIEDOROWICZ

Mądrzejsi po szkodzie

Bicie się w piersi to zwykła reakcja po katastrofie takiej jak ostatnia. Ale coraz częściej, jak po wypadku w Grenoble czy w Katowicach, za postanowieniem poprawy idą rzeczywiste zmiany w prawie

Pożar wybuchł nieco po północy, 13 kwietnia 2009 roku. Zdesperowani mieszkańcy hotelu socjalnego w Kamieniu Pomorskim wyrzucali z okien dzieci, potem sami skakali. 23 zginęło w płomieniach. Śledztwo wykazało, że budynek nie spełniał norm przeciwpożarowych, część dróg ewakuacyjnych była pozamykana. Wyniki kontroli prowadzonych po pożarze w całej Polsce zszokowały. – Skontrolowano 2646 budynków, w 100 przypadkach wydano nakaz wyłączenia budynku z użytkowania – mówi Ilona Szymańska, radca głównego inspektora nadzoru budowlanego. Inne domy, na przykład w Gniewie, miały elementy łatwopalne w sufitach i ścianach. Dramat z Kamienia Pomorskiego w każdej chwili mógł się powtórzyć.

Podobnie było po tragedii z 28 stycznia 2006 roku, gdy na uczestników wystawy gołębi runął dach hali Międzynarodowych Targów Katowickich. Zginęło 65 osób. Po katastrofie skontrolowano prawie 16 tysięcy obiektów, posypały się mandaty. Rząd zapowiadał ekspresową nowelizację prawa.

– Od czerwca 2007 budynki o powierzchni powyżej dwóch tysięcy metrów kwadratowych oraz inne obiekty o powierzchni dachu przekraczającej tysiąc metrów kwadratowych muszą przejść kontrole dwa razy w roku – wyjaśnia Szymańska. Obowiązek dotyczy prawie 17 tysięcy hal i supermarketów, grzywny mogą sięgać 200 tysięcy złotych. Po kontrolach aż 29 budynków trzeba było wyłączyć z użytkowania, a 3 rozebrać.

Bezcenne minuty

Większość uratowanych w Katowicach zawdzięcza życie dobrze zorganizowanej akcji ratunkowej. Na Śląsku funkcjonował już bowiem zintegrowany system ratownictwa medycznego. – Ustawa o ratownictwie medycznym była uchwalona w 2001 roku, ale kolejne rządy tłumaczyły się brakiem pieniędzy na wprowadzenie tych przepisów w całym kraju – mówi krajowy konsultant do spraw medycyny ratunkowej, profesor Juliusz Jakubaszko. Po katastrofie w Katowicach ówczesny premier Marcinkiewicz zapowiedział przyspieszenie prac legislacyjnych, a prezydent podpisał znowelizowaną ustawę we wrześniu 2006 roku.

– Umożliwiła ona samodzielne obsadzanie ratownikami medycznymi niektórych ambulansów. Zachęciła do uruchamiania szpitalnych oddziałów ratunkowych – wylicza Jakubaszko. Stworzono też sieć centrów powiadamiania ratunkowego (CPR), która integruje pracę straży, policji i pogotowia. Zamiast jak dotąd wybierać trzy numery, wystarczy jeden telefon pod 112, a koordynator pokieruje akcją. Jakie to ważne, okazało się w 2005 roku w czasie tragedii pod białostockim Jeżewem, gdzie w wypadku autokaru zginęli maturzyści jadący do Częstochowy. – Gdyby wtedy był CPR, taki z prawdziwego zdarzenia, dyspozytor na pewno wysłałby zdecydowanie więcej karetek i strażaków – przyznawała potem biorąca udział w akcji lekarka Ewa Szymczuk.

Niełatwo być kierowcą

W lipcu 2002 roku rozbił się autokar wiozący pielgrzymów do Medjugorie, zginęło 19 osób. Później, w lipcową niedzielę 2007 roku, autokar wracający z sanktuarium La Salette nie wyhamował na ostrym zakręcie górskiej drogi w Vizille i spadł ze skarpy. Śmierć poniosło 26 osób. Przy pierwszym wypadku zaważyło między innymi zmęczenie, w drugim – niedoświadczony kierowca miał 22 lata i prawo jazdy na autobusy zaledwie od 10 miesięcy. Politycy obiecywali częstsze inspekcje i montowanie w autokarach czarnych skrzynek.

– Po każdym wypadku nasilają się kontrole – przyznaje Alvin Gajadhur z Głównego Inspektoratu Transportu Drogowego. – Bywamy nawet wzywani do autobusu ze szkolną wycieczką jadącego kilka kilometrów na miejski basen – mówi. Z czarnych skrzynek ostatecznie zrezygnowano. Zaostrzono jednak wymogi dotyczące czasu pracy kierowców i ich wyszkolenia.

– Nasze prawo jest teraz bardziej restrykcyjne niż w innych krajach unijnych – podkreśla Tadeusz Wilk, dyrektor Departamentu Transportu w Zrzeszeniu Międzynarodowych Przewoźników Drogowych w Polsce. Od 2008 roku, by zostać kierowcą autobusu, nie wystarczy 30-godzinny kurs. – Kierowca przechodzi 280-godzinną kwalifikację wstępną, wtedy uczy się jazdy na specjalnym torze i symulatorze – wylicza dyrektor Wilk. Co pięć lat trzeba przejść doszkolenie, by odnowić uprawnienia kierowcy zawodowego. – Za nieprzestrzeganie tych przepisów firmie grozi odebranie licencji przewozowej, czyli zawodowa śmierć – tłumaczy Wilk.

Przywalić kontrolą

Nie ze wszystkich tragedii wnioski wyciąga się natychmiast. 21 listopada 2006 roku w kopalni Halemba w Rudzie Śląskiej 1030 metrów pod ziemią eksplodował metan, potem pył węglowy. Zginęło 23 górników. Pojawiły się głosy, że w rejon, w którym doszło do wybuchu, nikt nie powinien był wchodzić. Część pracowników nie miała właściwego przeszkolenia. Pracy w zagrożeniu metanowym nie można było uniknąć, ale powtarzało się między innymi niewłaściwe wykorzystanie czujników. We wrześniu 2009 roku w KWK Wujek wybuch metanu zabił kolejnych 20 górników.

– Dochodzenia wykazały też, że w obu przypadkach użytkowane w polach metanowych urządzenia elektryczne były niesprawne. W Halembie czujniki były umieszczane w niewłaściwych miejscach. W kopalni Wujek komisja badająca przyczyny zdarzenia stwierdziła, że to iskra powstała na skutek zwarcia w jednym z przewodów spowodowała wybuch – tłumaczy Piotr Litwa, prezes Wyższego Urzędu Górniczego. – Nasi inspektorzy nie mogą być wszędzie, przy każdym pracowniku. Zaczęliśmy więc działać wybiórczo, ale drastycznie – mówi prezes. Od stycznia tego roku dyrektorzy okręgowych urzędów górniczych wyznaczyli w kopalniach rejony, w których kumulują się zagrożenia. Kontrole są tam przeprowadzane częściej, a kary dotkliwe.

– Wstrzymanie robót to dla firmy naprawdę duże straty – zapewnia prezes Litwa. Tylko od stycznia liczba takich zatrzymań w porównaniu z zeszłym rokiem wzrosła (w zależności od rejonu nadzoru górniczego) od 175 do 245 procent.

Więcej godzin w powietrzu

W grudniu 2003 roku pod Warszawą rozbił się śmigłowiec Mi-8 z premierem Leszkiem Millerem. W styczniu 2008 roku podczas podchodzenia do lądowania w Mirosławcu rozbił się samolot Casa z wysokimi rangą dowódcami sił powietrznych.

– Smoleńsk jest dowodem, że nie wyciągnięto wniosków z tragedii w Mirosławcu – uważa Tomasz Hypki, sekretarz Krajowej Rady Lotnictwa, szef czasopisma „Skrzydlata Polska". – Warunki identyczne: zła pogoda, podejście poza osią pasa, decyzja o lądowaniu mimo braku wyposażenia lotniska w urządzenia do precyzyjnego lądowania. Już po casie bito się w piersi, obiecywano poprawę wyszkolenia pilotów – dodaje.

– Wszystkie lotniska wojskowe sił powietrznych z wyjątkiem współużytkowanego Radomia mają dziś sprawne systemy nawigacyjne ILS. Zweryfikowano również zasady szkolenia pilotów, szczególnie na nowo zakupionych maszynach. Samodzielnie trenujemy między innymi na casach i na F-16 – ripostuje szef szkolenia sił powietrznych, generał dywizji Anatol Czaban. Zwiększono też dodatki motywacyjne, by zatrzymać w armii dobrych pilotów.

Na powtarzany zarzut o niewystarczającym wyszkoleniu pilotów generał odpowiada: – W ciągu ostatnich kilku lat liczba wylatanych godzin znacząco wzrosła. To oznacza, że każdy nasz pilot zdobywał większe doświadczenie. Pilotujący tupolewa do Smoleńska, świętej pamięci major Arkadiusz Protasiuk, wylatywał w ostatnich latach ponad 300–400 godzin rocznie. Tylko w tym roku miał już wylatane 58 godzin, z czego 43 jako dowódca załogi.

– Żaden przepis nie zakazywał, by na pokład feralnego tupolewa wsiedli razem prezydent i szef NBP oraz najważniejsi dowódcy wojskowi. Ta delegacja powinna lecieć co najmniej dwoma samolotami – uważa Hypki.

Generał Czaban oponuje: – Ustalanie i akceptowanie listy pasażerów, gdy dysponentem lotu jest Kancelaria Prezydenta czy Prezesa Rady Ministrów, wykracza poza zakres odpowiedzialności MON.

Teraz prawo ma się zmienić – pracę nad nowymi przepisami zapowiedzieli urzędnicy Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Po katastrofie pod Smoleńskiem profesor Jacek Hołówka mówił dla „Przekroju", że nawet tragiczne wydarzenia trzeba wykorzystać dla zmiany na lepsze. „Jest taka groźba, że cała energia pójdzie w procesje, wieńce i przebieranie na czarno. Musimy temu zapobiec, aby śmierć wszystkich lecących tym samolotem nie poszła na marne".

Szkoda tylko, że zmiany stają się tak oczywiste – dopiero po tragediach, a nie przed nimi. □

Opłata zgodna z cennikiem operatora sieci, z której wykonywane jest połączenie.
WYBIERZ NAJLEPSZY ZESTAW
internet bezprzewodowy
+
telefon stacjonarny
i abonament
za 1 zł
Sprawdź inne SuperZestawy na www.era.pl
lub w punktach sprzedaży.
Zadzwoń: 0 801 202 602 lub 602 900 000.
era
MOŻESZ WIĘCEJ



Arctowski latem. **Skromny 34-latek** *wygląda jak baza na Marsie ze starych filmów s.f.*



Badanie stanu lodowca **za pomocą tyczki**

MROŹNE POŁUDNIE TOMASZ M. AUGUSTYNIAK

Stacja na lodzie

Arctowski w każdej chwili może przestać działać. Jeśli zabraknie pieniędzy na jego remont, Polska zniknie z Antarktydy i straci szansę na korzystanie z jej bogactw

Do wybrzeży Wyspy Króla Jerzego zawija statek „Polar Pioneer". Potężna jednostka wpływa do Zatoki Admiralicji – to tam położona jest polska stacja antarktyczna. Zabierze do kraju ostatnich uczestników letniej wyprawy, puste kontenery i nieco sprzętu. Na miejscu pozostanie tylko grupa zimująca.

A droga w przeciwnym kierunku, z Polski na Antarktydę? Ładunek dla stacji – roczny zapas jedzenia, ponad sto ton paliwa i materiały budowlane – przewozi się ciężarówkami z Warszawy do Gdyni, tam wszystko trafia na statek. Na pokład wsiada też część członków wyprawy, reszta dostanie się do bazy przez Amerykę Południową. Ładunek wysłany w ten sposób we wrześniu dociera na miejsce dopiero w grudniu. W marcu, gdy skończy się arktyczne lato, „Polar Pioneer" wróci po część załogi i niepotrzebny sprzęt. I tak rok w rok.

Krzysztof Zubek, weteran wypraw polarnych i jeden z budowniczych stacji, pierwszy raz pokonał drogę na Antarktydę w 1976 roku. Wiosną podjęto decyzję o założeniu placówki, szybko zgromadzono materiały i dokumentację, a ekspedycja ruszyła pod koniec roku.

Statki wiozły ekipę liczącą ponad 240 osób. Budowa trwała dwa miesiące. 26 lutego 1977 roku nadano komunikat, że stacja zaczęła działać. Pierwszej zimy zostało tam 19 osób, w tym Zubek. Ta pierwsza polarna zima nie była łatwa – ludzie nie mieli doświadczenia w projektowaniu budynków zdolnych wytrzymać tamtejsze ekstremalne warunki. Niektórzy członkowie załogi źle znosili rozłąkę z krajem, niskie temperatury i huraganowy wiatr. Ale to i tak była niewielka cena za tak cenną obecność Polski w Antarktyce. – Kończyły się nam łowiska dalekomorskie, a mieliśmy rozwiniętą flotę rybacką – tłumaczy Zubek. – Trzeba było szukać nowych miejsc, które można byłoby eksploatować.

Aby korzystać z wód strefy konwergencji, trzeba było zostać sygnatariuszem Układu Antarktycznego. Polska stała się więc jego członkiem, a zbudowanie stacji dało nam głos na forum międzynarodowym. Zadowoleni byli i rybacy, i naukowcy, którym Arctowski dał okazję do nowych badań.

Jednak Polacy krótko cieszyli się przysmakami z lodowatych wód. Szybko przestała nam sprzyjać sytuacja geopolityczna. Podczas brytyjsko-argentyńskiej wojny o Falklandy polski rząd poparł Brytyjczyków. W odwecie Argentyńczycy zamknęli nam za to dostęp do łowisk w ich strefie ekonomicznej. Z kolei w innych strefach zaczęły się wyczerpywać zasoby ryb, więc Polska musiała wycofać swą flotę z wód Antarktyki. Został tylko Arctowski.

Siódmy kontynent

Antarktyda to dziwny kontynent. Nie tylko z powodu klimatu i braku stałych mieszkańców, ale przede wszystkim sytuacji politycznej. W przeszłości wiele państw rościło sobie prawa do różnych części tego obszaru. Dlatego w latach 50. podpisano w Waszyngtonie Traktat Antarktyczny, który zamrażał wszelkie pretensje terytorialne. Antarktyda jest od tego momentu własnością całej ludzkości, terenem, którego nie można wykorzystywać militarnie ani wydobywać tam żadnych surowców. A byłoby co wydobywać. – Tam jest cała tablica Mendelejewa – ocenia docent Marek Zdanowski z Zakładu Biologii Antarktyki Polskiej Akademii Nauk. – Pod lodem kryją się prawdziwe skarby: ropa, węgiel czy rudy żelaza i uranu. Nie do ruszenia, przynajmniej dopóki obowiązuje traktat. A gdy przestanie obowiązywać, trzeba się będzie zastanowić, co z tymi bogactwami zrobić. Dzięki istnieniu stacji na Wyspie Króla Jerzego Polska będzie miała w tym względzie prawo głosu – jako jedno z 28 państw, które podpisały antarktyczny pakt.

Życie towarzyskie

O Antarktyce doktor Małgorzata Korczak marzyła od dziecka. Uwielbiała zimno i pracę w terenie, dlatego bez wahania zgłosiła się na wyprawę. Teraz prowadzi badania genetyczne oraz monitoring populacji fok i pingwinów potrzebny do ustalania limitu połowów kryla i ryb, którymi te zwierzęta się żywią. Na pracę w terenie załoga Arctowskiego wykorzystuje niemal każdy pogodny dzień. Prowadzi rozpoznanie geologiczne wyspy, fotografuje morską faunę i florę, przeprowadza dziesiątki eksperymentów. Najgorzej jest w środku zimy, czyli w lipcu i sierpniu, wtedy nie da się prowadzić badań, trzeba za to pilnować, żeby stacja nie została zasypana.

W Arctowskim toczy się życie towarzyskie. Kiedy polarnicy mają wolny dzień, zapraszają gości z okolicznych stacji. Czasami w lecie ktoś rozpali grilla. Ale sielsko jest tylko od święta. Największym zagrożeniem oprócz psującego się sprzętu są huraganowe wiatry, zmienna pogoda i przykryte śniegiem szczeliny w lodowcu, głębokie nawet na kilkaset metrów.

– Trzeba bardzo uważać, bo łatwo w nie wpaść – mówi dyrektor Zakładu Biologii Antarktyki PAN, docent Andrzej Tatur. – Dwa lata temu dwaj Argentyńczycy runęli w taką szczelinę ze skuterem śnieżnym. Szukano ich do 150 metrów w głąb, ale nigdy nie znaleziono. Mnie również zdarzyło się wpaść – na szczęście płytko.

Jeszcze groźniejsza od szczelin bywa pogoda. W latach 80. Tatur razem z innym naukowcem wybrał się pontonem poza Zatokę Admiralicji, by zbadać odleglejszy rejon wyspy. W mgnieniu oka rozpętał się sztorm i zaczął padać śnieg. Wiatr zniósł ponton na odległy brzeg, tam w ciągle zasypywanym namiocie polarnicy spędzili kilka dni. Kiedy pogoda się poprawiła, okazało się, że nie działa silnik, więc musieli wiosłować. Po drodze spotkali szukające ich chilijskie helikoptery wezwane przez zaniepokojonych kolegów. Dziś docent Tatur przyznaje, że zabrakło im wtedy wyobraźni. Bo często ludzie sami wystawiają się na ryzyko. Nie wszyscy psychicznie radzą sobie z warunkami, w których muszą żyć.

Ale mimo niebezpieczeństw Antarktyda kusi i chętnych na wyprawy nie brakuje. Może dlatego, że na siódmym kontynencie ciągle jest wiele nie do końca zbadanych rejonów. – To ziemia, która w przeszłości spajała wszystkie kontynenty i kryje jeszcze wiele tajemnic – tłumaczy Tatur. – Tam nadal trwa wyścig odkrywców.

Baza się sypie

Niedawno polarnicy hucznie świętowali 34. rocznicę założenia Arctowskiego. Ale polski klimat wydaje się im nie sprzyjać. – Stacja jest traktowana gorzej niż po macoszemu – narzeka docent Marek Zdanowski, mikrobiolog. Podobnego zdania jest Tatur. W tym roku z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego polarnicy dostali niecałe 740 tysięcy złotych na infrastrukturę w Polsce i trochę ponad 2,5 miliona na funkcjonowanie stacji.

Ministerstwo wyjaśnia, że Arctowski, który nie jest jednostką naukową w rozumieniu ustawy, funkcjonuje w ramach Zakładu Biologii Antarktyki PAN. I to zakład dostaje pieniądze na utrzymanie stacji. Dwa razy w roku może wnioskować o środki na projekty badawcze i raz o środki na inwestycje. Fundusze, które ministerstwo przekazało Zakładowi Biologii Antarktyki na działalność stacji, są nawet nieco większe niż w ostatnich latach, ale i tak nie odpowiadają potrzebom.

– To o wiele za mało – ocenia doktor Tomasz Janecki, szef zespołu naukowców pracujących na Antarktydzie. – Wynajęcie statku z opłatami portowymi pochłania dwie trzecie tej kwoty. Trzeba zamówić żywność na cały rok, dokonywać bieżących napraw. Z ministerialnej puli finansuje się też podróż, pensje dla grupy technicznej i paliwo – wylicza. Ładunek ze statku na ląd transportuje się zdezelowaną amfibią, która już długo nie pociągnie, a bez niej trudno będzie pracować. Zresztą koszt przewiezienia ładunku na drugą półkulę od kilku lat systematycznie rośnie. Do tej pory środki wystarczały na bieżącą działalność, teraz, jak szacują naukowcy, brakuje około miliona złotych rocznie.

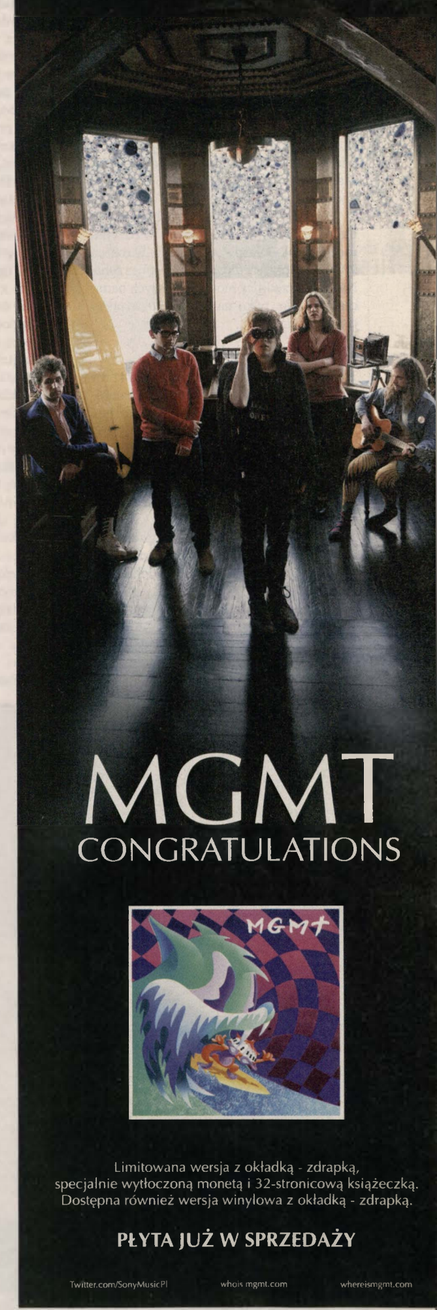
Na tym jednak nie koniec. Większość sprzętu i budynków na Arctowskim ma ponad 30 lat. Ostatni duży remont przeprowadzono 12 lat temu – wymieniono wtedy baraki mieszkalne. Już wkrótce będzie potrzebny remont bazy, a to koszt kilku milionów złotych. A trzeba by jeszcze zbudować oczyszczalnię ścieków, nową instalację energetyczną, konieczne jest też odnowienie rozsypującej się kuchni i stołówki. Te ostatnie, zbudowane w góralskim stylu, stanowią serce i wizytówkę stacji.

Uczestnicy wypraw sobie radzą, bo innego wyjścia nie mają – cały sprzęt jest utrzymywany na chodzie, choć lada moment może być naprawdę ciężko. Z doktorem Janeckim rozmawiam telefonicznie, przez Internet. – Stacja trzyma się dobrze, ale mamy problemy ze sprzętem – relacjonuje. – Warunki pogodowe są bardzo ciężkie, jest zimno i wietrznie. Wszędzie wciska się słona woda, więc wszystkie metalowe części zużywają się bardzo szybko – tłumaczy. Teraz, kiedy w Polsce na dobre zaczyna się wiosna, na stacji rusza świeżo zbudowany kompleks zbiorników paliwowych – stary zbiornik ma 34 lata i stał się niebezpieczny dla środowiska. →

REKLAMA

SONY MUSIC

Długo oczekiwana płyta magików pop-rocka



MGMT
CONGRATULATIONS

Limitowana wersja z okładką - zdrapką, specjalnie wytłoczoną monetą i 32-stronicową książeczką. Dostępna również wersja winylowa z okładką - zdrapką.

PŁYTA JUŻ W SPRZEDAŻY

Twitter.com/SonyMusicPl whois mgmt.com whereismgmt.com

eska ROCK cojestgrane InStyle myspace.com PRZEKRÓJ FUTU rebel:tv K MAG iplex.pl SCREENAGERS.PL cgm.pl students.pl WP.PL

FOT. TOMASZ JANECKI, PIOTR HORZELA (5), DOMINIKA RUPP

→ Polacy zazdroszczą Chilijczykom, którzy na Wyspie Króla Jerzego mają pocztę, bank, stację radiową i lotnisko. Z kolei Brytyjczycy zbudowali niedawno nową bazę za, bagatela, 20 milionów funtów, a Peruwiańczycy, którzy na letnią stację Machu Picchu mają trzy razy bliżej niż Polacy na Arctowskiego, dysponują budżetem trzy razy wyższym niż nasz. O finansowym konkurowaniu z tymi krajami nasi badacze mogą tylko pomarzyć. W zeszłym roku zabrakło pieniędzy na wysłanie szefa zakładu na międzynarodowe spotkanie antarktyczne. W tym roku też są problemy z pieniędzmi, ale wsparcie obiecuje tym razem polskie MSZ. Fundusze potrzebne są też na badania. – Tak, by ich wyniki były adekwatne do naszej pracy – mówi doktor Małgorzata Korczak. – Polscy specjaliści są doceniani wszędzie, tylko nie w Polsce.

Polarnikom żal też, że ich badania są mało rozreklamowane – nawet Międzynarodowy Rok Polarny zakończony w marcu 2009 roku przeszedł u nas prawie bez echa. Na razie urzędnicy mówią o naszych badaczach ciepło, tylko na Antarktydzie jakby coraz chłodniej.

Nasz kawałek lodu

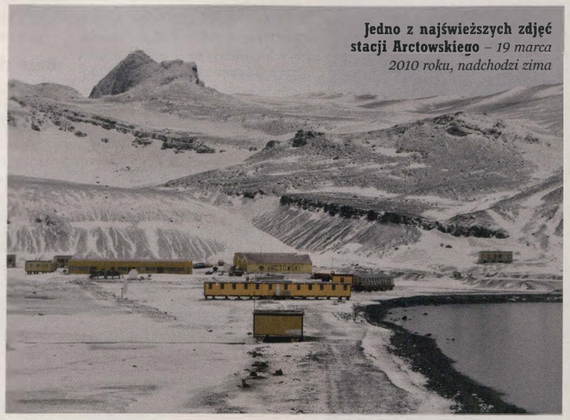
Traktat antarktyczny wygaśnie w 2041 roku i nie wiadomo, czy komuś będzie zależało na jego przedłużeniu. To, że o położone pod lodem obszary ziemi zaczyna się prawdziwa walka, pokazali już Rosjanie, którzy trzy lata temu na dnie morza w okolicach bieguna północnego zatknęli swoją flagę. Na nieprzebrane bogactwa Arktyki apetyt mają także Amerykanie i Kanadyjczycy. Wokół Antarktyki jest na razie cicho, ale choć nowa gorączka złota zaczyna się na północy, to prędzej czy później dotrze też na południe.

Zdaniem Rafała Tarnogórskiego, analityka Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, możliwe są wtedy dwa scenariusze. Albo po 2041 roku powstanie specjalna agencja do spraw wydobycia surowców, albo pod międzynarodową kontrolą zajmą się tym same państwa w przypisanych im sektorach. Już teraz kraje takie jak Wielka Brytania i Chile uważają całe połacie Antarktydy za swoje terytoria zamorskie, choć nie są one międzynarodowo uznane. Dlatego wciąż utrzymują tam duże zespoły ludzi i mnóstwo sprzętu. – Nie widzę powodu, dla którego poważne państwo miałoby z tego rezygnować – komentuje Tarnogórski. – Obecność na kontynencie to potwierdzenie roszczeń.

Tatur należy do zwolenników zwolennikiem scenariusza międzynarodowego. – Jestem przekonany, że Antarktyda będzie w przyszłości wielonarodowościowym państwem, ze swoim parlamentem, rządem, służbami i organizacjami – mówi. – Ich zaczątki już kryją się w organizacjach Układu Antarktycznego.

Być może po powstaniu takiego tworu również polskim koncernom uda się coś na tym ugrać. Na razie Polska czerpie korzyści z badań naukowych. Problem w tym, że nasi specjaliści prowadzą głównie badania podstawowe, a więc takie, które nie przynoszą od razu użytecznych wynalazków. Są już jednak odkrycia, które można wykorzystać w przemyśle chemicznym. Na przykład enzym produkowany przez zimnolubne bakterie, który umożliwia pranie w zimnej wodzie. Bada się również wodziany metanu, które w przyszłości być może dadzą się wykorzystać jako paliwo.

Głos w Układzie Antarktycznym to poważny instrument dyplomatyczny, ale bez stałej obecności w regionie nikt go nie będzie słuchał. – Kto raz zdejmie pionki z planszy, nie będzie miał możliwości dalszej gry – przekonuje Rafał Tarnogórski. Trzeba być czujnym – ostrzegają badacze krainy lodu, śledząc przygotowania do eksploatacji złóż mineralnych na Antarktydzie i czekając na lepsze czasy. – Mamy atut, jest nim Arctowski – mówi z przekonaniem docent Marek Zdanowski. □



Jedno z najświeższych zdjęć stacji Arctowskiego – *19 marca 2010 roku, nadchodzi zima*



Widok na Cieśninę Bransfielda ze skały **Lwi Zad**



Cztery **młode słonie morskie** *i* **placówka badawcza** *na Lwim Zadzie. Latem mieszkają tam dwie osoby odpowiedzialne za monitoring przyrody*

HONDA
The Power of Dreams

charakter
czyni wojownika
Honda Civic GT





Pokaż światu swój prawdziwy charakter.

Zmierz się z Hondą Civic w wyjątkowej wersji GT, porywającej śmiałą stylistyką i sprawdzonymi rozwiązaniami technologicznymi. Wyposażyliśmy ją w dynamiczny silnik 1.4 lub 1.8, sportowy grill, w pełni lakierowane nadwozie, unikalną tapicerkę i wiele innych elementów, podkreślających jej charakter.

A Ty, co masz w sobie?

Zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 5,9 do 6,7 l/100 km, emisja CO_2 od 135 do 155 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyclingu samochodów wycofanych z eksploatacji na www.honda.pl

PRZESTĘPCZOŚĆ TEKST IGOR RYCIAK, ILUSTRACJA MAREK RACZKOWSKI

Bank za pazuchą

Narzędzia: stary traktor albo laweta przewożąca toi toie. Ręczna robota – tylko dla wyjątkowo cierpliwych. Łup: nawet kilkaset tysięcy złotych

Taki skok wymaga nie mniejszych przygotowań niż klasyczny napad na bank lub galerię. Weźmy przykład ze Szczyrku. Policja szacuje, że tam w wyrywaniu bankomatu brały udział trzy, może cztery osoby. Ktoś musiał zrobić rekonesans terenu, ktoś inny stać na czatach, ktoś w końcu musiał tę akcję wymyślić i nią pokierować. Przestępcza operacja zaczęła się w nocy z 21 na 22 marca tego roku.

Najpierw z niewielkiego gospodarstwa na obrzeżach podbeskidzkiej Wisły znika traktor – stary, mocno już zużyty ursus. Gospodarz o złodziejach nic powiedzieć nie umie, bo w chwili kradzieży śpi jak zabity. Rano policja przyjmuje rutynowe zgłoszenie. Nic specjalnego, takich kradzieży jest wiele.

To, że stary ciągnik nie posłuży do orki, wyszło na jaw już następnej nocy. Pod osłoną mroku ursus pojawił się (policja podejrzewa, że ciągnik przewieziono na lawecie) przy ulicy Myśliwskiej w Szczyrku, 15 kilometrów od Wisły. Tam, opodal pawilonu spożywczego, był bankomat. – Urządzenie wolno stojące. Ani w specjalnym pomieszczeniu, ani wmurowane w budynek – opisuje precyzyjnie podkomisarz Elwira Jurasz, oficer prasowy policji w Bielsku-Białej.

Było po trzeciej nad ranem, gdy przestępcy opasali bankomat stalową, grubą na trzy centymetry liną. Podpięli ją do ciągnika. Silnik zawył, lina napięła się jak struna i ciężki bankomat wyskoczył z fundamentu. Lekko niczym świnka skarbonka.

Tona do wyrwania

W ubiegłym roku w całym kraju obrabowano 121 banków. To rekord – w powojennej historii polskiej przestępczości aż tyle napadów w takim czasie zdarzyło się po raz pierwszy. Statystyki przedwojenne nie są znane.

Jak szacuje Instytut Bezpieczeństwa Gospodarczego (policja i same banki trzymają to w tajemnicy), średni łup wynosi 19,5 tysiąca złotych. W dużych miastach, gdzie napady zdarzają się najczęściej, policja powołała stałe grupy dochodzeniowe. Ale udaje im się wyjaśnić zaledwie co trzecią sprawę.

Jakby napadów było mało, policja ma nowy problem. Coraz większy, choć w statystykach ukryty. Kradzieże całego bankomatu nie są bowiem szczególnie wyróżniane – tego typu przestępstwa policja zalicza do ogólnego katalogu „kradzieże".

Ale zdaniem Wojciecha Stawskiego, eksperta z Instytutu Bezpieczeństwa Gospodarczego, to coraz poważniejszy problem. – Urządzeń stale przybywa. Maszyny stoją w centrach handlowych, gdzie przetaczają się tłumy, ale też w miejscach, które w nocy są niemal odludne. A przecież gotówka kusi złodzieja tak samo jak w banku – mówi specjalista.

W Polsce jest 16 tysięcy bankomatów, 4 razy więcej niż 10 lat temu. Bankomat stojący nawet w bocznej osiedlowej uliczce nikogo już nie dziwi. Dlatego mieszkańców ulicy Zaułek na warszawskim osiedlu na Białołęce zaskoczyła raczej nieobecność maszyny zauważona pewnego wrześniowego poranka w zeszłym roku.

Później policja ustaliła: nieokreślonej wielkości grupa przestępców w nocy podjechała ciężarówką pod bankomat wmurowany w ścianę pawilonu handlowego. Maszynę przyczepili liną do samochodu, pociągnęli, wyrwali z kawałem muru, załadowali na auto i odjechali. Sprawców nie schwytano. Wiadomo tylko, że narzędzie przestępstwa, czyli ciężarówkę, ukradziono z firmy budowlanej w podwarszawskich Markach.

Do kradzieży bankomatu trzeba użyć ciężkiego sprzętu ze względu na masę urządzenia. Producenci oferują co prawda maszyny, które ważą nie więcej niż sto kilogramów, ale takie bankomaty są umieszczone tam, skąd trudno byłoby zabrać urządzenie niepostrzeżenie – w recepcjach hotelowych, w holach urzędów, w biurowcach. Maszyny instalowane na zewnątrz ważą od 400 kilogramów do tony.



Jednak inwencja, cierpliwość i zaangażowanie złodziei nie znają granic. W Głogowie trzej przestępcy przez całą noc wykuwali bankomat wmurowany w ścianę pasażu handlowego. To była żmudna robota, bo mężczyźni (raczej nie kobiety) używali tylko ręcznych narzędzi, by uniknąć hałasu. Gdy skończyli, załadowali bankomat na wózek (także ręczny) i powieźli go w siną dal. Czy całonocne kucie mogło im się opłacić?

Jeden łom to za mało

O tym, ile gotówki jest w bankomatach, wiedzą tylko banki lub złodzieje. Ani Związek Banków Polskich, ani poszczególne banki nie udzielają takich informacji – ze względów bezpieczeństwa. Złodzieje też milczą.

Jawne są za to specyfikacje techniczne kolejnych modeli. W największych terminalach pojemnik mieści trzy tysiące nowych lub dwa i pół tysiąca używanych banknotów – bez względu na nominał. W zależności od liczby wydawanych nominałów w jednym bankomacie są trzy lub cztery takie kasety. W bankomacie może znajdować się więc nawet 10–12 tysięcy banknotów. Zakładając, że ich średni nominał wynosi 50 złotych (10, 20, 50 i 100 złotych), w sumie daje to 500–700 tysięcy złotych w urządzeniu świeżo uzupełnionym pieniędzmi. Skromny, mały bankomat ustawiony na uboczu przechowuje zapewne mniejsze kwoty. Ale wystarczające, by skusić złodziei.

Operatorzy bankomatów w razie kradzieży muszą do swoich strat dopisać także wartość samej maszyny, która dochodzi do stu tysięcy złotych. Dlatego starają się chronić urządzenie – przynajmniej przed zakusami amatorów bez ciężarówek lub traktorów. Wmurowane bankomaty zabezpieczone są kotwami wchodzącymi w ścianę na kilkadziesiąt centymetrów, a fundamenty wolno stojących maszyn sięgają przynajmniej na 30 centymetrów w głąb gruntu. Michał Bagiński, rzecznik prasowy sieci eCard (jeden z operatorów bankomatów), wyjaśnia, że samo wyrwanie urządzenia nie gwarantuje jeszcze jego otwarcia. – Gotówka składowana jest w mechanicznych sejfach wyposażonych w minimum dwa zamki. Bez specjalistycznych narzędzi nie da się ich otworzyć – mówi. Zdradza też (nie chcąc podać konkretnych liczb), że część terminali podłączono do automatycznego systemu monitoringu, który wszczyna alarm w razie próby kradzieży czy zniszczenia.

To dlatego policji w Świnoujściu udało się zatrzymać pewnego 42-latka. Chciał ukraść bankomat przy użyciu zwykłego łomu. Nim dotarł do niego patrol interwencyjny, rabuś zdołał zdemontować jedynie boczne listwy urządzenia.

Bardziej specjalistycznego sprzętu użyli złodzieje na osiedlu Nałkowskich w Lublinie. Najpierw z parkingu skradli lawetę służącą do opróżniania toalet toi toi, a potem za jej pomocą wyrwali terminal. Nim nadjechał radiowóz, po spryciarzach nie było śladu.

Gazem do kasetki

Mimo powtarzającego się schematu kradzieży policja twierdzi, że w Polsce nie ma grup wyspecjalizowanych w wyrywaniu bankomatów. – Oceniamy, że to wybryki złodziejskich szajek, które zajmują się klasycznymi włamaniami do firm i mieszkań – twierdzi młodszy inspektor Mariusz Sokołowski z Komendy Głównej Policji.

Co innego na zachodzie Europy. Tam złodzieje są bardziej wyrafinowani. We Francji i w Holandii plagą są kradzieże wybuchowe – włamywacze najpierw wiercą otwór w terminalu, potem wpuszczają przez dziurę palny gaz, który podpalają. Eksplozja rozrywa obudowę i ze środka można zabrać kasetki z pieniędzmi. Problem jest tak poważny, że miejscowe banki zaczęły instalować w swoich urządzeniach dmuchawy, które wymuszają obieg powietrza w maszynie.

W Polsce nikt jeszcze nie wprowadza gazów do brzucha bankomatu. Podobnie nikt dotąd nie skorzystał z siły własnych mięśni, a taka historia wydarzyła się miesiąc temu w Moskwie. Do sklepu na obrzeżach rosyjskiej stolicy wszedł potężny mężczyzna, wziął bankomat pod pachę, wsadził do bagażnika samochodu i odjechał. Siłaczem namierzonym wkrótce przez policję okazał się zawodnik rosyjskiej ligi sumo.

Bankomat, czyli automatyczny kasjer, w czasie napadu nie da się sterroryzować „przedmiotem przypominającym broń". Ale też nie zawoła o pomoc. A skoro żyjemy w kraju, w którym złodzieje ukradli na złom kilkudziesięciometrowy most drogowy, kradzież bankomatu przy użyciu starego traktora nie powinna już nikogo dziwić. □

Dołącz do współwłaścicieli



Niniejszy materiał nie może być rozpowszechniany w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Australii, Kanadzie i Japonii.

Zapisy na akcje PZU dla inwestorów indywidualnych od 20 do 28 kwietnia 2010 w biurach maklerskich na terenie całego kraju.

Ostatniego dnia zapisy do godz. 16

Zasady składania zapisów przez inwestorów indywidualnych:
• każdy inwestor indywidualny może złożyć jeden zapis, na nie mniej niż 3 i nie więcej niż 30 akcji PZU
• zapisy przyjmowane są po cenie maksymalnej, która wynosi 312,50 zł za akcję.

Inwestorzy indywidualni mogą wziąć udział w specjalnym Programie Lojalnościowym. Szczegóły Programu zostaną podane do publicznej wiadomości do 30 czerwca 2010.

Więcej informacji na stronie www.pzu.pl

PZU GRUPA PZU | PZU

Niniejszy materiał ma wyłącznie charakter promocyjny i w żadnym przypadku nie stanowi oferty ani zaproszenia, jak również podstaw do podjęcia decyzji w przedmiocie inwestowania w papiery wartościowe spółki Powszechny Zakład Ubezpieczeń S.A. („PZU"). Prospekt emisyjny, sporządzony w związku z ofertą publiczną i dopuszczeniem akcji PZU do obrotu na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, został opublikowany i jest dostępny na stronie internetowej PZU pod adresem www.pzu.pl oraz na stronie internetowej Domu Maklerskiego PKO Banku Polskiego pod adresem www.dm.pkobp.pl.
Niniejszy materiał nie zawiera ani nie stanowi oferty sprzedaży papierów wartościowych, ani też zaproszenia do złożenia oferty nabycia papierów wartościowych, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Kanadzie lub Japonii, ani w jakiejkolwiek innej jurysdykcji, w której taka oferta lub zaproszenie byłyby sprzeczne z prawem. Nie będzie prowadzona żadna oferta publiczna papierów wartościowych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Ministerstwo Skarbu Państwa

Oferta publiczna akcji PZU zainicjowana przez Ministra Skarbu Państwa w celu realizacji porozumienia między akcjonariuszami

W tym tygodniu:
GENERAŁ SIĘ NIE PODDAJE – PONIŻEJ,
LADY GAGA ZOSTAŁA KRÓLOWĄ – S. 32,
AGENTKA KRYSTYNA SKARBEK IGRAŁA
Z ŻYCIEM I KOCHANKAMI – S. 55

Najsztub pyta



TOWARZYSZ BRONI

Wojciech Jaruzelski mówi Najsztubowi o słabości do defilad, satysfakcji z musztry, rozumieniu wolności i chęci zemsty. Czyli rozmowa żołnierza z cywilem

Rozmowa odbyła się przed katastrofą pod Smoleńskiem, 31 marca 2010 roku w Warszawie

Panie generale, która to będzie pańska defilada na placu Czerwonym?
– Trudno mi w tej chwili konkretnie odpowiedzieć. Było ich dużo i były bardzo różne, związane właśnie z Dniem Zwycięstwa, tak zwanymi okrągłymi rocznicami rewolucji, czy w swym wymiarze ograniczone, symboliczne, jak chociażby pogrzeb marszałka Rokossowskiego.
Z którą są związane pańskie najsilniejsze emocje?
– Wskazałbym przede wszystkim na defiladę, która odbyła się w 1965 roku, w 20. rocznicę zwycięstwa. Byłem wtedy szefem Sztabu Generalnego i stałem na czele delegacji Wojska Polskiego. Ponieważ wówczas przedstawiciele władz państwa w tych uroczystościach nie uczestniczyli, byłem reprezentantem Polski. Ta defilada była dla mnie szczególnie ważna w dwóch wymiarach. Po pierwsze, byłem wtedy człowiekiem jeszcze względnie młodym, miałem więcej włosów i mniej kilogramów, a jednocześnie była pierwszą defiladą w Moskwie, w której osobiście uczestniczyłem. Aczkolwiek psychologicznie, moralnie ważną dla mnie defiladą była ta z 19 stycznia 1945 roku, po wejściu do Warszawy. Należałem do tych, którzy pierwsi wkroczyli do stolicy. Ta defilada w tunelu wśród gruzów i ruin była z jednej strony przemarszem zwycięzców, a z drugiej strony swoistym marszem pogrzebowym.
Dla mnie, człowieka, który ma niechętny stosunek do wojska, defilada wygląda dosyć groteskowo – dorośli ludzie, dziwnie poubierani, kierowani komendami defilują w jedną i w drugą stronę, wykonując przy tym dość nienaturalne ruchy. A co defilada znaczy dla pana?
– Rzeczywiście można by w tych kategoriach, o których pan mówi, dyskutować, ale przecież defilada jest znana, jak długo znana jest historia wojska...
To prawda, ale co z tego?
– Uważam, że defilady są jakby podsumowaniem, syntezą żołnierskiego trudu, żołnierskich możliwości i żołnierskiego potencjału.
W maszerowaniu? Panie generale...
– To nie jest po prostu samo maszerowanie. Ono się odbywa razem z uzbrojeniem, z każdą defiladą silniejszym, mocniejszym, które ilustruje potencjał obronny państwa. Ta defilada piesza jest tylko swego rodzaju ozdobnikiem wykazującym sprawność wojska. Tutaj na pewno nie sprostam pańskiemu oczekiwaniu, ale ja bardzo lubiłem i lubię musztrę. To nie jakieś ślepe narzędzie „baczność, spocznij", ale coś, co odradza w człowieku pewien odruch dyscypliny, porządku, zorganizowania.
Podporządkowania.
– Tak, ale w sensie pozytywnym. Nigdy nie zapomnę ćwiczeń z musztry, które my, sybiracy, odbywaliśmy w szkole oficerskiej w Riazaniu właśnie przed defiladą. Ile na tamtejszym placu Lenina zelówek zostało zdartych... Był taki chwyt, po rosyjsku „na ruku", po polsku „na rękę broń": wysuwało się do przodu karabin z bagnetem i się maszerowało. I nie kojarzę tego, poza wysiłkiem, z czymś niemiłym, złym. Wręcz przeciwnie, z czymś dającym satysfakcję pewnej wspólnoty, idzie się ramię w ramię we wspólnym rytmie, w takt muzyki marsza żołnierskiego, którą akurat lubię.
Panie generale, zapytam wprost: czy wojskowych defilady podniecają?
– Może to pytanie należałoby zadać jakiejś kobiecie, czy ją to podnieca...
Mężczyźni też się podniecają, panie generale.
– Kobiety może podniecać defilada, bo idą młodzi ludzie, przystojni, wysportowani, więc wydaje mi się, znając psychologię kobiet chociażby z lektur, że to ma – mówiąc żartobliwie – jakieś znaczenie... A poważnie to oczywiście adrenalina się podnosi, jak się uczestniczy w defiladzie czy patrzy na nią z trybuny. Na przykład kiedy jestem jej organizatorem, to z drżeniem serca patrzę, czy to wszystko się uda, czy się nie skończy jakimś nieszczęściem. Przypominam sobie defiladę w Szczecinie, byłem wtedy wiceministrem, musiał to być rok 1961 albo 1962, defilowała dywizja zmechanizowana no i jeden czołg zabuksował i wpadł w tłum. Było kilka ofiar, w tym dzieci. Wszyscy bardzo mocno to przeżyliśmy. Dlatego defiladę przeżywa się do końca, do ostatniego kroku. Czy dobrze wypadnie i czy nie skończy się jakimś nieprzyjemnym wydarzeniem. Zawsze jest takie ryzyko, ale takie samo ryzyko jest na poligonie w czasie ćwiczeń i w czasie przemarszów.

Wielu takich nie ma, którzy poświęcają życie dla wolności. W czasie wojny tak, ale na co dzień? No nie, nie bądźmy zabawni

WOJCIECH JARUZELSKI

Tylko tam cywilów nie ma.
– Ten wypadek w Szczecinie rzeczywiście dotyczył osób cywilnych, ale na ogół jeśli są jakieś ofiary, to wśród żołnierzy. A na defiladę trzeba patrzeć wielowymiarowo. Jej przygotowanie, zgranie tworzy ważne wartości w wojsku: harmonię, operatywność, reagowanie na komendę, poczucie więzi. I pokazujemy, że mamy silną armię, która nas broni i jest jednym z czynników prestiżu kraju.
Ta, na którą pan się teraz wybiera, ma uczcić rocznicę zwycięstwa nad Niemcami. Pan w nim uczestniczył, przeszedł obok wojsk radzieckich z armią Berlinga od Lenino do Berlina. Oprócz walki z Niemcami ten zwycięski przemarsz miał też inny wymiar – bestialstwa Armii Radzieckiej w stosunku do Polaków i Polek. Moim zdaniem musieliście o tym wiedzieć. Czy rozmawialiście o tym ze sobą?
– Nie mogę przyjąć tak daleko idącej generalizacji, zwłaszcza w rocznicę zwycięstwa nad ludobójczym faszyzmem hitlerowskim. Przypomnę, że na 10 poległych żołnierzy niemieckich 8 zginęło na froncie wschodnim. A teraz odpowiem na pańskie pytanie. Jest pan osobą cywilną, która nie ma nic wspólnego z wojskiem, wojną, więc nie rozumie pan jej mechaniki. My, ja konkretnie, nasza armia i te frontowe jednostki radzieckie, z którymi współdziałaliśmy, nie mieliśmy nic wspólnego z tego rodzaju bezeceństwami. Na terenach niemieckich oczywiście żołnierze radzieccy dopuszczali się różnego rodzaju gwałtów. W naszym wojsku to nie występowało. Jest wiele przekłamań w tej sprawie i to jest obrzydliwość. Na przykład czytałem dwie wersje wyzwolenia przez Armię Radziecką Oświęcimia. Pierwsza: weszli bezduszni, błagano ich o kawałek chleba, nawet nie patrzyli, ciskali jakieś ochłapy kości, na które rzucali się więźniowie. I druga: przyszli ze współczuciem, dzielili się wszystkim, co mieli, niektórzy mieli łzy w oczach. Trzeba pamiętać, że wtedy przez Polskę przetoczyły się wielomilionowe armie, 600 tysięcy zostało tu na zawsze, więc to zrozumiałe, że mogły się zdarzać i zdarzały się różnego rodzaju bezeceństwa, zwłaszcza na tyłach frontu, gdzie już NKWD grasowało. Natomiast na terenie Polski żołnierz pierwszej linii – i polski, i radziecki – nie popełniał takich czynów. Mogły być jednostkowe wypadki, ale oni wchodzili w pozycji „my was wyzwalamy". To do Niemiec wkraczali z hasłem „niech będą przeklęte Niemcy", także na te tereny, które obecnie są polskie. Wchodząc tu, widzieli samych wrogów, na których przy okazji można się zemścić.
Czyli nie rozmawialiście ze sobą na takie tematy, nie słyszeliście o takich przypadkach?
– Nie pamiętam takich rozmów, a i takiej ówczesnej wiedzy. To działo się poza frontem, myśmy wtedy o tym nie wiedzieli i szliśmy na Berlin. Tam byliśmy zwróceni.
Niemcy byli wrogiem, ich stolica celem. Był pan żołnierzem, zabijał Niemców. Czy żołnierz musi nienawidzić wroga? I kiedy panu ta nienawiść przeszła?
– Moje emocje w stosunku do Niemców narastały. Owszem, wcześniej była „Rota" Marii Konopnickiej, dzieci z Wrześni, wóz Drzymały, potem ten groteskowy Hitler, o którym kiedy się pojawił, mówiono, że bardziej zasługuje na śmiech niż na strach, że jego tekturowe czołgi „rozkraczą się na polskich drogach"... Nienawiść do Niemców narastała w toku tego, co widzieliśmy, czego doświadczaliśmy. Dla mnie wstrząsem był Majdanek, kiedy zobaczyłem piece krematoryjne i sam obóz. Potem zniszczona Warszawa. To było szczególnie dla mnie dotkliwe przeżycie, bo choć nie byłem rodowitym warszawiakiem, sześć lat tu mieszkałem w internacie gimnazjum księży marianów na Bielanach. Największe wrażenie zrobiły na mnie okaleczone drzewa, stojące trupy drzew z bliznami wojennymi, to była zima, więc były bez liści, kikuty. Było to dla mnie bardziej przerażające niż kolejny zawalony dom, bo to było żywe, piękne drzewo. A nienawiść potęgowała się wraz z wiedzą o tym, co się działo w Oświęcimiu, masowe zbrodnie Holocaustu... Ale front to nie jest walka z człowiekiem, którego się po prostu nienawidzi. To jest też walka i o swoje życie. Z wrogiem, którego muszę pokonać w imię większej sprawy. Nie było u mnie wtedy nienawiści, która się w człowieku gromadzi i znajduje upust w różnego rodzaju okrucieństwach. I ta moja nienawiść, jeśli już będziemy posiłkowali się tym słowem, wygasła w dużej mierze przez to, co zobaczyliśmy na terenach niemieckich, a zwłaszcza w Berlinie.
To znaczy?
– Ta była ogromna satysfakcja. Żebrzące kobiety, ciągnące się długie kolumny Niemców uciekających wielkimi wozami. W Berlinie takie upodlenie tych ludzi, błagalna żebranina, „Hitler kaputt, Hitler kaputt" powtarzane ze strachu... Nienawiść traciła →



REKLAMA

ILUSTRACJA ŁUKASZ POŚLAD/STUDIOILUSTRACJI.COM NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MICHAŁA MUTORA/AGENCJA GAZETA
RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO (2)

→ swoją ostrość. A dzisiaj do Niemców czuję swego rodzaju sympatię, podziwiam ich pracowitość, zorganizowanie i to, że są czołówką nie tylko europejskiej gospodarki, ale też procesów demokracji.

A poruszyła pana decyzja Bundestagu, który pozwolił wojskom niemieckim po raz pierwszy po wojnie brać czynny udział w działaniach wojennych w Afganistanie?

– Nie. Co więcej, można by powiedzieć, że Niemcy jak gdyby jadą trochę na gapę. Kiedy inne kraje walczą z terroryzmem, oni spokojnie żyją i wydatki na ten cel mają ograniczone. Zresztą zastrzegają sobie, że będą działać tylko w takich rejonach i w takich formach, które nie będą zmuszały do aktywności bojowej, więc nawet dbają o to, żeby nie przekroczyć pewnych psychologicznych progów.

Światowi przywódcy twierdzą, że toczymy wojnę z terroryzmem i z tego powodu państwa demokratyczne za zgodą własnych, wystraszonych obywateli coraz bardziej ingerują w ich życie – oddają, zawieszają niektóre wolności obywatelskie. Tak się dzieje na przykład w Stanach Zjednoczonych. Jak pan, były szef totalitarnego państwa, które miało ambicję kontrolowania całego społeczeństwa, patrzy na to wyzbywanie się przez społeczeństwa demokratyczne własnych praw?

– Chciałem skorygować to, co pan w sposób nazbyt uogólniony sformułował. Państwo totalitarne istniało w Polsce do 1956 roku. Potem oczywiście był system autorytarny ze wszystkimi jego cechami, byłem jego aktywnym, a w końcowej fazie czołowym przedstawicielem. Jednak porównanie na przykład pierwszej połowy lat 50. i drugiej połowy lat 80. i nazywanie tego totalitaryzmem jest, delikatnie mówiąc, nadużyciem. Czy pan sobie wyobraża kraj totalitarny, który organizuje ogólnonarodowe referendum, przeprowadza je z absolutną uczciwością, przegrywa to referendum, podporządkowuje się wynikowi, w którym od 1986 roku nie ma więźniów politycznych? Protestuję przeciwko temu uogólnieniu! To był proces stopniowo zmieniający obraz tego systemu, który pozostawał oczywiście systemem autorytarnym, ograniczającym wolności, ale trzeba to widzieć w pewnym procesie. I teraz, dlatego że w takim państwie żyłem – i nawet takim państwem kierowałem – nie odczuwam satysfakcji, że inni też przykręcają śrubę. To jest bolesna konieczność. Trudno odmówić państwu obrony swoich obywateli przed tym, co im grozi.

Niektórzy wierzą, że wolności są ważniejsze.

– Od życia?

Tak.

– A to dziwię się, że za wielu takich nie ma, którzy poświęcają życie dla wolności. Owszem, w czasie wojny, a później stalinizmu, ale na co dzień? Gdyby ktoś powiedział: my ci ograniczymy dostęp do takich czy innych form demokratycznego funkcjonowania, to on pójdzie do stodoły i się powiesi? No nie, nie bądźmy zabawni.

Ci, którzy z panem w latach 80. najbardziej zagorzale walczyli, uważali, że wolności są czasem ważniejsze od życia i że są dla nich gotowi wiele poświęcić. Stąd pytanie, czy obywatele państw demokratycznych nie popełniają błędu, pozwalając sobie odebrać te wolności w imię wojny z terroryzmem?

– Właściwie człowiek od urodzenia jest skazany na to, że jakieś jego wolności są ograniczone. Pan korzysta z wolności, łącznie z tym, że włożył pan właśnie czerwone spodnie, ale sądzę, że są też pewne ograniczenia, z którymi pan się musi liczyć i które nie są dla pana zbyt miłe. Może pan jest człowiekiem bujnej natury i może sobie na wiele rzeczy pozwolić, ale zwykły zjadacz chleba liczy się z tym, że „tego" mu nie wolno, chociaż „to" jest przyjemne, i może być za „to" ukarany, chociaż nie popełnił nic strasznego. Ograniczenie wolności jest wpisane w historię człowieka, tylko kwestią jest, w jakich to się dzieje ramach ustrojowych, czy sam ustrój stwarza ku temu przesłanki. Ustrój, nawet w pełni demokratyczny, zakłada różnego rodzaju ograniczenia. Ja nawet uważam to za śmieszne, ale muszę rozumieć, że Amerykanie rozbierają na lotniskach do skarpetek.

A to, że mają Echelon, sterowany przez komputery system pozwalający podsłuchiwać praktycznie każdą rozmowę? Dla mnie to wynaturzenie władzy.

– Podsłuchiwanie jako zasada jest czymś chorym, natomiast podsłuchiwanie kogoś, gdy istnieją przesłanki, że on może uczestniczyć w czynie nie tylko zakazanym, ale nawet groźnym dla życia innych, jest czymś nieodzownym. U nas dochodzi do nadużyć. I w sprawie hazardowej, i tej, nazwijmy ją,

Ja, ten stary dyktator, zamordysta, twórca stanu wojennego, mam szacunek dla sądów. Wierzę, że wyrok będzie uniewinniający

WOJCIECH JARUZELSKI

„lepperowskiej" niektóre podsłuchy były absolutnie bezpodstawne. Nie możemy zakazać podsłuchów w sytuacji, kiedy przedstawiciele państwa mają poczucie, że dzięki wiedzy z nich uzyskanej można ustrzec się przed czymś znacznie gorszym. Ja nie wiem na przykład, czy ktoś nam nie towarzyszy w tej rozmowie...

I pan się na to godzi w imię własnego bezpieczeństwa.

– Nie, dla mnie byłoby to po prostu śmieszne, gdyby ktoś starego Jaruzelskiego podejrzewał o to, że może dokonać zamachu stanu. Byłby to element ubarwiający moje życie. I dobrze, bo właściwie chyba bym się czuł znudzony, gdyby nie było jednego, drugiego procesu, jakiejś komisji, jakiegoś prokuratora, oskarżeń przez IPN, w prasie.

A jakby się pan czuł, gdyby któryś z tych procesów przegrał? Uznałby pan, że jest to sprawiedliwość czy zemsta?

– Ja, ten stary dyktator, zamordysta, twórca stanu wojennego, mam szacunek dla sądów. Mam za sobą już setki godzin spędzonych na ławie sądowej. Podporządkowuję się temu z pełnym zaufaniem, bo widzę, że w odróżnieniu od IPN, różnych polityków, dziennikarzy, którzy już wyroki wydali, sąd skrupulatnie stara się dojść prawdy i ja wierzę, że ten wyrok będzie sprawiedliwy. I jakikolwiek on będzie, przyjmę go z poszanowaniem.

Czyli wyrok będzie sprawiedliwością, nie zemstą?

– Wierzę, że wyrok będzie uniewinniający. Poza sądem czas mija i pewne rzeczy są zacierane, a inne uwypuklane. I ci, jak ja ich nazywam, kombatanci dnia ósmego, którzy nie wyróżnili się walką o demokrację, dzisiaj są pierwszymi sędziami! A ci, którzy rzeczywiście walczyli, ciężko to przeżywali, Michnik, nieżyjący Kuroń, a także Modzelewski i inni, potrafili się ponad doznane urazy wznieść, pamiętając, że stan wojenny to nie był grom z jasnego nieba, ni stąd, ni zowąd, coś go poprzedzało, coś się do niego przyczyniło! To nie było tak, że istniała tylko zgwałcona anielska Solidarność, tak jak Tazbir mówił: „Polska, zgwałcona dziewica dziejów" przez ten straszliwy...

Pan nadal Solidarności nie lubi...

– Dla mnie Solidarność to miliony ludzi i wśród tych milionów jest wielu wspaniałych, których szanuję, lubię, podziwiam. I jest też niemało karierowiczów, którzy się przykleili i dzisiaj nieraz wychodzą na pierwszy plan! Szanuję historyczną rolę Solidarności, Lecha Wałęsę, doceniam jego legendę i znaczenie dla Polski. W Solidarności byli bardzo mądrzy ludzie, którzy rozumieli, że trzeba w ramach tej sytuacji, jaka realnie jest, walczyć w sposób racjonalny o to, żeby krok po kroku dojść do celu, i byli także awanturnicy, radykałowie! Niestety w ostatniej fazie to oni nadawali ton.

Słuchałem przez chwilę, jak pan się rozemocjonował, mówiąc o Solidarności... 25 lat temu pan nie wiedział o moim istnieniu, a pan dla mnie był straszliwie namacalnym upiorem, który mi utrudnia życie, właściwie w jakimś sensie je niszczy, wsadza mnie do więzienia itd. Chyba pana nienawidziłem. I za każdym razem, kiedy się z panem spotykam i rozmawiamy, zastanawiam się, jak to możliwe, że kiedyś dzieliły nas takie emocje, a dzisiaj siedzimy i rozmawiamy. Myśli pan, że na tym polega człowiek?

– Przede wszystkim to bardzo dobrze o panu świadczy, jeśli pan był w takim okresie w taki czy inny sposób prześladowany, czy inaczej poddawany różnego rodzaju dla siebie bolesnym procedurom...

Pomińmy moje wątpliwe przymioty charakteru. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz miałem robić z panem wywiad w 1992 albo 1993 roku dla „Gazety Wyborczej", miałem jeszcze przed oczami tego Jaruzelskiego ze stanu wojennego, do którego pisałem listy z prośbą o uzyskanie statusu więźnia politycznego, i myślałem sobie: jak ja mu wygarnę! Spotkałem się z panem, popatrzyłem, nic się nie zdarzyło i ta emocja odeszła, zniknęła. Nadal mnie to dziwi.

– Trzeba czasami z dystansem starać się zrozumieć drugiego człowieka, uwarunkowania, w jakich działał, i nie przypisywać zawczasu komuś złych intencji... Ja nigdy nie dążyłem do kariery, to jest udokumentowane. To życie mnie wynosiło, zresztą bardzo ubolewam, że wprowadziło mnie na tory polityczne. I staram się w miarę możliwości beznamiętnie mówić o tych sprawach. A myślę, że nie ma wśród ludzi wyższego szczebla i w Polsce, i poza nią takich, którzy by tylokrotnie mówili „żałuję", „przepraszam", „ubolewam", „wstydzę się" nawet. I nie jest to po prostu mówienie.

Pan mówi „przepraszam", bo czuje się czemuś naprawdę winien?

– Tak, czuję się winien, ponieważ byłem na szczycie tej piramidy i jeśli jakiś milicjant uderzył kogoś bezpodstawnie pałką, to ja się czuję za to moralnie odpowiedzialny. Jak pan wie, były i znacznie gorsze rzeczy i ja za to też czuję się odpowiedzialny, i za to przepraszam. Natomiast nigdy nie powiem: przepraszam, że wprowadziłem stan wojenny. Stał się bolesną koniecznością.

Wyobraża pan sobie generała Wojciecha Jaruzelskiego, który na pytanie o stan wojenny odpowiada: poproszę o następne pytanie, to już mnie nie interesuje?

– Nie, dopóki żyję i dopóki to pytanie się rodzi, moim obowiązkiem jest dawanie odpowiedzi według swojego najgłębszego przekonania, w tym na ławie sądowej. Tylko oczekiwałbym, żeby to było rzetelnie relacjonowane przez media i polityków.

Młodzi ludzie, którzy nie pamiętają PRL, i tak ze skrótów telewizyjnych z okazji rocznic będą się dowiadywali, że przywódcy bloku wschodniego całowali się bez przerwy na lotniskach, a pan wprowadził stan wojenny.

– Dziennikarz powinien mieć chyba większe wyczucie, że jest rzeczą jeśli nie nieprzyzwoitą, to głupią, iż przy okazji każdej rocznicy musi być dyżurne zdjęcie – gęba Jaruzelskiego w telewizorze, potem milicjant bijący pałką jakiegoś osobnika i wreszcie samochód, pod którym znalazł się demonstrant. I młody człowiek, który rzeczywiście o ówczesnej sytuacji zielonego pojęcia nie ma, utożsamia sobie zło z tym potworem, który to ogłasza i realizuje...

Sam pan powiedział, że czuje się za to odpowiedzialny, za tego milicjanta.

– Czuję się za to odpowiedzialny, ale z kolei ludzie mediów, politycy powinni mieć poczucie odpowiedzialności za prawdę historyczną, za pewne w niej proporcje. Jak długo można tym grać?

Jeszcze sto lat, panie generale, tak te migawki będą konstruowane.

– To gratuluję ludziom byłej opozycji, dzisiejszej władzy i oczywiście mediom, które stać tylko na to. Demokracja, wolność słowa jest pojęciem bardzo rozciągliwym, bo okazuje się, że wolność słowa ma ten, kto ma większą możliwość wypowiedzenia się w telewizji czy napisania w poczytnej gazecie.

Wolność słowa nie polega na dyktaturze prawdy, tylko też na tym, że ludzie mogą się mylić, uprawiać propagandę...

– Oczywiście, tylko różnica polega na tym, że w PRL była cenzura, „białe plamy", ograniczenia, te paskudne sprawy, które składały się na to, że nie było demokracji. Była jednak jedna przewaga ówczesnej opozycji, społeczeństwa w dostępie do prawdy: Wolna Europa, BBC, Głos Ameryki, drugi obieg, Kościół – informacje, które nie szły oficjalną drogą i bardziej w nie ludzie wierzyli. A jaka dziś jest droga dla Jaruzelskiego?

Demokratyczny Internet?

– Niech pan wybaczy, Internetem nawet się nie posługuję, bo już jestem za stary, żeby się tego uczyć. □

Wojciech Jaruzelski, ostatni przewodniczący Rady Państwa PRL i pierwszy prezydent III RP, skończy w tym roku 87 lat. W 1940 roku został z rodziną zesłany na Syberię. Ochotniczo wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego, z którym doszedł do Berlina. W PRL zajmował najwyższe stanowiska w armii, państwie i PZPR. Zdaniem IPN agent tajnych służb PRL. Oskarżany o czystki antysemickie w wojsku w 1968 roku i o współudział w masakrze robotników na Wybrzeżu w 1970 roku, gdy był ministrem obrony. **Firmował wprowadzenie stanu wojennego.** W styczniu 1991 roku generał Jaruzelski przeszedł w stan spoczynku.

Internet lata, że mucha nie siada.
netia
WOLNOŚĆ WYBORU
router bzzzprzewodowy za 1 zł do internetu z telefonem
TWARZ NETII: TOMASZ KOT
Masz dosyć plątaniny kabli w domu? Kup internet z telefonem Netii, a router bezprzewodowy dostaniesz za 1 zł. Dzięki niemu nie tylko pozbędziesz się zbędnych kabli, ale będziesz mógł również korzystać z internetu z wielu komputerów jednocześnie, w każdym zakątku Twojego domu.
801 802 803 (także z komórki)
SMS: 4144
www.netia.pl
Oferta router za 1 zł obowiązuje przy zakupie pakietu usługi internetowej z telefoniczną na 24 miesiące. Szczegółowe Warunki Promocji „SuperRouter w super cenie – LLU" na www.netia.pl. Pokazane urządzenie jest przykładowe. Zastrzegamy sobie prawo do przesłania innego urządzenia o tych samych parametrach. Koszt połączenia z infolinią i SMS-a zgodny z cennikiem Twojego operatora.

WIELKA DAMA TAŃCZY SAMA



KRÓLOWE JAREK SZUBRYCHT

Do niedawna nie wypadało traktować jej poważnie. Dziś już nie wypada jej ignorować. Kto jeszcze nie zauważył, że nową królową muzyki pop została Lady GaGa, ten gapa

Jest Amerykanką włoskiego pochodzenia. Jej wizerunek jest dziwaczny, stroje wyzywające. Otwarcie mówi o swoich potrzebach, wymachuje sztandarem feminizmu, upomina się o prawa homoseksualistów i innych mniejszości. Sprzedaje miliony płyt, zgarnia nagrodę za nagrodą. Inspiruje setki mniej odważnych i nie dość pomysłowych wokalistek z całego świata. Nagrywa teledyski, które zapierają dech w piersi i wywołują trwające tygodniami dyskusje. Umiejętnie żongluje skandalami, bawi się w kotka i myszkę z brukowcami, dając im tylko to, co chce. Budzi skrajne emocje, ale nawet zagorzałych przeciwników potrafi przeciągnąć na swoją stronę. Szkoda tylko, że nie umie śpiewać ani komponować, bo na żywo musi się ratować wymyślnym show, a na płytach wysysać to, co najlepsze, z producentów, którzy nie zawsze potrafią stanąć na wysokości zadania. Nie, to nie Lady GaGa. To Madonna. Bo w odróżnieniu od starszej koleżanki po fachu Stefani Joanne Angelina Germanotta świetnie śpiewa, gra na fortepianie i sama potrafi zadbać o swój repertuar. Poza tym wszystko się zgadza.

W ringu z Madonną

Kiedy brytyjski magazyn „Q", najbardziej prestiżowe pismo muzyczne po tej stronie Atlantyku, zamieścił na okładce zdjęcie Lady GaGi z podpisem: „Madonna, posuń się...", oficjalnie zadekretował to, o czym wszyscy szepczą od co najmniej kilku miesięcy. I choć obie wokalistki oficjalnie robią sobie z takich porównań żarty (w październiku ubiegłego roku w popularnym amerykańskim programie telewizyjnym „Saturday Night Live" dały się wręcz namówić do regularnej bijatyki), pozycja Madonny na popowym tronie po raz pierwszy jest wyraźnie zagrożona. – Nie przypomina swoich rówieśniczek wykonujących muzykę pop, bo dokładnie wie, co robi. Jest bardzo bystra, jest świetnym muzykiem, świetną wokalistką i na dodatek śmieje się z tego wszystkiego – tymi słowy Lady GaGę chwalił Marilyn Manson na łamach magazynu „The Rolling Stone". Ekscentryczny rockman przez chwilę znajdował się w jej orbicie, mieli nawet grać razem koncerty. Kłopot w tym, że kiedy ogłoszono ich wspólną trasę, wykonawczyni „Poker Face" miała być rozgrzewką przed spektaklem króla horror rocka, ale zanim tournée doszło do skutku po ledwie kilku miesiącach, Marilyn Manson był już zbyt undergroundowy i zbyt mały, by otwierać jej koncerty.

Oczywiście kariera rozwijająca się w tak oszałamiającym tempie ma swoje koszta. Raz na jakiś czas słyszymy doniesienia o nie najlepszym stanie zdrowia Germanotty. Tam omdlała z wyczerpania, tu przewróciła się na scenie. W jeszcze gorszej kondycji jest jej życie intymne. – Przynajmniej moja muzyka nie obudzi się jutro rano obok mojego boku i nie powie mi, że już mnie nie kocha. Pogodziłam się już z samotnością – żaliła się Lady GaGa w jednym z wywiadów. Współczuję, ale chciałbym zauważyć, że na znalezienie tego jednego jedynego ma jeszcze czas. Przecież skończyła ledwie 24 lata.

To się nie przyjmie

Muzykę pokochała 20 lat temu. Jako czterolatka ze słuchu nauczyła się grać na fortepianie ku radości taty, knajpianego rockmana. To ojciec puszczał jej płyty Bruce'a Springsteena, zapisał na lekcje śpiewu (do tej samej nauczycielki, która prowadziła Christinę Aguilerę), kibicował, kiedy stanęła na czele zespołu wykonującego rockowe klasyki. A mama wmawiała jej, że jest najpiękniejsza, najmądrzejsza i cały świat może lec u jej stóp, jeśli tylko zechce. Uwierzyła. W prywatnym katolickim gimnazjum Świętego Serca była jeszcze wzorową, piątkową uczennicą, którą od koleżanek różniły tylko spódniczki krótsze o parę centymetrów. Ale już na pierwszym roku studiów – a dostała się na prestiżową Tisch School of the Arts, tę samą uczelnię, którą kończyli Woody Allen, Jim Jarmusch i Oliver Stone – zmieniła się w gotyckiego wampa, który w powłóczystej sukni zasiadał do fortepianu i śpiewał smutne, natchnione pieśni. Dziewczyną, która zdawała się niezłą podróbką Tori Amos, zainteresowała się wytwórnia płytowa Def Jam, ale po kilku miesiącach kontrakt został zerwany. Powód? Artystka zaproponowała im piosenkę „Beautiful, Dirty, Rich", w której pojawił się nowy element – mocny, taneczny rytm. – Nic z tego nie będzie, to się nie przyjmie – orzekli fachowcy z Def Jam, zrywając umowę ze Stefani, czym zapewnili sobie miejsce na podium w nieustającym konkursie na najgłupsze posunięcie w historii muzycznego biznesu.

To nie był dla niej dobry czas. Rzuciła studia, wciągała góry kokainy, przebierała się za Davida Bowiego i godzinami przeglądała w lustrze, a wieczorami grywała w nowojorskich klubach z programem, który był kabaretową miksturą muzyki klubowej i glam rocka. A gdy przychodziło natchnienie (i potrzebowała pieniędzy), komponowała zgrabne radiowe hity, które potem słyszeliśmy w wykonaniu Britney Spears, Pussycat Dolls czy Fergie. W końcu doszła do jedynie słusznego wniosku, że zamiast ratować kariery innym, może zrobić własną. Z producentem RedOne, mieszkającym w Kalifornii trochę Marokańczykiem, trochę Szwedem, w tydzień skomponowała swoje trzy pierwsze wielkie przeboje: „Just Dance", „Poker Face" i „LoveGame". Był koniec 2007 roku.

Dzisiaj Lady GaGa ma na koncie półtora albumu (debiut „The Fame" został wydany w sierpniu 2008, natomiast jesienią ubiegłego roku ukazała się jego wzbogacona o krążek z premierowymi nagraniami reedycja „The Fame Monster"), blisko 10 milionów płyt sprzedanych na całym świecie i – o ile Wikipedia za tym wszystkim nadąża – 65 nagród. W tym dwie Grammy, trzy statuetki Brit Awards i cały kosz wyróżnień od MTV.

Okrakiem na Pudelku

To znakomita ironia, że MTV obsypuje nagrodami właśnie Lady GaGę, pierwszą artystkę pop, która zatańczyła na grobie stacji. Uściślając – chodzi o mogiłę muzycznej telewizji, którą MTV oficjalnie przestała być w lutym tego roku. W pogoni za znudzonym nieletnim targetem i zainteresowanym nim reklamodawcą MTV porzuciła teledyski na rzecz seriali i reality shows, których uczestnicy robią z siebie głupków dla chwili sławy. Tej MTV, która ćwierć wieku temu wynosiła na szczyt Michaela Jacksona i Madonnę, już nie ma. Nie da się podbić świata wideoklipami puszczanymi w tym samym czasie małolatom w Nowym Jorku i Nowym Delhi, Sydney i Sanoku. Za sprawą Internetu dokonała się radykalna atomizacja publiczności – wszyscy mają dostęp do wszystkiego, ale każdy wybiera coś innego. To koszmar speców od marketingu, którym płaci się za zbieranie rozproszonych owiec w stado. I właśnie Lady GaGa poradziła sobie w nowych warunkach jako pierwsza, zaprzęgając do swoich celów prasę brukową, serwisy plotkarskie i blogi. Czcicie celebrytów, żywicie się nimi? Proszę bardzo, oto celebrytka totalna! Codziennie inna, nieobliczalna, zawsze warta sfotografowania i pokazania na pierwszej stronie. Jeśli chcecie, wyjdzie na ulicę bez majtek, jeśli jest taka potrzeba, wykrwawi się na scenie... Zrobi wszystko, byle skupić waszą uwagę i zabrać miejsce nudnym gwiazdom z poprzedniej epoki. Jak mówią w agencjach reklamowych, zasięg marki Lady GaGa został zbudowany na Pudelkach tego świata. Zamiast przed nimi uciekać, dosiadła je i ujeździła. Poznał ją cały świat. Efekt uboczny? Przykry, trzeba przyznać. Nie najlepsze towarzystwo, w którym musiała się pokazywać, wykorzystując do swoich celów media brukowe, sprawiło, że zaczęła być postrzegana jako jedna z tłumu głupawych gwiazdek sezonu, które →



Odgrzewane kotlety? Ale **dressing świeży**

REKLAMA







Mad Max, Grace Jones i kowboj Marlboro – *GaGa to Frankenstein ulepiony z popkultury*

FOT. UNIVERSAL (2), EAST NEWS, BULLS, FORUM

Slawa zwaliła się jej na głowę i **zaczyna uwierać** *– czy Lady GaGa wytrzyma tę próbę?*

→ nic nie potrafią, więc czego nie dośpiewają, to muszą dowyglądać. Kiedy gościła w popularnym australijskim talk-show, prowadzący zapytał, jakim cudem półmetrowy kok trzyma się kupy. – Przyczepili mi go bezpośrednio do mózgu – syknęła z uśmiechem, który zabija muchy w locie. Cóż, sama jest sobie winna, że ludzie zwracają uwagę raczej na to, co ma na głowie (homara, puszki po coli, koronę, ponadmetrowe poroże...), niż na to, co ma w głowie. Przyszedł więc czas na modyfikację wizerunku, na grę w otwarte karty. A ma w ręku sporo atutów, czego dowodzą występy na wielkich rockowych festiwalach, takich jak legendarne Glastonbury, gdzie witają ją zwykle kpiny i gwizdy, a żegna aplauz. Bo gdy dla tej bardziej wymagającej publiczności wykonuje „Poker Face" w wersji sauté, tylko z własnym fortepianowym akompaniamentem, nikt nie ma wątpliwości, że kolorowe opakowanie kryje prawdziwy talent.

Zemsta outsiderów

Madonna sama sobie repertuaru nie pisze, więc zwykle zbiera komplementy za trzymanie ręki na pulsie, za doskonałe wyczucie chwili, za nosa do ludzi, wizerunku, dźwięków. Kiedy więc ktoś chce Madonnę zdeprecjonować, pogardliwe machnięcie ręką: „A tam, na pewno sama tego nie wymyśliła, ma od tego sztab fachowców" – przynosi jej więcej szkód niż artyleryjski atak krytyki. Lady GaGi takie zarzuty nie ruszają. Ekipa ciężko pracująca na jej sukces nie chowa się po piwnicach, ale nosi oficjalną nazwę Haus Of Gaga i wzoruje się na Warholowskiej Fabryce – to artystyczny kolektyw, w którym przyjaciele wokalistki, głównie offowi artyści z Nowego Jorku, wzajemnie się nakręcają nowymi pomysłami. Mają w rękach wymarzoną zabawkę – wykorzystując Lady GaGę, doją i przeobrażają główny nurt popkultury, ten sam, który kiedyś wykopał ich na margines.

Lady GaGa potrzebuje pomysłów. Coraz więcej i więcej. Im bardziej dziwaczne, absurdalne, niesamowite, tym lepiej. Żyjemy w czasie wielkiego przyspieszenia i pierwsza globalna gwiazda nowej epoki musi kręcić się równie szybko jak ten szalony świat. Nie wystarczy zmiana wizerunku raz na kilka lat, nawet raz w roku. Lady GaGa musi wymyślać się na nowo co miesiąc, co tydzień... ba, z koncertu na koncert! Eksperymentuje, ryzykuje, szokuje. Nic dziwnego, że w tym samym konkursie potrafi odebrać nagrodę dla najlepiej i najgorzej ubranej gwiazdy pop, w dodatku obie zasłużenie. Ale bilans i tak jest dodatni. W ciągu zaledwie kilku miesięcy Lady GaGa stała się nowym symbolem kultury obrazkowej, czego równie ironicznym jak naturalnym potwierdzeniem jest to, że powracająca z zaświatów firma Polaroid zatrudniła wokalistkę w charakterze dyrektora kreatywnego. Jak rozumiem, pomysł jest taki: GaGa bez przerwy zmienia kostiumy i zastyga w wymyślnych pozach, a my fotografujemy ją polaroidami bez opamiętania... Genialne.

Taniec miłości ze śmiercią

27 lutego, Londyn. Gigantyczna O2 Arena jest wypełniona po brzegi, głównie młodzieżą płci żeńskiej. Niektóre dziewczęta mają na głowach blond peruki, inne znaną z klipów wokalistki błyskawicę na oku, nieliczne odważyły się w ten chłodny wieczór wyjść z domu półnagie – byle upodobnić się do idolki. Mam wrażenie, że obserwuję nie tyle fanów konkretnej artystki, ile nową subkulturę, odmienną od tych, które wcześniej znałem. A gdy Lady GaGa wychodzi na scenę i wita ją wielotysięczny las rąk w charakterystycznym, szponiastym geście „łapy potwora", jestem pewien, że to nie jest tylko koncert muzyki pop, na którym można zgubić w tańcu parę kalorii, a dwie godziny później o wszystkim zapomnieć. Lady GaGa funduje swojej publiczności godziwą kolorową i głośną rozrywkę, ale też psychodramę, w której przeglądają się zbiorowe kompleksy, lęki i pragnienia.

– Lady GaGa automatycznie kojarzy mi się z freudyzmem. Piękni i nieskazitelni idole z przeszłości odwoływali się do innej warstwy człowieka w człowieku. Do moralności, zasad, obowiązku, kanonu ogólnie akceptowanego w społeczeństwie. W języku psychoanalizy powiedzielibyśmy, że nawiązywali do superego i ego. U tej pani widzę przede wszystkim odniesienia do id, a więc tej warstwy człowieka, która wiąże się ze sferą popędową. W jej teledyskach i tekstach pojawia się cała masa symboli psychoanalitycznych zarówno związanych z Erosem, jak i Tanatosem. Z jednej strony z seksualnością, a z drugiej ze śmiercią i agresją. Młodzież bawi przekraczanie granic, uważają, że Lady GaGa jest cool i wspaniała, dlatego że jest odważna. Nic w tym dziwnego, bo adolescencja to właśnie inicjacja i przekraczanie granic – zauważa doktor Iwona Sikorska z Instytutu Psychologii Stosowanej Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Równie chętnie z Lady GaGą utożsamia się zarówno ta część młodzieży, która sama przekracza granice, jak i ta, która ich nie przekracza. W imieniu tych grzecznych artystka reprezentuje część osobowości, której nie ujawniają w codziennym życiu. To pragnienia i marzenia tłumione przez superego, na przykład potrzeba bycia niegrzeczną dziewczynką, uwodzenia i bycia uwodzonym, ale też władza i fantazje o zemście na tych, którzy nas skrzywdzili. Choćby brakiem akceptacji.

Lady GaGa stoi tam wysoko, na scenie, skąpana w świetle reflektorów, ale nie chce uchodzić za idola-półboga. Ich czas już minął, Internet i brukowce uświadomiły nam, że gwiazdy to tylko ludzie. Też robią głupie miny, mają fałdki tłuszczu i cellulit. Lady GaGa nie próbuje nawet uchodzić za lepszą i piękniejszą od nas. Już raczej się oszpeca. A w długich przemowach pomiędzy utworami rozwodzi się nad tym, jak jej źle we własnej skórze, sama siebie nazywa potworem i dziwolągiem. Kto z nas nigdy się tak nie czuł, szczególnie w okresie dorastania, niech pierwszy rzuci kamieniem...

Bo Lady GaGa może mierzić jak każdy, kto lubuje się w skrajnościach. W dodatku irytuje nie tylko we własnej osobie, ale

W jej klipach i tekstach roi się od psychoanalitycznych symboli związanych z seksem, agresją i śmiercią

IWONA SIKORSKA, PSYCHOLOG

i za sprawą tłumu naśladowczyń, od których zaroiły się sceny całego świata. Polskie też – wystarczy rzucić okiem na nowe sesje zdjęciowe, teledyski czy bankietowe wdzianka Dody, Mandaryny, Sary May czy Candy Girl. Tyle tylko, że kopie bardzo łatwo odróżnić od oryginału, bo skserować można wyłącznie opakowanie. Lady GaGa, przepoczwarzając się bez końca, zadaje pytania o nowy paradygmat kobiecości, podejmuje grę z własną seksualnością, ale zarazem nie oddaje się jej w niewolę, czego symbolem jest choćby naturalny biust – rzecz u piosenkarski z taką pozycją właściwie nie do pomyślenia. Jej naśladowczynie natomiast pod kosmicznymi ciuchami często kryją kolejną warstwę sylikonu i marzenie, by trafić na rozkładówkę „Playboya", bo to przecież dla kobiety, która lubi się podobać, największa nobilitacja. GaGa szuka inspiracji do swoich kostiumów w dziełach dadaistów i abstrakcjonistów, jej kopistki dostrzegają tylko wątki erotyczne, więc swoje wdzianka kupują w sex shopach. Lady GaGa ma tatuaże i one też. Ale Germanotta wyryła sobie na ciele cytat z Rilkego, a one tatuują sobie imiona kochanków w egzotycznych językach. Tak sądzą, pewności nie mają, bo przecież języków tych nie znają...

To ja, GaGa!

Na koncercie w Londynie wokalistka opowiedziała anegdotę o tym, jak dotarło do niej, że odniosła sukces. Jechała autostradą i usłyszała, że w samochodzie pędzącym obok ktoś głośno słucha jej piosenki. Zaskoczyło ją to i ucieszyło. – Wychylam się więc, śmieję się do nich i macham. Hej, to ja, Lady GaGa, to ja! Ale oni mnie nie widzą, nie zwracają na mnie uwagi, są tak zajęci śpiewaniem i tańczeniem. Oto historia mojego życia... □



MARYLA RODOWICZ:

– TO JEST NOWA KRÓLOWA! Młoda, z wokalem, elektryzująca, kreatywna. Bardzo lubię jej teledyski, chociaż za takim brzmieniem nie przepadam. Śledzę jej karierę i podziwiam, bo kobiecina śpiewa, a do tego jest odjechana. Świat przez rok przekonywał się do jej dziwacznych stylizacji. GaGa to taka trochę postać z kreskówek, mocno nierealna przez swoje wizje, jak Gorillaz. Intryguje, bo jest inna, bo była przeciw mainstreamowi, a stała się mainstreamem. Bo jest w kontrze do garniturów z teczką, bo ludzie chcą uciec od rzeczywistości, wolą się zagłębić w świecie wirtualnym, dalekim od codzienności.



Szukaj go na kolejnych stronach

KONKURS

Dostaliśmy 320 prac, z których musieliśmy wybrać jedną. Tę, która zdobi dziś naszą okładkę

Na stronie www.przekroj.pl pokazujemy ponad 40 projektów, które się nam spodobały, zaintrygowały nas albo zadziwiły. Zainteresowanie konkursem dowodzi kilku rzeczy: po pierwsze, czytają Państwo „Przekrój" od dawna. Pamiętają Filutka, stare logo, dawne kolaże, ale czytają Państwo tygodnik i dziś, bo na wielu projektach z Filutkiem ramię w ramię idzie ludzik z rysunków Marka Raczkowskiego. „Przekrój" kojarzy się Państwu z krojeniem. Kilkanaście projektów zawierało noże, nożyczki, gilotyny, przecięte na pół przedmioty i postaci. Dobrze nam Państwo życzą w 65. urodziny – bardzo popularny okazał się motyw tortu – czasem zrobionego z papieru, czasem z głów kolejnych naczelnych, a często zwyczajnie z ciasta – z urodzinowymi świeczkami. Zaproponowali też Państwo zostawienie okładki zupełnie białej, a do nakładu dołączenie kolorowych pisaków, tak by każdy okładkę jubileuszową mógł stworzyć sobie sam. Pomysł ciekawy, ale przecież wtedy nikt poza samym autorem nie mógłby jej obejrzeć. Okładki dawnego „Przekroju" do dziś kojarzą się z kolażami Daniela Mroza czy rysunkami Stefana Berdaka, słynnego Funia z „Przekroju". Szukaliśmy kogoś, kto płynnie nawiąże do wspaniałej tradycji tamtych charakterystycznych okładek, ale doda zarazem elementy nowego ducha „Przekroju". Uchwyci to, co w „Przekroju" niezmiennie dobre, i zauważy, co w nim nowe i świeże.

Wydaje nam się, że taki właśnie jest projekt Jana Dziaczkowskiego, którego redakcja ogłosiła zwycięzcą naszego konkursu. Ten młody artysta tworzący na warszawskiej Pradze znany jest już „Przekrojowi", obserwujemy jego drogę (od 21 kwietnia w Warszawie można oglądać jego wystawę „Prawdziwe i zmyślone historie amerykańskie" w galerii Atak przy Krakowskim Przedmieściu) i trzymamy za niego kciuki.

Dziękujemy za świętowanie z nami „Przekrojowego" jubileuszu i wszystkie piękne, śmieszne i wariackie projekty.



Jan Dziaczkowski wygrał konkurs. W nagrodę – oprócz sławy i chwały – otrzyma 2000 zł



NAUKA Z DEMOBILU

Po zakończeniu II wojny światowej z osiągnięć naukowców pracujących dla wojska zaczynają korzystać cywile. Świat wzbogaca się o energię atomową, kolorową telewizję, komputery, antybiotyki i DDT

Nie po raz pierwszy wojna popycha cywilizację do przodu. A że była to wojna światowa, to i zaangażowanie naukowców było ogromne. Najbardziej wstrząsającym przejawem potęgi nauki są trzy eksplozje atomowe: pierwsza, 16 lipca 1945 roku, na amerykańskim poligonie w stanie Nowy Meksyk. I dwie kolejne – w Hiroszimie i Nagasaki. To efekt projektu Manhattan, w ramach którego fizycy z kilku krajów kierowani przez Roberta Oppenheimera dopracowali szczegóły rozszczepiania jąder atomowych, budowy reaktorów, metodę wzbogacania uranu, otrzymali nieznany wcześniej pluton i wreszcie tworzą bomby o niespotykanej dotąd sile.

Ale świat dowiaduje się o badaniach ekipy Oppenheimera dopiero w 1945 roku. Uczeni amerykańscy przyjęli nieformalną umowę o niepublikowaniu wyników swoich prac, zaś w Wielkiej Brytanii nie pozwolił na to rząd. Potwierdzą to później między innymi John Maddox, ówczesny wydawca tygodnika „Nature", a także niezwykłe odkrycie – w 2007 roku w zakamarkach brytyjskiego towarzystwa naukowego Royal Society odnajdzie się zapieczętowana i nieopublikowana praca Hansa von Halbana i Lwa Kowarskiego z 1940 roku dotycząca szczegółów budowy reaktorów i produkcji plutonu.

Demonstracja siły pociąga za sobą żądania naukowców, by broń atomową objąć kontrolą, a energię jądrową wykorzystać do celów pokojowych. Przy pracy nad bombą uczeni otrzymali cztery nowe pierwiastki: neptun, pluton, ameryk i kiur. Układ okresowy na końcu roku 1945 liczy 96 elementów, o 6 więcej niż u Mendelejewa.

KOMPUTER PRZEDOSOBISTY

Ostatni rok wojny to początek ery cyfrowej. Na University of Pennsylvania kończy się montaż pierwszego w pełni elektronicznego, uniwersalnego komputera. Maszyna nazywa się ENIAC (od Electronic Numerical Integrator And Computer), zajmuje 63 metry kwadratowe, waży prawie 30 ton i w przeliczeniu na dzisiejsze dolary kosztuje 3 miliony. Posłuży do artyleryjskich obliczeń balistycznych, ale najpierw zostanie wykorzystana przy budowie bomby wodorowej.

W ciągu sekundy ENIAC wykonuje ponad 350 operacji mnożenia przez siebie dziesięciocyfrowych liczb. Fakt, programowanie go za pomocą kart perforowanych i odpowiedniego podpięcia kabli zajmuje kilka dni, ale obliczenia i tak są dużo szybsze niż te wykonywane przez ludzi lub inne urządzenia. A niezawodność? W ciągu pierwszych ośmiu lat pracy najdłuższy okres bez usterki wyniesie prawie pięć dni!

Rok 1945 przynosi też kilka przełomów w telekomunikacji. W październiku w laboratoriach amerykańskiej stacji CBS po raz pierwszy udaje się przesłać w powietrzu kolorowy obraz telewizyjny, używając do tego fal radiowych o bardzo wysokiej częstotliwości. W USA naukowcy proponują również rozwiązanie, które można by nazwać telewizją „prawie satelitarną": sygnał z naziemnych masztów telewizyjnych obejmuje co najwyżej obszar o promieniu 130 kilometrów. A gdyby tak przekaźniki zamontować w samolotach latających 10 kilometrów nad Ziemią? Pomysł nie wykroczy, niestety, poza fazę prototypu.

Za to specjaliści od telefonii zapewniają, że prawdopodobnie uda się opracować system automatycznego łączenia się z abonentami mieszkającymi daleko od siebie. Tylko telefonistkom trudno to sobie wyobrazić.

DRŻYJCIE, MIKROBY

Przegląd „Science" sprzed 65 lat pozwala złapać na gorącym uczynku antybiotykową rewolucję w medycynie. Nic dziwnego – 15 marca 1945 roku w USA do cywilnego użytku dopuszczona zostaje... penicylina. Pojawiają się jej różne postaci: zastrzyki, kapsułki, drażetki i płyny chroniące lek przed kwasami żołądkowymi. Ba! Jest nawet penicylina w inhalatorach.

W tym samym roku w USA naukowcy poznają budowę streptomycyny. Choć wykazano jej skuteczność w leczeniu gruźlicy u świnek morskich, u ludzi nowy antybiotyk ma sobie poradzić z tyfusem (na który penicylina nie działa). Okazuje się, że na streptomycynę wrażliwych jest wiele bakterii, między innymi zakażających rany.

W 1945 roku przekichane mają również wirusy. Rozpoczynają się masowe szczepienia przeciw grypie.

GENETYKA KONTRA ŁYSENKO

Odkrycie struktury DNA w 1953 roku przyćmi wcześniejsze prace pionierów genetyki. A właśnie w 1945 roku Royal Society nagradza kanadyjskiego uczonego Oswalda Avery'ego, który badając pneumokoki, wykazuje, że substancją kodującą cechy organizmów nie jest białko, jak wcześniej sądzono. Dowodzi, że geny są zbudowane z kwasów nukleinowych. Genetyka schodzi na poziom molekularny i nabiera rozpędu.

W tym samym czasie w ZSRR umacnia się doktryna Trofima Łysenki: genetyka nie jest nauką, lecz kapitalistycznym wymysłem, a organizmy mogą z łatwością dziedziczyć cechy nabyte. Sam Łysenko jest dyrektorem Instytutu Genetyki Radzieckiej Akademii Nauk i od 1940 roku stopniowo wycina ideologicznych przeciwników.

Na łamach tygodnika „Science" w latach 1944–1945 pojawiają się komentarze na temat stanu nauk przyrodniczych w Związku Radzieckim. Na entuzjastyczny tekst doktora Dunna z Columbia University o rozmachu badań radzieckich biologów kąśliwie odpowiada Karl Sax z Harvardu. Zwraca uwagę na postępującą ideologizację radzieckiej nauki i rosnący wpływ łysenkizmu. Niepokoi go też, że przestało publikować kilku wybitnych rosyjskich genetyków, w tym Nikołaj Wawiłow, poprzedni dyrektor Instytutu Genetyki (zmarł w więzieniu w 1943 roku).

W odpowiedzi „Science" zamieszcza ostry tekst Antona Żebraka z Akademii Rolniczej w Moskwie, który dowodzi, że Łysenko to tylko ceniony agronom. „Łysenko spotyka się z ostrą krytyką genetyków – pisze Żebrak – w grudniu 1944 zorganizowali oni w Moskwie dużą konferencję". Te słowa to moment historii zaklęty w bursztynie. Ledwie trzy lata później, w 1948 roku, łysenkizm zostanie ogłoszony oficjalną doktryną ZSRR, a radziecka genetyka umilknie na lata.

BOMBA W GÓRĘ

To w 1945 roku po raz pierwszy bostońscy lekarze przeszczepiają człowiekowi nerkę. Ogłoszone zostają ważne badania na temat krwi, jej składu i możliwych środków krwiozastępczych. USA, ZSRR i Japonia wspólnie opracowują pierwsze globalne mapy pogody. Po raz pierwszy w radary wyposaża się komercyjne statki i cywilne lotniska. Rolnictwo z entuzjazmem przejmuje od wojska DDT. Radość i energia po zakończonej wojnie sprawiają, że nawet prace nad bombą atomową są postrzegane jako zabezpieczenie przed przyszłymi wojnami i źródło cennych technologii medycznych.

Nauka to jednak potęga.

PIOTR KOSSOBUDZKI

Kto sądził, że DDT jest szkodliwy? Spryskiwano nim wyzwolonych z obozów więźniów, by zapobiec zachorowaniom na tyfus

FOT. GETTY/FPM, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, ZDZISŁAW WDOWIŃSKI/FORUM, CORBIS, BE&W, LENTA.RU/EAST NEWS

TAK WŁAŚNIE ŻYLIŚMY

10 RZECZY O POLSCE Z 1945 R.

Urszula Dąbrowska

Pakty, reformy, wybory i wielka odbudowa stolicy to tematy, które tuż po wojnie nie schodziły z czołówek gazet. W cieniu ważnych spraw toczyło się jednak też zwykłe życie. Skromne i trudne w świecie wywróconym po wojnie do góry nogami. Oto 10 świeżo powojennych faktów, których zapewne nie znasz:

1. Po wojnie granice Polski przesunęły się, a jej powierzchnia zmalała z 389 do 311 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli o ponad 20 procent. Trudne do wyobrażenia? Dla ułatwienia upieczmy tort i zjedzmy z niego jedną piątą. Albo wyobraźmy sobie, że dziś z naszego kraju znikają trzy wschodnie województwa: podlaskie, lubelskie i podkarpackie.

2. Działania wojenne, obozy koncentracyjne, śmiertelne choroby, wysiedlenia i masowa emigracja wymienione jednym tchem nadal budzą grozę. To przez nie w czasie wojny ludność Polski zmalała prawie o jedną trzecią – z 35 do 24 milionów. Gdyby każdej z tych 11 milionów osób poświęcić sekundę ciszy, milczelibyśmy przez ponad cztery miesiące (127 dni, 7 godzin i 33 minuty). Gdyby w tym numerze „Przekroju" każdej osobie odpowiadała pojedyncza litera, jubileuszowe wydanie liczyłoby aż półtora tysiąca stron.

3. Osłabiony naród wziął się jednak ochoczo do pracy. W ciągu pięciu powojennych lat (1945–1950) na świat przyszło trzy i pół miliona nowych obywateli Polski. Czy to dużo? Bardzo, biorąc pod uwagę tragiczne warunki lokalowe i niedobory żywności. Każdego roku na każde 1000 osób rodziło się prawie 19 dzieci. W roku 2008 – mniej niż 11.

4. Czy twój dziadek krzywi się, kiedy tylko wspominasz o diecie? Nic dziwnego. Nie tylko okupacja, ale także pierwsze lata powojenne były dla Polaków czasem wymuszonej ascezy. Przeciętna dzienna racja żywnościowa wynosiła zaledwie 1700 kalorii – o wiele za mało dla dorosłego człowieka. I to w czasach, gdy często nawet pracownicy umysłowi ciężko pracowali fizycznie przy odgruzowywaniu i odbudowie kraju. W 1945 roku średnie roczne spożycie mięsa wyniosło zaledwie 8,6 kilograma na osobę. To mniej, niż przeciętny Polak zjada dziś w ciągu dwóch miesięcy.

5. Przez sześć lat okupacji głównym źródłem informacji były gazety podziemne. Te oficjalne, wydawane za zgodą Niemców, określano wdzięcznie mianem gadzinówek. Po odzyskaniu niepodległości nowe tytuły wyrastały jak grzyby po deszczu. Od czerwca do końca 1945 roku powstało 215 różnych periodyków. Pod koniec 1946 roku było ich już ponad 700. Na większość z nich można dziś spuścić zasłonę milczenia. Wspomnijmy jednak trzy godne tytuły założone już w pierwszej połowie 1945 roku: „Przekrój", „Tygodnik Powszechny", a dla najmłodszych – „Świerszczyk".

6. Pod okupacją wprowadzono do obiegu nowe pieniądze. Niby-złote, ale pozbawione wszelkich symboli polskości. Aby odróżnić je od prawdziwych,



Cztery województwa Ziem Odzyskanych zasiedlono głównie mieszkańcami z terenów oddanych ZSRR

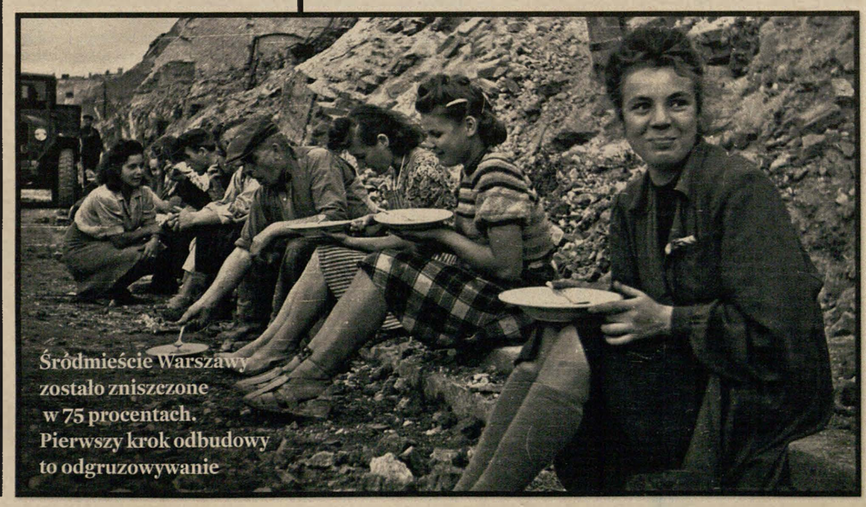
czyli przedwojennych złotówek, nazywano je młynarkami – od nazwiska Feliksa Młynarskiego, który był dyrektorem kontrolowanego przez Niemców Banku Emisyjnego w Polsce. Najbardziej popularnym banknotem był góral o nominale 500 złotych. Młynarki wycofano z obiegu dopiero w 1950 roku. Jednocześnie przeprowadzono (krzywdzącą dla ludzi i korzystną dla Skarbu Państwa) denominację.

7. Po wyzwoleniu błyskawicznie ruszyła nie tylko odbudowa, ale też edukacja. Mimo że w czasie okupacji działało silnie rozwinięte tajne nauczanie, wielu młodych miało nawet kilkuletnie zaległości. Kto mógł, starał się je nadrobić. Nabór na studia w 1945 roku przekroczył poziom sprzed wojny. W roku akademickim 1938/1939 studentów było 48 tysięcy, a w 1945/1946 – 55 tysięcy. Rok później liczba ta wzrosła do 80 tysięcy!

8. Przed wojną wszystkie wytwórnie filmowe znajdowały się w Warszawie. Bombardowania stolicy zniszczyły je do cna. W 1945 roku przemysł kinematograficzny (oczywiście pod światłą kuratelą nowych władz) zaczął odżywać. Pierwsze produkcje, kroniki i filmy dokumentalne powstawały pod egidą Wojska Polskiego, ale już 13 listopada 1945 roku założono w Łodzi pierwszą powojenną wytwórnię – Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski" z Aleksandrem Fordem na czele. Wkrótce rozpoczęto również zdjęcia do „Zakazanych piosenek" (1947) Leona Buczkowskiego, pierwszego powojennego filmu fabularnego.

9. Przeprowadzki, przesiedlenia, powroty i migracje. Pierwsze lata po wojnie były czasem wielkiego podróżowania – szukania swojego miejsca w nowej Polsce. Duża część tych podróży odbywała się na piechotę. Zniszczeniu uległa jedna trzecia torów kolejowych, dwie trzecie mostów oraz 80 procent parowozów i wagonów. Liczba samochodów osobowych spadła z 30 tysięcy w 1939 roku do 8,8 tysiąca w 1945 roku, a motocykli z 12 do 4 tysięcy. Jedynie ciężarówek trochę przybyło (z 12 do 14 tysięcy). Dla porównania: w roku 2008 w Polsce było w sumie ponad 20 milionów wszystkich tych pojazdów.

10. Jak można pięknie uczcić koniec okupacji? Pomysłów było wiele, ale prawdziwi kibice wiedzieli, że nic nie odrodzi ducha w narodzie tak jak dobry mecz piłkarski. Tym bardziej że w czasie wojny zakazywano Polakom uprawiania sportu. Dlatego już 10 dni po wyzwoleniu Krakowa, 28 stycznia 1945 roku, zorganizowano dwa mecze towarzyskie. Spotkanie Juvenii ze Zwierzynieckim zakończyło się remisem 2:2, a starcie gigantów, czyli Wisły z Cracovią, ta pierwsza wygrała 2:0. Nie trzeba było też długo czekać, by zreaktywował się Polski Związek Piłki Nożnej. Gdy powstawał 29 czerwca 1945 roku w Krakowie, na terenie Polski działało już siedem związków okręgowych.



Śródmieście Warszawy zostało zniszczone w 75 procentach. Pierwszy krok odbudowy to odgruzowywanie

NAGRODY NOBLA

Kogo Fundacja Noblowska wyróżniła w 1945 roku? Z lekcji biologii na pewno znasz przynajmniej jedno nazwisko. Podpowiedź: wysoka gorączka przy anginie i zastrzyki w pupę.



Przypominamy, że za penicylinę możesz podziękować sir Alexandrowi Flemingowi. Wielu z nas w dzieciństwie przeklinało antybiotyki podawane dożylnie, ale to dzięki nim zakażenia bakteryjne przestały być śmiertelne. W medycynie był to przełom na miarę wynalezienia koła. Zdanie to podzieliła Komisja Noblowska. Nagrodę w dziedzinie fizjologii i medycyny przyznano Flemingowi oraz dwóm innym naukowcom, którzy badali działanie penicyliny i opracowywali jej masową produkcję. Byli to Howard W. Florey i Ernst B. Chain. Ale tylko nazwisko Fleminga, czyli pierwszego odkrywcy antybiotyku, wkuwa się na lekcjach biologii.



Drugi „szkolny" laureat z 1945 roku to Wolfgang Ernst Pauli. Nic nie świta w głowie? Chyba wagarowałeś na fizyce. Bo zakaz Pauliego, znany też jako zasada wykluczania, to jedna z podstawowych reguł, którą należało znać, by móc określać spin elektronów w cząsteczce. Możesz nie pamiętać, ale właśnie to zaprzątało nasze umysły w liceum.

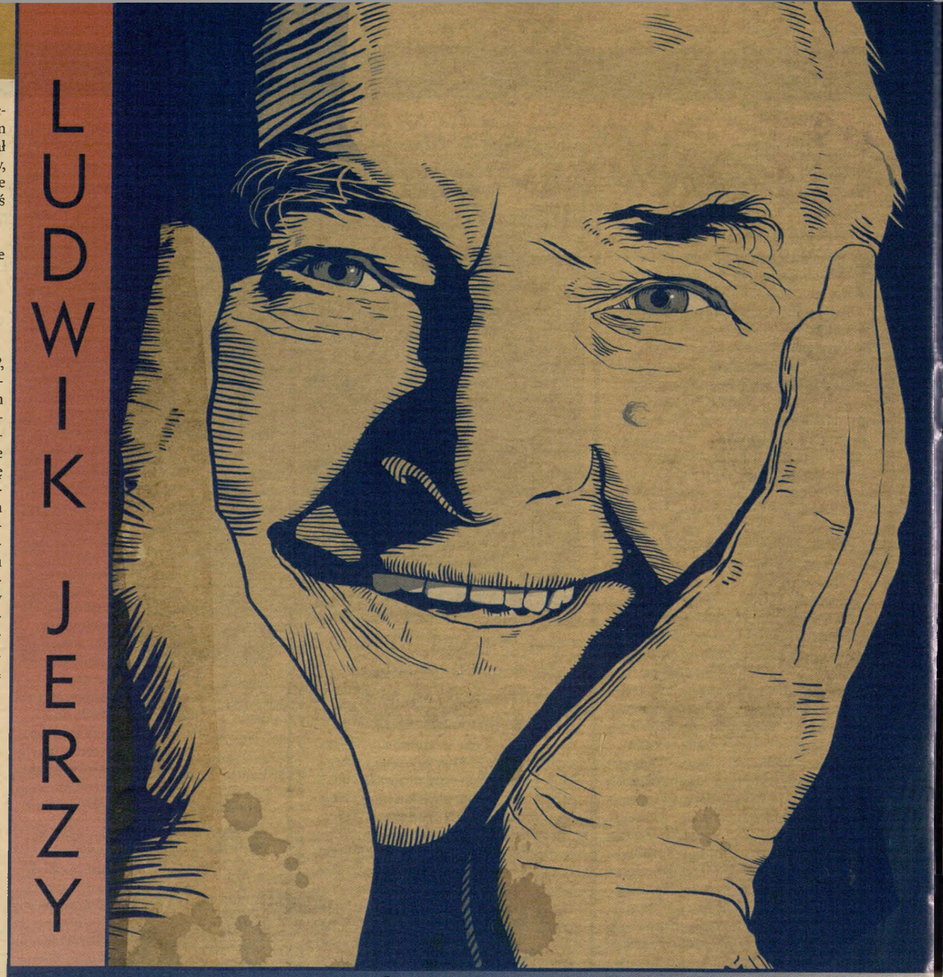
Natomiast o laureacie w dziedzinie chemii mogłeś nie słyszeć. Chyba że interesuje cię problem pasz dla bydła. Artturi Ilmari Virtanen, fiński biochemik, został uhonorowany Noblem właśnie za wkład w badania nad składem pożywienia dla zwierząt hodowlanych.



Poczet laureatów Nagrody Nobla z 1945 roku zamykają chilijska poetka Gabriela Mistral i amerykański polityk Cordell Hull, orędownik utworzenia ONZ.

KATARZYNA JANOWSKA

LUDWIK JERZY KERN: MÓJ „PRZEKRÓJ"



ILUSTRACJA TOMASZ BEREŹNICKI NA PODSTAWIE ZDJĘCIA BOGDANA KRĘŻLA

Proszę pani, na trasie ku mojej dziewięćdziesiątce 54 lata przesiedziałem w jednej firmie. Głupi! Dowcip polegał na tym, że przechodziło się z firmy do firmy, z gazety do gazety, bo wtedy dawali lepsze mieszkanie, talon na samochód albo coś w tym rodzaju.

A pan nic nie dostawał...

– Taki, co siedzi i wiadomo, że codziennie przyjdzie do roboty, to najmniej się liczy.

Przygoda z „Przekrojem" zaczęła się dla pana – jak to w Krakowie bywa – od spotkania na Plantach. Przypadkowo spotkał pan pewnego poetę?

– Pracowałem w Warszawie w centrali PAP, ale mieliśmy kiepskie warunki mieszkaniowe. Dali nam na Foksal budynek, w którym okna były zrobione z dykty, a żeby umyć zęby, trzeba było lecieć na róg Tamki i Kopernika. W Łodzi miałem matkę i odzyskane po Niemcach mieszkanie, przeniosłem się więc do Łodzi i zacząłem pracować w tamtejszym oddziale PAP, a jednocześnie zostałem studentem Wyższej Szkoły Teatralnej. Przyjechałem do Krakowa w sprawach służbowych PAP. Kierownikiem oddziału był Jalu Kurek, wtedy modny pisarz. Przed wojną dostał nagrodę Polskiej Akademii Literatury za książkę „Grypa szaleje w Naprawie". Wyszedłem od niego z biura i na Plantach natknąłem się na Gałczyńskiego. Po prostu przypadek, wszystko jest zresztą przypadkiem.

Wszystko w życiu jest przypadkiem?

– Tak, myśmy już się znali z Gałczyńskim z Łodzi. Lubiliśmy się, jeżeli tak można powiedzieć, bo pomiędzy nami była jednak różnica pokolenia, dokładnie 15 lat.

I on zaproponował, żeby pan przyszedł do „Przekroju"?

– To był ładny kwietniowy dzień, początek wiosny, słoneczne Planty. I on mówi: „Chodź ze mną na spacer". I tak mnie przez te Planty doprowadził do „Przekroju". To była w tamtych czasach wielka klasa. Dostać się do „Przekroju" to był los wygrany na loterii.

Od początku pismo cieszyło się tak dobrą sławą?

– Od samego początku. Gałczyński wprowadził mnie do gabinetu Eilego i powiedział następujące słowa: „Słuchaj, tu jest taki facet, co się może nam przydać". Eile popatrzył z boku, niechętnie, zły, że mu zawracają głowę. Biurko miał całe zawalone tekstami i ilustracjami, bo on wszystkiego musiał osobiście dotknąć, przeczytać. I mruknął: „Niech on zostanie na tydzień". W ciągu paru sekund zadecydowałem, że nie wrócę już do szkoły teatralnej, że nie wrócę do Łodzi, choć w Krakowie nie miałem nic. Jacyś moi znajomi udostępnili mi sublokatorski pokój. Nawet nie zapytałem, co ja będę z tego miał. Przez jakiś rok czy półtora płacili mi tylko ryczałt, na ówczesne pieniądze to było 500 złotych. Byłem chłopakiem na posyłki, do wszystkiego.

W jednej chwili rzucił pan wszystko i dokonał wyboru na całe życie.

– Nie wiedziałem, czy na całe życie. Eile powiedział: niech on zostanie na tydzień na próbę, ale tej próby do tej pory nie odwołali. Przeszedłem na emeryturę i ciągle pracowałem w „Przekroju". Do tej pory nikt mnie nie odwołał.

Czym „Przekrój" różnił się od innych pism?

– Po okupacji, kiedy Polska jest zupełnie inna niż kiedyś, nagle ukazuje się pismo, które bawi całe rodziny. Eile wymyślił gazetę, którą mogli czytać tatuś, mamusia, babcia, dziadek, wnuczek. Potem się okazało, że to jest pismo atrakcyjne nie tylko dla Polaków, ale dla całego tego socjalistycznego bloku. Josif Brodski nauczył się polskiego na „Przekroju", Asar Eppel, Światosław Świacki, który pochodził z dawnej polskiej rodziny, ale polskiego nauczył się też na „Przekroju", i to tak dobrze, że w końcu dostał nagrodę tłumaczy za przekład „Pana Tadeusza".

„Przekrój" miał swojego ducha?

– Eile miał trzy zasady. Zasada numer jeden polegała na tym, żeby nie dać się wyprowadzić z Krakowa. W związku z czym Warszawa nie mogła mu za dużo zawracać głowy. Telefony słabo działały, więc jeśli towarzysz z biura prasowego chciał ingerować, to często dodzwaniał się późną nocą, a wtedy on był, po pierwsze, pijany, a po drugie, my mogliśmy udawać, że nas nie ma.

W Warszawie Eile mówił, że „Przekrój" jest pismem lokalnym, a w Krakowie mówił: nie czepiajcie się mnie, bo my jesteśmy pismem centralnym, tylko chwilowo z powodu maszyn drukarskich nie możemy być w Warszawie. W związku z czym nie chodził na żadne odprawy do komitetu wojewódzkiego.

Kolejna zasada była taka: nie dopuścić, żeby w składzie redakcji było więcej niż dwóch partyjnych, dlatego że gdy było trzech, to powstawała komórka partyjna. Jeśli musiał mieć jakiegoś partyjnego, bo tego wymagały władze, to się znajdował taki partyjny, jak Henio Markiewicz albo Henio Vogler.

Następna sprawa to angażowanie współpracowników. Polegało głównie na tym, że jeden drugiego wprowadzał. Rysownik Gwidon Miklaszewski przyprowadził do „Przekroju" człowieka, który się nazywał Stefan Kisielewski. Stefan Kisielewski spotkał na ulicy w Krakowie Jerzego Waldorffa, który ze zrujnowanej Warszawy przytaskał się do Krakowa, żeby znaleźć jakieś zajęcie, i Stefan przyprowadził Waldorffa do Eilego.

Eile natychmiast go przyjął i jakże się ten Waldorff przydał. On właśnie wprowadził do pisma Gałczyńskiego. Gałczyński po obozach, po krótkotrwałym pobycie na Zachodzie, przyjechał do Krakowa, żeby się rozmówić z Natalią. Przywiózł sobie jakąś damę serca. Skończyło się tak, że Natalia ją wygoniła. Dalej w tym łańcuszku Gałczyński przyprowadził mnie. A ja to już nikogo nie wprowadziłem.

Czyli niezależność, łańcuszek współpracowników. Co jeszcze składało się na fenomen pisma?

– Teraz w Krakowie jest wielka wystawa Daniela Mroza. Skąd się Daniel Mróz, genialny rysownik, wziął w „Przekroju"? Daniel Mróz się wziął z tego faktu, że Eile oprócz tego, że zajmował się redagowaniem pisma, był również bardzo dobrym scenografem. I na Akademii Sztuk Pięknych miał Katedrę Scenografii. Wśród studentów był taki późny powojenny student, który okazał się jakiś inszy, jakiś taki co inaczej rysuje, to był Mróz, którego Eile ściągnął do „Przekroju", kiedy ten tylko skończył akademię.

Czyli Eile miał talent do wyłapywania ludzi zdolnych.

– Czy zdolny jest na przykład Romek Polański?

Dość zdolny!

– Też lansował go „Przekrój". Penderecki jest zdolny?

Wszystko na to wskazuje.

– Czy ktoś w latach 50. wiedział, kto to jest Penderecki? A Eile go w swoim piśmie promował. Dzisiaj to wiadomo – pan z bródką na cały świat znany.

Czy to Eile miał taki słuch do ludzi, czy ludzie sami się do niego garnęli?

– Utalentowani ludzie garnęli się do niego. Mrożek. Skąd się wziął Mrożek? Z „Przekroju".

Eile był dyktatorem?

– On decydował o wszystkim. Wszystko czytał, wszystko oglądał. Napisało się wierszyk, Gałczyński nie Gałczyński musiał przyjść z kartką i czekać, aż Eile przeczyta. Czasami łapał od razu za długopis i coś tam skreślał. Ja pytam: „Dlaczego ty to poprawiasz? Ja to pisałem dziś w nocy i nad tym zdaniem siedziałem godzinę. A ty w ciągu minuty chcesz ulepszyć?". „Masz rację" – mówił i odpuszczał.

Czyli jakieś argumenty do niego trafiały?

– Chociaż trzeba przyznać, że kiedy robił poprawki, to były idealnie trafione. Czasami tak połączył dwa zdania, że potem się czasowniki nie zgadzały i trzeba było drugi raz przeczytać. Nie wiem, jak jest dzisiaj. Ale podejrzewam, że autor pisze, potem to idzie do kierownika działu, on czyta, poprawki swoje robi, to potem idzie do zastępcy naczelnego redaktora, ten też coś podłubie, w końcu idzie do naczelnego redaktora i naczelny redaktor robi swoje poprawki. I to już nie ma nic wspólnego z tym, co człowiek napisał.

Nie całkiem tak jest.

– Nie wiem, może pani jest łaskawsza.

Ale szukajmy ducha „Przekroju", bo jeszcze go nie widzę.

– To było pismo robione przez kumpli, przez zgraję dobranych facetów. Jeden się znał na teatrze, drugi na muzyce, trzeci się znał na kresce, jak Daniel Mróz. Przez jakiś czas mieliśmy z Danielem zsunięte biurka – ja siedziałem po jednej stronie, on po drugiej. Pięknie kurwował, potrafił wyraz przedzielić kurwą. Miał małe dziecko, dziewczynka mu się urodziła. Siedzimy naprzeciwko siebie i on mówi: „Wiesz co, kurwa, nie wiem, co teraz się z tymi dziećmi dzieje. – Co się takiego dzieje? – Siedzę sobie wczoraj w domu przy biurku, kurwa, rysuję, ona siedzi w łóżeczku czy w wózku, i nagle słyszę, jak mówi: tatuś, miś, kulwa, upadł. Powiedz mi, kurwa, skąd to dziecko zna takie słowa?". Danielowi się ręce trzęsły. Ale jak tylko umoczył piórko w buteleczce z tuszem, to pewną ręką ciągnął linijeczkę przy linijeczce, dziesiątki milimetrowych odchyleń.

Powiedział pan, że to była zgraja dobranych facetów. Ale była też kobieta, chyba ważna?

– Była. Janka „Kamyczek" Ipohorska. Ona była zastępcą naczelnego redaktora.

Podobno była większą erudytką niż sam redaktor naczelny, który bardzo liczył się z jej zdaniem.

– Odgrywała dużą rolę, bo pisała „Savoir-vivre", który wtedy, po wojnie, bardzo się przydawał. Była świetną rysowniczką. A z wykształcenia romanistką.

„Przekrój" to był sposób na życie, a nie pracę?

– Przede wszystkim wszyscy mieli pomysły. Myśmy o niczym innym nie myśleli, tylko o „Przekroju". W lecie, jak się robiło cieplej, zabieraliśmy koc i jechaliśmy na koniec Błoni, tam był basen. Popływaliśmy trochę i dalej mówiliśmy o „Przekroju". W pismo angażowali się wszyscy wybitni pisarze tamtego czasu: Nałkowska, Szaniawski, Iwaszkiewicz, Wańkowicz, Tyrmand. Polegało to na tym, że do Zakopanego trzeba było jechać przez Kraków. Zawsze mieli przesiadkę na jakiś autobus czy pociąg i parę godzin wolnych, podczas których przychodzili do „Przekroju". Któregoś dnia do „Przekroju" przyszedł sam Picasso.

Ktoś z redakcji przytomnie poprosił go o rysunek.

– Tak. Goniec. Holender z pochodzenia, bo innym zabrakło śmiałości. Taki, co go tutaj Niemcy przywieźli na roboty w czasie wojny, został, wdał się w jakiś romans i żeniaczkę, a potem był u nas gońcem. Jeździł na rowerze, kolumny woził do cenzury, do drukarni, do korekty. Kiedy Picasso przyszedł do redakcji, to on był jedyny przytomny, który mu podsunął kawałek białego papieru, żeby coś narysował. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jaką to może mieć wartość. Innego dnia zjawił się w redakcji Jean Effel, słynny rysownik francuski. To moje cotygodniowe pisanie wierszyka zaczęło się od niego. Effel przywiózł Eilemu w prezencie kolorowe odbitki jego rysunków w dużym formacie do najnowszego wydania La Fontaine'a we Francji. Eile wsadził to do słynnej dolnej lewej szuflady, gdzie lądowały tak zwane żelazne zapasy. Kiedyś jak co tydzień było redakcyjne ględzenie, układanie numeru i coś nie szło. Ktoś powiedział: zajrzyj do lewej szuflady, może coś się znajdzie. I wtedy Eile wyciągnął rysunki Effela i mówi do mnie: „Zrób z La Fontaine'a nowe przekłady i damy je razem z rysunkami. Ja wtedy zajmowałem się trochę tłumaczeniem z francuskiego, ale na coś takiego nie miałem ochoty. Mówię: „Tłumaczyć to ja nie będę, ale mogę robić parafrazy z La Fontaine'a". „A rób!". I tak się zaczęło to moje pisanie co tydzień.

A poprzeczna strona z „Rozmaitościami" jak powstała?

– „Rozmaitości" zaczął robić Waldorff. Przejąłem je od niego, kiedy się przeniósł do Warszawy na kierownika literackiego opery. Strona była normalna, w pionowym kształcie, ale Eile co jakiś czas mówił: „Wymyśl coś nowego". Więc wymyśliłem Wacusie, słownik wyrazów obcych, kamery, wycinki, ogromne ilości tego przychodziły od czytelników, było w czym wybierać. Któregoś dnia Eile mówi: „Trzeba jakąś nową rubrykę czy coś nowego, bo już nie można na to patrzeć". Ja mówię: „To zróbmy w poprzek". A on: „Tak! Tak! Tak!". I od tej pory zaczęliśmy drukować w poprzek.

Jako dziecko czytałam opowieści o Wacusiu, o Falczakach i zawsze mnie intrygowało, czy ktoś taki istniał?

– Wymyśliłem nową rubrykę. Najpierw to się nazywało „Najkrótsze nowelki". Mój bohater miał się nazywać Walczak. Pomyślałem, że to nazwisko powszechne, ale już nie te Nowaki, Kowalskie, Malinowskie. I przyniosłem mu serię tych Walczaków. On wziął długopis i wszędzie zamiast W wsadził F. Pytam: „Dlaczego to robisz?". „To ty nie wiesz, że minister sprawiedliwości nazywa się Walczak? Czy ja mam mało kłopotów na głowie? To ty chcesz mi jeszcze Walczaka dodać?". I niech pani sobie wyobrazi, że ja w kilku książkach telefonicznych z różnych rejonów sprawdzałem – Falczaka nie było. Był tylko nasz.

I jeszcze ten Wacuś, który tak się pani podobał. Ja długi czas nie wiedziałem, dlaczego on mi tego Wacusia dał. Była taka słynna piosenka Dymszy: „Ja jestem Wacuś, co w głowie ma, sam nie wie co, ale coś". Myślę sobie – pewnie z tych kabaretów przedwojennych. I potem dopiero się dowiedziałem, że w „Wiadomościach Literackich" było dwóch adwokatów warszawskich, którzy przynosili tam jakieś kawałki do redakcji „Wiadomości" i podpisywali je Wacuś.

Co pan zapamiętał z pierwszych lat „Przekroju"?

– Przyszedłem do „Przekroju" w 1948 roku. I uderzyło mnie przede wszystkim to, jak ten zespół jest strasznie mały. Do dzisiaj jestem przekonany, że dobre pismo powinno robić 10 osób. Dlatego mieliśmy mnóstwo pseudonimów, bo zasada była taka, że nie mogą się powtarzać te same nazwiska.

Nawet Gałczyński kiedy pisał trzy rzeczy w numerze, to jedna była publikowana z podpisem profesor Bączyński, druga jakoś inaczej, a jak to był wiersz, to wtedy był Gałczyński. Ja też miałem kilka pseudonimów.

W humorze tygodnika odbijał się jego duch? Wiem, wiem, że ja ciągle o jednym, ale z kim o tym, jak nie z panem?

– To była grupka ludzi, która natychmiast chwytała, o co chodzi. Stawałem się przy nich sto razy dowcipniejszy, niż jestem normalnie. Waldorff kiedyś do mnie mówi: „Proszę ja ciebie, wyobraź to sobie, że jeden z moich przodków brał udział w bitwie pod Grunwaldem". Zapytałem: „Po której stronie?". A on, zamiast mnie strzelić w ryja, zaczął ryczeć ze śmiechu.

Codziennie był pan w pracy?

– Codziennie. Chyba że była pogoda, a ja miałem wszystko zrobione, wszystko poszło do drukarni, to wsiadałem w samochód i jechałem pod Tatry, na ryby, na pstrągi.

Eile na to pozwalał?

– Tak. Jego to nie interesowało, jeśli było zrobione.

A jaki był? Wybuchowy? Piekli się?

– Bardzo rzadko, ale czasem się wściekał. Krzyczał wtedy: „Dlaczego ja sam muszę wszystko robić?! Tutaj są jacyś ludzie w ogóle! Po co? Nie wiadomo".

Dobrym był szefem?

– Był szefem, który w ogóle się nie interesował naszymi materialnymi problemami. Nic go to nie obchodziło. Mieliśmy najgorsze pensje w całej RSW Prasa, mimo że utrzymywaliśmy wszystkie krakowskie gazety z naszego dochodu. Plan mieliśmy taki, że drukujemy 600 czy 700 tysięcy egzemplarzy, a w święta milion, natomiast partyjne gazety w Krakowie miały wytyczony plan minusowy, że mają mieć dwa miliony deficytu na przykład. I jak zrobili zamiast dwóch milionów tylko milion osiemset deficytu, to wszyscy dostawali pieniądze za przekroczenie planu, dodatki, wyższe zarobki.

A wy ciągle zgodnie z planem!

– Wybudowali tutaj wielką drukarnię za „Przekrojowe" pieniądze. Wybudowali wieżowiec – za pieniądze „Przekroju". Wieżowiec przeszedł na własność miasta po tych wszystkich przemianach. Teraz jest tam bank. Dla władz to było burżujskie pismo, ale przynosiło pieniądze – i tu była ta straszna sprzeczność. Pieniądze się brało, a kochać się nie kochało. W „Przekroju" zarabiało się źle, nawet bardzo źle. Jednak dzięki „Przekrojowi" wydawało się książki, do radia zapraszali, zaczęły się telewizje.

Kto należał do paczki „Przekroju"?

– Trzon „Przekroju" to był Waldorff, który, niestety, uciekł potem do Warszawy, Janka Ipohorska, oczywiście Eile, Barbara Hoff, twórczyni ówczesnej mody, Zbyszek Lengren ze swoim Filutkiem, Tonio Uniechowski, Juliusz i Lucjan Kydryńscy, Wojtek Pleviński, Henio Markiewicz, Janek Błoński, młodsza siostra Janka Wanda Błońska. Z Warszawy Roman Burzyński, fotografik i dziennikarz, który robił dział sportu do pewnego czasu, Tyrmand, Kazio Koźniewski. I dwóch grafików z przedwojennego „Ilustrowanego Kuriera", u których Eile praktykował: Janusz Maria Brzeski (który wymyślił i narysował, jak się zdaje, nieśmiertelną winietę „Przekroju") i Zygmunt Strychalski. No i Daniel Mróz. Wszyscy do śmierci służyli w „Przekroju". I najważniejszy autor „Przekroju" – Pies Fafik.

A paluszek i rączka czyjego są autorstwa?

– Rączkę chyba wymyślił Eile, ale wylansował ją Daniel Mróz.

Eile po 1968 roku sam zrezygnował z najlepszej, jak sam mówił, posady świata, czyli z funkcji redaktora naczelnego. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki?

– Dwa razy do tej samej rzeki nie wchodzi tylko ten, kto za pierwszym wejściem się utopił. Mógł wejść, ale już nie chciał.

Dlaczego?

– Wyjechał do Francji, gdzie wiódł trudne życie emigranta. Nie wiem, czy to napisał, czy gdzieś powiedział: „Poszedłem do »Paris-Soir« z rysunkami, a naczelny redaktor mówi: »Panie, tu dopłacają, żeby opublikować«". Ale w końcu rysował dla nich. Robił okładki płyt. Wrócił do Polski i dopiero kiedy sam poprosił o zwolnienie go z funkcji, przestał być redaktorem naczelnym. Jestem święcie przekonany, że gdyby sam o to nie poprosił, toby został.

To dlaczego zrezygnował? Jak pan sądzi?

– Ogromną rolę w historii „Przekroju" odegrała rodzina Michałowskich. Wszystko się bierze z koleżeństwa. Eile z Michałowskim kończyli gimnazjum Batorego. Razem studiowali prawo. Michałowski dostał się do niewoli i w oflagu spędził całą okupację. A po wojnie stał się jednym z czołowych dyplomatów polskich. Albo był ambasadorem w Waszyngtonie, albo w Narodach Zjednoczonych, albo w Genewie, albo w Paryżu. I co tu dużo gadać, to był naczelny szmugler „Przekroju". Te wszystkie niedopuszczalne rzeczy przywoził on albo pani Mira Michałowska. Przypuszczam, że on załatwił, że myśmy bezkarnie przedrukowywali zagranicznych autorów, nie płacąc albo wpłacając grosze do ZAiKS na jakieś tam konto rezerwowe, które było do dyspozycji, gdyby autor przyjechał do Polski. I to się w pewnym momencie skończyło.

Po rezygnacji z funkcji naczelnego Eile bywał u nas na wszystkich uroczystościach, fotografował się ze swoimi następcami, z Kietą czy z Czumą, którzy starali się trzymać w piśmie nadany przez niego kierunek.

TO BYŁA GRUPKA LUDZI, KTÓRA NATYCHMIAST CHWYTAŁA, O CO CHODZI. STAWAŁEM SIĘ PRZY NICH STO RAZY DOWCIPNIEJSZY NIŻ NORMALNIE

Nie miał pan ochoty odejść z Eilem z redakcji?

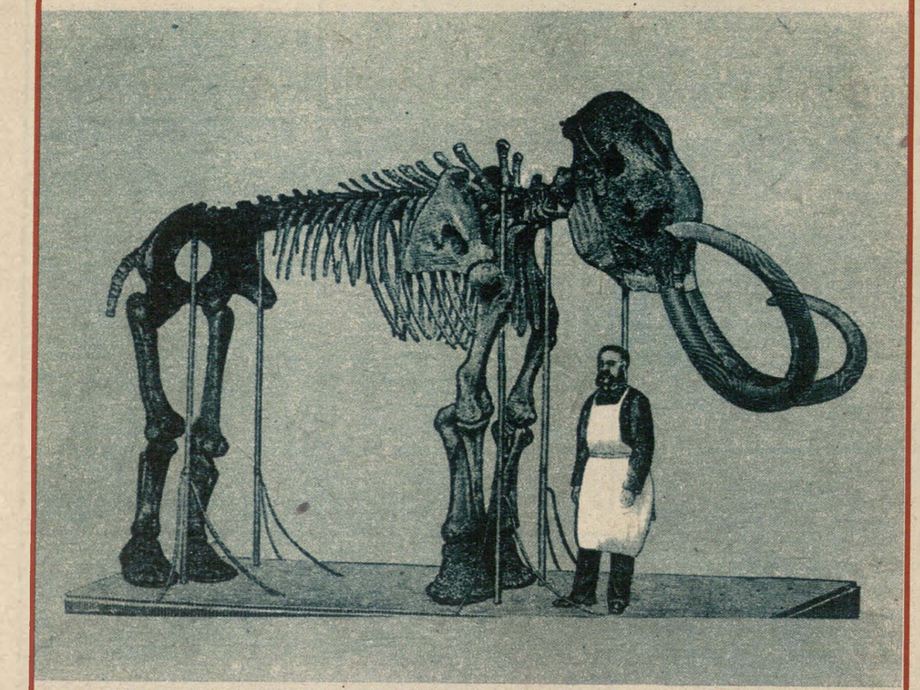
– Byłem świadomy tego, że gdy się stamtąd pójdzie, przyjdzie ktoś inny i będzie gorszy. Eile nie żądał od nikogo, żeby rzucić pismo. „Przekrój" to było jego oczko w głowie. Przecież wyrzucił Tyrmanda, dlatego że pisarz przez swój tekst zagroził istnieniu „Przekroju". Tyrmand robił sprawozdania sportowe z Warszawy. I kiedyś był mecz bokserski Polska–Związek Radziecki. Polacy wygrali, strasznie lanie spuścili Ruskim w hali Gwardii. Zrobiła się zadyma, ponieważ widownia wyła, skończyło się tym, że przyjechały suki milicyjne i paręset osób z tej hali wywieźli gdzieś pod Mławę i tam wyrzucili. A sprawozdanko od Lolka Tyrmanda przyszło następujące: „Wszystko było w tym meczu na najwyższym poziomie, łącznie z gwizdami". I Eile zadrżał, że przez takie, za przeproszeniem, g... wyrzucą go albo w ogóle zlikwidują „Przekrój". I wtedy pożegnał się z Leopoldem i Leopold poszedł prosto do „Tygodnika Powszechnego".

Szczęśliwe było pana życie z „Przekrojem"? Nie żałował pan nigdy, że nie odszedł?

– Nigdy. Mój protektor Konstanty Ildefons Gałczyński napisał kiedyś:
„W takim Przekroju
po prostu się boją
bo jak na przykład
wejdę do pokoju
i się zamyślę
powiedzmy o Wiśle
to zaraz łzy jak groch...".

Cały ten sznyt i błysk

FOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFO



Ojciec Wojciecha Dębskiego jako preparat muzeum Nauk Przyrodniczych (zdjęcie z roku 1892).

Justyna Jaworska

Humor „Przekroju" miał własny klimat i wdzięk. Krakowski tygodnik przez lata nadawał ton polskiej rozrywce

W felietonie gwiazdkowym z grudnia 1947 roku redakcja „Przekroju" odpowiadała na zarzuty, że kpi ze świętości narodowych (chodziło między innymi o parodiowanie wieszczów), takim oto argumentem: „A nam się zdaje, że żartobliwie traktuje się ludzi i idee, które się kocha. Człowiek nie śmieje się tylko z tego, czego się boi". Po czym życzyła czytelnikom prawa do śmiechu ze wszystkich przejawów życia, a rządowi – opracowania „trzyletniego planu odbudowy humoru w Polsce". Gdy w 1950 roku wprowadzano plan sześcioletni, redakcja żartowała już ostrożniej (było czego się bać), ale nawet w okresie stalinowskim pismo starało się puszczać oko do czytelnika. Między innymi dlatego z kiosków znikał cały nakład. Jak po latach określić ten specyficzny humor? Nie ma zadania bardziej ponurego niż tłumaczenie dowcipów, dlatego łatwiej ustalić, czym humor „przekrojowy" nie był.

Otóż dawny „Przekrój" – ten od połowy lat 40. do późnych 60., czyli pismo Mariana Eilego – na pewno nie przypominał „Szpilek", a tym bardziej „Karuzeli", bo nigdy się nie określał jako tygodnik satyryczny. Owszem, był rozrywkowy, ilustrowany, utrzymany raczej w pojemnej formule magazynu rozmaitości. Mógł śmieszyć, ale nie musiał, i na tym polegała jego przewaga nad tytułami, które śmieszyć musiały z definicji. Redaktor Marian Eile stosował nawet powiedzenie „humor szpilkowy" na określenie rafy, którą podczas redagowania pisma starał się omijać; być może chodziło o żarty zbyt oczywiste, dopowiedziane do końca? A może o zbyt agresywną satyrę polityczną? Co ciekawe, z redaktorem naczelnym „Szpilek" Erykiem Lipińskim Eile znał się jeszcze z przedokupacyjnej Warszawy. Było im nawet po drodze, kiedy tuż przed wybuchem II wojny w mieszkaniu Eilego na Powiślu obmyślali nowe ilustrowane pismo satyryczne „Ksantypa". Mieli je utworzyć oni dwaj, poetka Zuzanna Ginczanka, rysowniczka i żona Lipińskiego Hanna Gocławska (Ha-Ga) oraz pisarz Andrzej Nowicki. Nie zdążył się ukazać ani jeden numer, a skład projektowanej redakcji (z wyjątkiem Eilego i Ginczanki, która okupacji nie przeżyła) stworzył po wojnie właśnie zespół „Szpilek", od których „Przekrój" tak bardzo chciał się potem różnić.

Jak na ironię te same „Szpilki" przygarnęły Eilego, gdy w 1970 roku nieoczekiwanie wrócił z Paryża z krótkiej pomarcowej emigracji. Nie był już wówczas redaktorem stworzonego przez siebie tygodnika i przyszło mu publikować żarty rysunkowe na łamach dawnej konkurencji...

We własnym piśmie Eile nie podpisywał swoich rysunków, trzeba je rozpoznawać po kresce. Często nie były to zresztą pełnoformatowe obrazki, tylko rozmaite winietki, ramki, ozdobniki. Graficy innych pism kopiowali ten styl – Eile był w tym przypadku innowatorem. To on wymyślił ostatnią stronę „Rozmaitości", czyli drukowany w poprzek kolaż drobnych stłoczonych rubryk, jakby parodię gazety w miniaturze. Jego redaktorskie poczucie humoru objawiało się w sposobie komponowania materiału na stronie – pozornie chaotycznie, czasem kontrastowo. Lubił powtarzać, że „pismo trzeba redagować lekko", i nawet poważne artykuły brał w kpiący nawias nożyczek.

Zielona Gęś i Fafik

Bez oporów przedrukowywał cudze żarty, najchętniej z „New Yorkera". Pod własnym nazwiskiem, które w „Przekroju" prawie się nie pojawiało, wydał tylko dwie książeczki: „Historyjki dla analfabetów" oraz antologię „Humor dla analfabetów", 214 polskich, francuskich, amerykańskich żartów bez podpisów.

Lubił pseudonimy. Sam podpisywał teksty jako Bracia Rojek (na temat liczby braci czytelnicy snuli różne domysły), Lord Gallux czy Salami Kożerski. Inni członkowie redakcji posuwali się w tej zabawie aż do ukrywania płci, na przykład zastępczyni naczelnego Janina Ipohorska wcielała się zarówno w Paulinkę, jak i w Jana Kamyczka, swoje malarstwo zaś zaprezentowała kiedyś jako Stanisław Lubanowski, „naiwny formalista z Radomia". Lucjan Kydryński prowadził rubrykę o filmie jako Aleksandra, Jerzy Waldorff bywał w niektórych felietonach Ciocią Ficią. W latach 40. „Listy z fiołkiem" słał do pisma tajemniczy Karakuliabro, czyli oczywiście Konstanty Ildefons Gałczyński. On też wprowadził do pisma wymyślone postaci z „Teatrzyku Zielona Gęś": Hermenegildę Kociubińską, Profesora Bączyńskiego, Psa Fafika... Choć Fafik był akurat prawdziwym redakcyjnym psem, a jego myśli Eile zamieszczał w specjalnej rubryce jeszcze długo po tym, jak w Najmniejszym Teatrzyku Świata po raz ostatni zapadła kurtyna.

Absurdalny, poetycki humor spod znaku Gałczyńskiego wracał to w wymyślnych hasłach „Krzyżówki z kociakiem", to w nonsensownych na pierwszy rzut oka tytułach artykułów, a przede wszystkim w wierszach Ludwika Jerzego Kerna drukowanych przez całe dekady na ostatniej stronie.

Żarty „przekrojowe" z reguły nie były napastliwe, miały raczej działać terapeutycznie. Na samym początku swojego istnienia tygodnik odreagowywał okupację. Drukował popularne wówczas rebusy fotomontażowe, na przykład orła z głową Hitlera podsmażanego niczym kurczak nad płonącą mapą Niemiec z podpisem „Orzeł i resztka". Społeczeństwo było wygłodzone, więc śmiał się z żarłoków i grubasów – już w pierwszym numerze znajdziemy groteskowy portret tłuściochów w bawarskich strojach, czyli małego Göringa z rodziną. Nic też dziwnego, że reakcjonista August Bęc-Walski, bohater satyrycznych obrazków Charliego (Karola Ferstera) zamieszczanych w „Przekroju" do początku lat 50., był brzuchatym sybarytą często przedstawianym przy suto zastawionym stole; kieliszek, ciastko i trzymana na kolanach dama przewijają się przez ten cykl jako trzy emblematy rozpusty. Ten gargantuiczny, rozpasany humor, który po kilku latach zaczął występować w antyamerykańskiej wersji, mógł śmieszyć na nieco karnawałowej zasadzie, jako odwrócenie postnego porządku. Z podobnych powodów uśmiech budziły zapewne postaci z rysunków Janiny Ipohorskiej, choćby pękata postura Pana Karafki. Trzeba jednak dodać, że o ile Pan Karafka pozostawał dobroduszny, o tyle Bęc-Walski w miarę nasilania się antyimperialistycznej propagandy stawał się coraz mniej sympatyczny.

Robaczek w jabłuszku

W ciężkich warunkach otwierano w Polsce pierwsze jadłodajnie, co spopularyzowało humor restauracyjny i stołówkowy. Śmiano się z małych porcji, „trucicielstwa", kartek, wysokich cen. Przede wszystkim zaś z tego, że nie było co jeść. W tym kontekście na nowo trzeba też odczytać znany z dziecięcych wypisów utwór Jana Brzechwy „Entliczek, pentliczek" drukowany po raz pierwszy na ostatniej stronie „Przekroju" (30/1945). Przypomnijmy pokrótce treść popularnego niebawem wierszyka: „czerwony stoliczek" – na zniecierpliwionym jabłuszkową dietą robaczku „zielony kubraczek" – wyprawa do miasta, a tam frustrujące menu z samych jabłek – wreszcie raczej polityczna niż gastronomiczna puenta: „No widzisz, robaczku, i gdzie twój befsztyczek? ". Nie ma wątpliwości, że kilka lat później niczego takiego by nie wydrukowano.

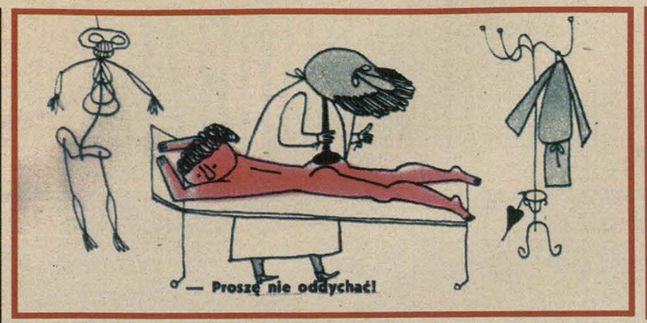
Bawiono się reklamami i poetyką drobnych ogłoszeń trochę na przedwojenną modłę. Jednak po kilku latach przestano je zamieszczać. Najdłużej i z zagadkową doprawdy konsekwencją utrzymywały się za to reklamy wytwórni zup i budyniów w proszku Strójwąs, jak choćby ta: „Mój ślimaczku, wystaw rożki! Dam ci sera na pierożki. Fe! Pierożki... ja jedynie chcę Strójwąsa jeść budynie". Gdyby traktować przedostatnią stronę „Przekroju" jako miernik podaży, można by pomyśleć, że Polacy po wojnie żywili się wyłącznie budyniem.

Tygodnik nie stronił też od autoironii, na przykład podejmując temat alkoholu. Zamiast bałamutnie namawiać czytelników, by w ogóle nie pili, zachęcał ich, by pili kulturalnie. Już w pierwszym numerze pisma z kwietnia 1945 Czesław Miłosz ostrzegał, żeby na gruzach wojennych nie chlać i nie rżnąć w karty, tylko brać się do roboty; sam od alkoholu nie stronił, ale brzydziło go narodowe topienie wszystkiego w wódzie. Redaktorzy nie ukrywali własnych upodobań – Stefan Kisielewski w felietonie na ostatniej stronie polecał „herbatkę Kisiela" (z prądem) do użytku domowego oraz wychwalał picie domowe jako podtrzymujące spoistość rodziny. Jerzy Waldorff z kolei drwił z abstynenckich propozycji zastąpienia alkoholu mlekiem lub herbatą („Można sobie od biedy wyobrazić mycie się w tych płynach, ale [...] picia ich w większych ilościach nie zniósłby najsilniejszy fizycznie człowiek") bądź ćwiczeniami gimnastycznymi na trapezie („W jakiej knajpie ja znajdę trapez? "). Ten sam Waldorff rzucił w 1948 roku żartobliwe hasło „Pijmy skrzyp! " trochę jako parodię nasilających się wówczas prohibicyjnych haseł.

O dziwo, wielu czytelników potraktowało ten apel poważnie – do redakcji przychodziły listy z deklaracjami zastąpienia wódki naparem z tej dobroczynnej rośliny. Humor w Polsce najwyraźniej wymagał odbudowy. Trzeba jednak dodać, że w okresie stalinowskim pismo samo porzuciło figlarny ton i zamieszczało poruszające reportaże o delirykach. Dopiero po odwilży można było wydrukować radosną pochwałę koktajli pod hasłem „Pijemy kogucie ogony! ".

Janinie Ipohorskiej zdarzało się osiągać szczyty ironii w rubryce o modzie. Później ten ton (wraz z rubryką) przejęła od niej Barbara Hoff. Jeszcze w latach 40., czasie powojennej biedy, ostentacyjnie wytwornym przedrukom z zagranicznych żurnali towarzyszyły motta: „Kobieta jest jak kwiat: nie pali własnych papierosów i nie oddaje długów, czego i kwiaty wszak nigdy nie czynią". Albo: „Kobieta na śledziu musi zabłysnąć szczególnie oślepiająco, gdyż jest to jej ostatnia szansa w tym sezonie". A przy zdjęciach rodzimych fasonów odzieżowych, wyjątkowo akurat brzydkich i sierpniowych, widniały podpisy: „A czy znaszty, bracie młody, Twoje ziemie, Twoje mody? Tak lansuje Wincenty Pol reprodukowane poniżej kubraczki w stylu polskim". Humor tej rubryki miał w sobie coś heroicznego. Można było pisać: „Kobieta jest jak gazeta – aby żyć, musi wychodzić", i prezentować jej wydanie poranne oraz wieczorne, ale bliższe realiom zdawały się porady na temat dziergania swetra ze sprutej makatki.

Lata 50. to dekada Lucynki i Paulinki, bohaterek żartobliwych felietonów o kobietach i dla kobiet. Pierwsza z nich była romantyczna (i roztrzepana), druga rozważna, a ich przygody można czytać jako wesołą kronikę trudnej epoki. Przyjaciółki potrafiły na przykład z przekąsem propagować sporty domowe: tenisa z łapką na muchy, polowanie na kurz, akrobatyczne mycie okien. W jednym odcinku Lucynka flirtowała z poważnym młodzieńcem z ZMP, który bez skutku nakłaniał ją do lektury prasy codziennej. W innej historii Paulinka niedługo po śmierci Stalina sprawiała sobie zalotny „półkapelusik".





Pan Karafka, bohater rysunków Jana Kamyczka (Janiny Ipohorskiej), rywalizował o popularność z Augustem Bęc-Walskim, dziełem Karola Ferstera

„Przekrój" z lubością publikował reklamy na przedwojenną modłę



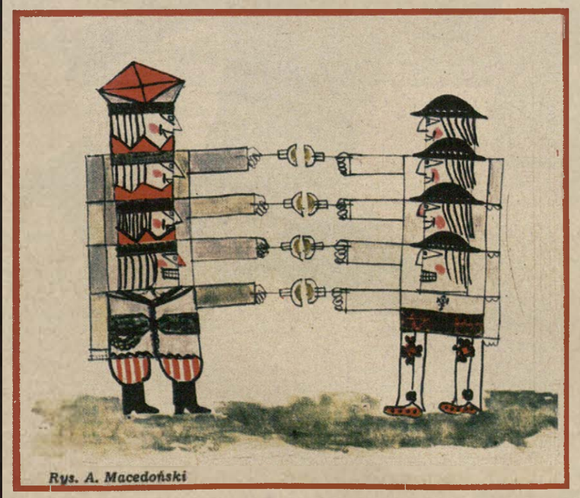
Filutek Kamyczek

W tym samym czasie na ostatniej stronie Zbigniew Lengren zamieszczał historyjki o Profesorze Filutku – zabawne w ten bezpieczny sposób, który Stanisław Barańczak wydrwił później jako „pogodną satyrę", lecz bardzo lubiane przez dzieci. Podobno początkowo Lengren wymyślił Filutka jako notorycznego erotomana, ale musiał ocenzurować jego przygody – właśnie przez wzgląd na małych odbiorców.

Śmielej za to poczynało sobie trzech autorów, którzy zadebiutowali w piśmie w 1956 roku: Sławomir Mrożek, Kazimierz Wiśniak i Adam Macedoński. Erę Mrożka w „Przekroju" porównywano z erą Gałczyńskiego, chociaż zapełniał w numerze zaledwie jedną rubrykę. Kolejno, aż do 1968 roku, były to cykle: „Ze sztambucha idealisty", „Polska w obrazach", „Polak w Paryżu", „Pamiętnik", wreszcie niemal stuodcinkowe „Przez okulary Sławomira Mrożka". Absurd jego rysunków (których kreski nie można było już bardziej uprościć) przeplatanych zwięzłymi opowiastkami niewiele miał wspólnego z mgliście poetyckim nonsensem, do jakiego przyzwyczaił czytelników autor „Zaczarowanej dorożki". To był humor czarny, sarkastyczny, niebywale trzeźwy.

Kiedy Kazimierz Wiśniak, późniejszy scenograf, a wówczas subtelny i oniryczny ilustrator, kreator nieistniejących zwierząt, narysował swą „dziecinną" kreską scenę striptizu kontynuowanego do gołego szkieletu, przywodziło to na myśl skrzyżowanie Stanisława Grochowiaka z Bohdanem Butenką. Talent satyryczny rozwinął w „obrazkowej powieści współczesnej" pod tytułem „Szaszkiewiczowa, czyli Ksylolit w jej życiu" do tekstu Piotra Skrzyneckiego. Był to pierwszy drukowany w „Przekroju" polski komiks, w tym czasie zdecydowanie awangardowy.

Styl Adama Macedońskiego, chyba najbardziej abstrakcyjny, polegał na swoistej satyrze zbiorowej – bohaterem jego rysunków były zawsze grupa, rzędy i szeregi identycznych kwadratowych ludzików. Obrazki opatrzone lakonicznymi podpisami („Fotografia rodzinna", „Wiec", „Wojsko") miały podtekst antytotalitarny, ale też wnosiły powiew nowoczesności.



Krakowiacy i górale w zmultiplikowanej wizji Adama Macedońskiego

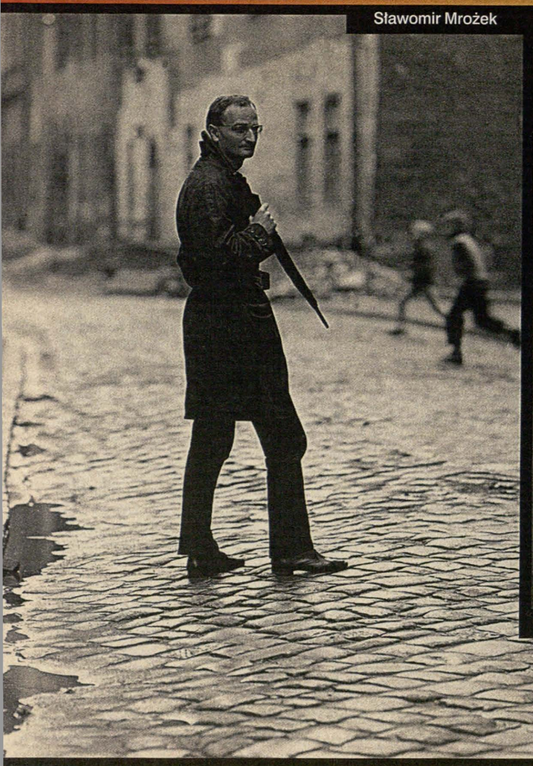
„Przekrój" nigdy nie nudził własnych redaktorów. Bawili się sami, a przy okazji rozbawiali własnych czytelników

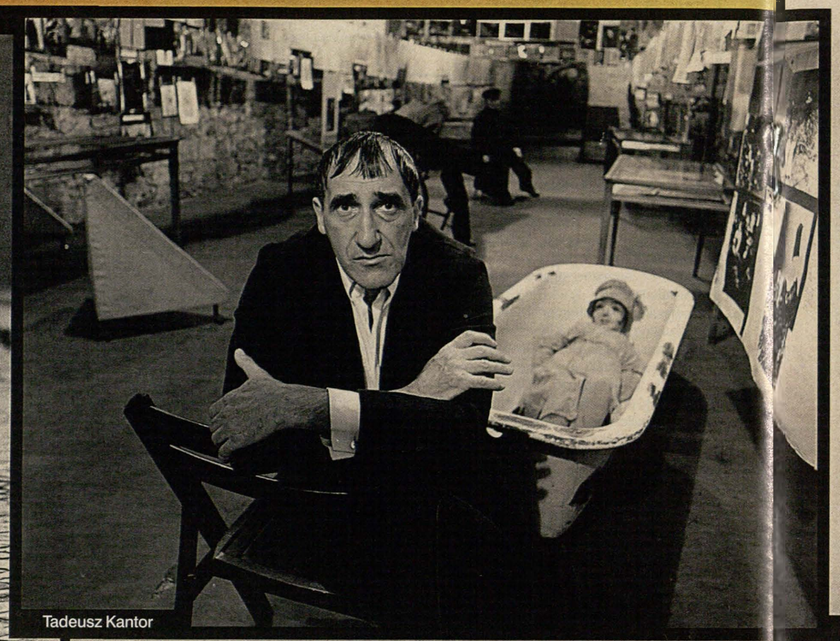
Humor „Przekroju" ostałby się jednak nawet bez znakomitych nazwisk, bo polegał przede wszystkim na umiejętnie ustawionym tonie – czasem radosnym, czasem ironicznym, nigdy do końca serio. Ten ton przenikał numery dosyć jednolicie od porad Kamyczka z rubryki „Demokratyczny savoir-vivre" po slogany reklamowe na okładkach („»Przekrój« warto czytać nawet przy jedzeniu", „Nie licz na żonę, sam kup ten numer", „Dziś wielka okazja – numer parzysty"). Dowcipy „O Wacusiu" czy „Humor z zeszytów szkolnych" to były żelazne pozycje rozrywkowe powtarzane przez Polaków w biurach i kolejkach po rosołowe z kością. Tygodnik sam się określał jako „organ ludzi sympatycznych" i propagował „relax" w walce ze „stressem"; Marian Eile wierzył w zbawienny wpływ rozrywki na nerwy.

Przede wszystkim jednak „Przekrój" nie nudził własnych redaktorów. Bawili się nimi sami, a przy okazji potrafili rozbawić i przygarnąć rzesze czytelników, tworząc dla nich swoisty salon. Kpina pozwalała szerzej otworzyć lufcik na Zachód, pomagała przemycić nieco przedwojennego inteligenckiego sznytu. I tak wychować sobie czytelników, by nie trzeba im było tłumaczyć dowcipów.

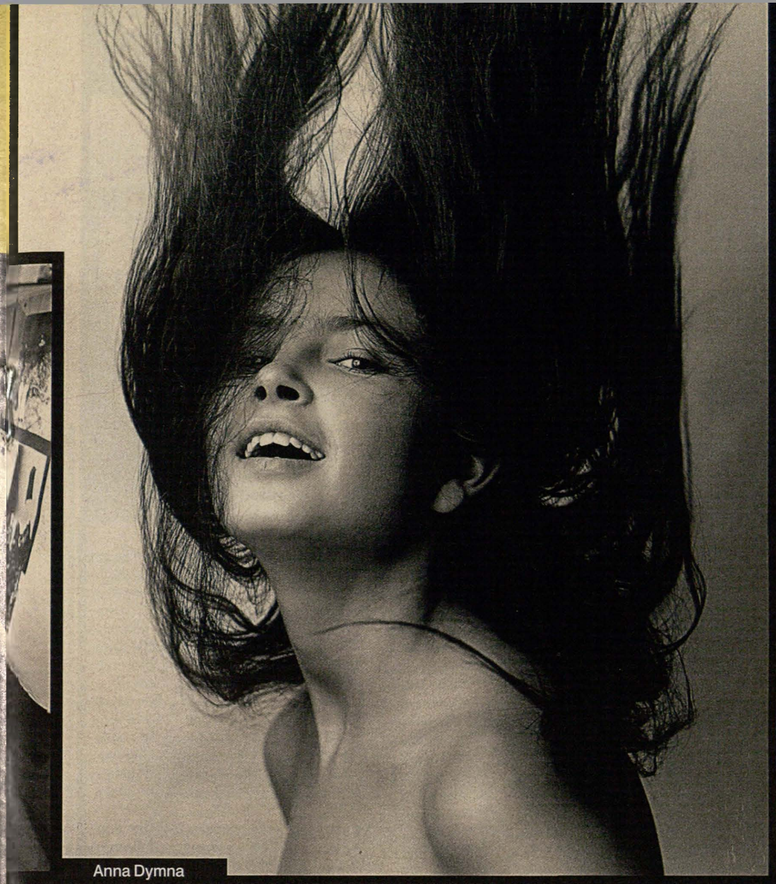
JAK ZAMKNĄĆ KOCIAKA W KADRZE

Sławomir Mrożek





Tadeusz Kantor



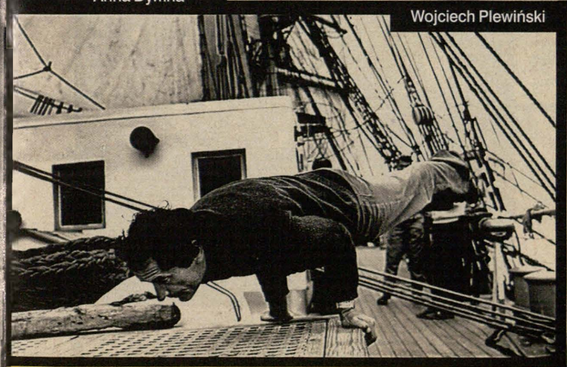
Anna Dymna



Krystyna Zachwatowicz

W szukaniu pomagali asystenci, którzy przeczesywali uczelnie i meldowali, gdy tylko znaleźli potencjalnego kociaka. Plewiński zatrudniony także w teatrze i tam szukał odpowiednich kandydatek. Choć tu były restrykcje, bo redaktor Eile stanowczo zabraniał fotografowania dyplomowanych aktorek. – Mawiał, że one są jak zaraza. Świetnie wyglądają, lepiej pozują, ale potem będą afery, dlaczego robimy zdjęcie jakiejś kozie, która dopiero gra pierwszy rok, a nie innej, z większym dorobkiem. To były problemy natury środowiskowo-towarzyskiej – tłumaczy fotograf. „Przekrój" przecież był nierozerwalnie związany z krakowskim światkiem artystyczno-intelektualnym, choćby z Piwnicą pod Baranami, gdzie śpiewała pierwsza żona Plewińskiego Joanna. Polując w tym otoczeniu, łatwo więc było strzelić sobie w kolano. – Większość ludzi to byli nasi przyjaciele i znajomi. W Krakowie w miejscach takich jak Piwnica inaczej się oddychało, słuchało jazzu. Miasto nie było takie przydeptane jak Warszawa, było tu luźniej – dodaje. Barbara Hoff z kolei wspomina, że w jej

Wojciech Plewiński



pisma jak kwiatek do kożucha, zrosły się z nim. – Ludziom były potrzebne te dziewczyny – uważa fotograf.

– O wszystkim decydował gust redaktora naczelnego Mariana Eilego. Szybko się połapałem, że fotografowanie dziewczyn o innym typie urody nie ma sensu – wspomina Plewiński, który został zatrudniony w „Przekroju" jesienią 1956 roku. Do redakcji przyprowadziła go Hoff. Początkowo pracował na kontrakcie, ale od stycznia kolejnego roku miał już etat. Jak więc wyglądał kociak idealny? Miał niezbyt głęboko osadzone oczy, z „poślizgiem między powieką a łukiem brwiowym", nie za duży nos, aby na usta nie padał cień. Sylwetka? Spadziste ramiona, długa szyja, figura szczupła (ale nie tak ekstremalnie jak u Twiggy i jej następczyń). Lepiej, żeby dziewczyna nie była brunetką, bo czerni nie dało się retuszować – zdjęcia były czarno-białe, kolor nanosili dopiero graficy. – Papier, na którym drukowano pismo, był straszny, czasem na zdjęciu widać było jakieś koszmarne cienie. Nauczyłem się, że muszę mieć miękkie, bardzo rozproszone światło, wtedy była mniejsza szansa na szaleństwa – wspomina fotograf. – W retuszerni była dziewczyna, która robiła bardzo zręcznie wszystkie ulepszenia, czasem nawet potrafiła poprawić brwi, rzęsy czy talię. Oczywiście bez porozumienia z autorem – dodaje.

Marzeniem redaktora Eilego była naturalna dziewczyna, „bufetowa", jak mawiał, czyli – jak mówimy dziś – „dziewczyna z sąsiedztwa". Kociaków szukało się więc wszędzie, na przykład na torze wyścigowym. To tam Plewiński znalazł pierwszego. Siedziała rząd niżej w towarzystwie swej mamy.



Beata Tyszkiewicz



Wiesław Dymny

Okładkowa uroda

Wojciech Plewiński fotografował wszystko, ale najbardziej zapamiętaliśmy jego zdjęcia dziewcząt i artystów

Studio fotograficzne. Modelka w mocno wydekoltowanej sukience stoi na czarnym tle. Fotograf zbliża się do niej ze zrobionymi z piór wachlarzami. Zaraz zaczną się zdjęcia. W powietrzu czuć zmysłowość. Dziewczyna przybiera różne pozy, coraz bardziej wyzywające. Są lata 60., wolność, radość i minispódniczki. Jeśli pomyśleliście, że właśnie tak powstawały okładki dawnego „Przekroju", muszę was rozczarować. Pobudzająca wyobraźnię dekadencka scena pochodzi oczywiście z „Powiększenia" Michelangela Antonioniego nakręconego w 1966 roku. Czas się zgadza, entourage mniej, nie oznacza to jednak, że polowanie na kociaki – jak w żargonie określano robienie zdjęć ładnym dziewczynom – było zajęciem nudnym. Przeciwnie. – Wymagało ogromnego wysiłku realizacyjnego – wspomina Wojciech Plewiński, fotograf. Organizacja sesji, gdy nie było atelier, stylistów, ubrań, wizażysty, a często i telefonu, przez który można by umówić się z dziewczyną w konkretnym czasie i miejscu, była wyzwaniem.

Zdjęcia powstawały zresztą w miejscach przedziwnych, na przykład w sztucznej kopalni, gdy trzeba było zrobić kociaka na Barbórkę. Barbara Hoff, która często pracowała z Plewińskim, głównie przy tworzeniu swojej rubryki o modzie, zapytana o najdziwniejszą lokalizację planu zdjęciowego odpowiada: – Zawsze wymyślaliśmy coś skomplikowanego, żeby maksymalnie utrudnić sobie życie. Plewiński: – Co było najzabawniejsze, niewiele na tym zarabialiśmy, grosze, dziewczyna dostawała tylko zdjęcia w prezencie i to, że była na okładce.

BRUNETKOM DZIĘKUJEMY!

Dziś pewnie nikt nie podjąłby się takiej pracy na wariackich papierach, ale wtedy, pod koniec lat 50. i przez kolejne dekady ubarwiała ona codzienność, także czytelnikom. I choć kociaki pasowały do intelektualno-artystycznego

Dziewczyny trzeba było zrobić od początku

niekociakowych już sesjach mody zatrudniane były głównie dziewczyny, które już znała. Z nimi po prostu łatwiej było pracować.

Na zdjęciach robionych dla pisma wprawdzie znalazły się krakowskie aktorki, jak Anna Dymna (wtedy jeszcze Dziadyk), Anna Seniuk czy Grażyna Barszczewska, lecz zanim stały się sławne. „Pewnego letniego dnia szłam ulicą Świętego Tomasza w ślicznej krótkiej sukieneczce w kwiatuszki; włosy miałam spięte w koński ogonek; wyglądałam chyba na czternaście lat. Nagle obok mnie zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego pan Plewiński. »Dziewczynko – zagadnął delikatnie, nie pamiętając, że grałam w »Weselu« – robię zdjęcia do »Przekroju«. Wiesz, co to jest »Przekrój«, prawda? Nie bój się... Zobacz, tam w samochodzie siedzi moja żona. Pojedziemy do twojej mamusi; jeśli się zgodzi, zrobię ci zdjęcie na okładkę mojej gazety" – wspomina Dymna w książce „Warto mimo wszystko".

Kociakiem była też Beata Tyszkiewicz, wtedy uczennica liceum prowadzonego przez siostry zakonne. Dla przyszłej aktorki kariera w „Przekroju" skończyła się nieprzyjemnie, bo gdy zakonnice zobaczyły zdjęcie swojej podopiecznej, nie chciały jej dopuścić do matury. Zdarzało się też, że do redakcji „Przekroju" przychodzili wściekli narzeczeni lub zapłakane modelki, którym właśnie zrobiono awanturę z powodu zdjęć. – Z czasem zacząłem pytać, czy jest mąż, chłopak i czy on zgodzi się na zdjęcie. Dziewczyny zgadzały się w emocjach, a potem miały kłopoty – wspomina Plewiński. Były i odmowy. Plewiński: – Nie zapomnę nieco starszej niż typowy kociak pani, za którą stałem w kolejce w sklepie. Gdy poprosiłem o zdjęcie, spojrzała na mnie tak, że mnie ciarki przeszły. „Może bym była chętna, ale zostawmy tę sprawę, nie mogę" – powiedziała i sobie poszła. Czasem dziewczyny po prostu nie udało się dogonić, gdy jej twarz mignęła w tramwaju lub autobusie. Czasem to fotograf miał nieprzyjemności, jak wtedy, gdy przedstawiając się młodej damie, usłyszał: „Ale mnie już fotografował jeden Plewiński". – W końcu stwierdziłem, że to śmieszne, ona rozpromieniła się i zgodziła na zdjęcia – opowiada. Być może to była forma podrywu, kto wie, ile takich dziewczyn sfotografował lub uwiódł rzekomy Plewiński? Tego prawdziwego romanse z jego modelkami nie interesowały. Choć był wysportowany i przystojny jak aktor, nie przekraczał granicy tego, co wypada, ani nie nadużywał swojego stanowiska. – Romans rozprasza, a ja traktowałem pracę serio.

SFERA ŁADNEGO ŚWIATA

Jednak zgoda wszystkich zainteresowanych była dopiero pierwszą przeszkodą, którą trzeba było pokonać, aby zamknąć w kadrze kociaka.

– Dziś trudno pani sobie wyobrazić, ale wtedy nic nie było i te dziewczyny wyglądały po prostu... no... trzeba dziewczynę było stworzyć od początku – mówi fotograf. Najbardziej „naturalne", czyli słabo ubrane, źle lub w ogóle nieumalowane, były licealistki



Włodzimierz Korcz, Maryla Rodowicz i Eryk Lipiński

i studentki dwóch pierwszych lat. Od trzeciego roku zaczynały lepiej wyglądać. Ponieważ trudno było dostać jakiekolwiek modne ubranie, dziewczyny niejednokrotnie same sobie szyły, farbowały i obcinały tenisówki, robiąc z nich baleriny. Farba często puszczała, plamiąc skórę na czarno. Mimo braków zaopatrzeniowych starały się wyglądać stylowo. – Świat nie był tak odcięty, abyśmy nie wiedzieli, jak to wszystko wygląda. Niby nic nie było, także książek, ale jakoś wszyscy czytaliśmy te właściwe – wspomina Hoff, która czasem miała w redakcji i u znajomych na przykład dostęp do zagranicznych żurnali z modą. Zresztą dla redaktora Eilego punktem odniesienia zawsze była Europa, nie Polska. – Miał ambicje, żeby „Przekrój" był jakby paryskim pismem. Kraków mu nie był do niczego potrzebny – precyzuje Plewiński. Dziewczyny więc były lokalne, ale na tyle, na ile było to możliwe, zrobione według najnowszych trendów, które znały Hoff i legendarna Janina Ipohorska. To od nich Plewiński uczył się podstaw wizażu i stylizacji. Niektóre dziewczyny były kilkakrotnie przeczesywane i przebierane, aby dało się zrobić z nich dwie–trzy okładki. Wszystkich było pół tysiąca. Gdy zwracam uwagę na kontrast między ambitnym i elitarnym profilem „Przekroju" a tanim chwytem przyciągania uwagi ładną buzią, Plewiński przyznaje, że była to sprzeczność. Hoff przeciwnie: – Dziewczyny były ładne, a ładny świat należy do sfery kultury i sztuki.

Czy w tamtych czasach mówiło się o feminizmie? – Nie, to jeszcze nie kiełkowało w tamtym kierunku, nikt nie widział potrzeby rozkręcania takiej konfrontacyjnej pozycji. W tak niewielkim redakcyjnym gronie nie było napięć. Kobieta była wtedy od 8 Marca, od goździka, styl wytwarzał Komitet Centralny, dyktował, co ma być jakie – objaśnia fotograf. Dodaje, że tak jak „Tygodnik Powszechny" miał opinię pisma dla kucharek, tak „Przekrój" – dla źle prowadzących się kucharek, choć czytali go wszyscy – od intelektualistów po robotników. Bogate wnętrze było równie atrakcyjne jak ładna buzia. Po zwolnieniu w 1969 roku Mariana Eilego kociaki coraz rzadziej pojawiały się na okładkach. Nowy naczelny Mieczysław Kieta od dziewczyn wolał wydarzenia historyczne. Plewiński jednak pracował w redakcji do 1990 roku. Gdy pytam, czy dziś jego zdjęcia ślicznotek się bronią, długo się zastanawia. – Nie jest to wyczyn artystyczny, tylko fotografia użytkowa, więc sam nie wiem. Mam wrażenie, że jako dokument się bronią, bo przypominają dziewczyny (i styl fotografowania) z tamtych czasów.



Piwnica pod Baranami

A co sądzi o dzisiejszych kociakach łaszących się z każdej półki w kiosku czy w empiku? – Wtedy wszystko było bardziej siermiężne, i zdjęcia, i dziewczyny, dziś natomiast i jedno, i drugie jest do siebie coraz bardziej podobne. Teraz, gdy modelka przychodzi na sesję, wszystko o niej wiadomo: jak wypada przed obiektywem, czy się rozbiera. Nie ma elementu zaskoczenia, polowania.

– Dziewczyny sprzed 30 lat wydają nam się banalne. Dziś na ulicach jest dużo bardzo ładnych Polek, w latach 50., 60. nie było ich tyle. Nie wiem, na czym to polega, czy teraz jest wysyp, czy one bardziej o siebie dbają, wyrabiają sobie talię, ćwicząc, stosując diety. Ale prawdziwą piękność nadal trudno znaleźć – stwierdza Hoff.

OLA SALWA



Anna Seniuk

FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI/FORUM (9.), JAN MOREK/FORUM

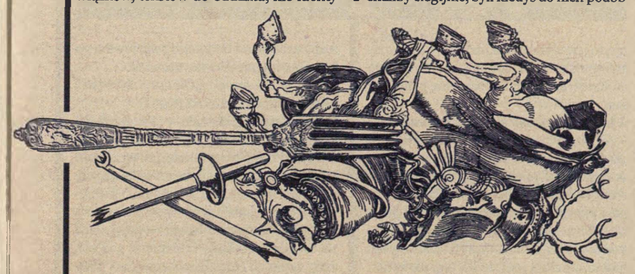


Marek Bieńczyk i Tadeusz Pióro wspominają jubileuszową ucztę sprzed lat – to jest z roku 2010

TU NIE MA KECZUPU

Tak, oni też kiedyś będą mieli 65 lat. Spojrzą na siebie, uśmiechną się z zadumą. Może nawet zaproszą ostatnich przyjaciół na kolację do swego pied-à-terre w Belwederze albo w Ritzu przy placu Szembeka każą sobie zaserwować ulubione dania. W kieliszkach dostrzegą odbicia własnych twarzy wmieszane w purpurę burgunda. Już tyle czasu minęło, lecz żniwa przecież przed nimi.

Od dawna chcieli być wolni. Sądzili, że umieliby nimi być. Potrafiliby iść nonszalancko przed siebie w Krakowie, w Warszawie, rzucać okiem na witryny tak, by w ich wzroku mieszały się czułość i wzgarda. Nie mówiliby już jako pierwsi „dzień dobry", a na pozdrowienia odpowiadaliby z opóźnieniem, nieznacznie pochylając głowę. Nie biegaliby więcej na proszone kolacje do nowo otwieranych restauracji, gdzie nawet desery miały metalowy smak designerskich mebli, a buty menedżerów przypominały czółna Ojibwejów. Nie mieliby zajęć, obowiązków, tekstów do oddania, nie identyfikowaliby się z nikim i z niczym. Niczego by już nie czytali od deski do deski.



Wpadaliby do skrytych w małych uliczkach knajp, zajmowaliby stolik przy toalecie, bawiliby się hardością na obliczach młodych kobiet jawnie przechodzących obok. Znaliby najlepsze adresy, gdzie podawałoby się zakazane przez Brukselę w roku 2015 grasicę i płucka albo zakazane w 2017 roku sery z surowego mleka. Przyjaźniliby się z właścicielem i bez skrępowania paliliby skręty, które zwisałyby im z dolnej wargi i wiotczały w upale jak piersi starych Murzynek.

Spacerowaliby krakowskimi Plantami, żwirowanymi alejkami warszawskich Łazienek. Przyglądaliby się wiewiórkom zakopującym orzeszki pod liśćmi, wiedzieliby już, że niepotrzebnie. Wieczorem czekałaby ich kolacja, dorodne kanie, których zbierania zakazała Bruksela w 2018 roku, wypełniałyby mińsnieńskie talerze swoimi tarczami w kolorze écru. Lubiliby wymawiać to słowo, sztuczne zęby wyostrzałyby akcent.

Rozmawialiby o chwili obecnej. Czuliby, że wreszcie ich pragnienia pokrywały się z możliwościami. Nazywaliby ową równowagę szczęściem i potrafiliby dzięki mądrości, kulturze, psychicznej dezynwolturze ustrzec to szczęście, odkrywać je w każdym kąciku tej nowej egzystencji. Owszem, niekiedy by wspominali. Lecz to tylko, co jeszcze miałoby mocny, prawdziwy smak, niestrawiony przez upływ czasu. O tym zatem, jak za całkiem nieźły grosz pisali niegdyś dla „Przekroju" o winie i strawie, o tym, jak w dzieciństwie wystawali długimi godzinami przed kioskiem, by dostać „Przekrój" dla rodziny, i niekiedy musieli, niestety, wracać do domu na tarczy, czyli z „Polityką". O tym, jak przez całe młode życie wierzyli, że Kamyczek jest mężczyzną. O kulinarnych felietonach Tyrmanda, o których nabożnie opowiadali im jeszcze rodzice. O „Jednym daniu" Jana Kalkowskiego, lekturze wówczas równie dla nich ważnej jak Jules Verne i Edward Niziurski, a później Georges Perec. O jego, Jana Kalkowskiego, słynnym hymnie do mortadeli. Wreszcie o zdjęciach Jamesa Deana i młodego Brando zamieszczanych na ostatnich stronach, tak, wzdychaliby elegijnie, byli kiedyś do nich podobni jak dwie krople wody, lecz później drogi się rozeszły, strumienie się rozdzieliły. Wiedzieliby, że są tu po to, by o tym wszystkim świadczyć.

Jednak myślami wracaliby przede wszystkim do ostatniego przyjęcia, jakie wydali w kwietniu 2010 roku, na 65. jubileusz ich – dlaczego wciąż mówili „ich"? – pisma. Rozesłali zaproszenia do redakcji, przyszli wszyscy, płace w tamtych czasach ostro poszły w dół. W pierwszym odruchu – święto to święto – kupili ostrygi, tradycyjną uwerturę każdej ważnej dla nich uczty. Jednak zrezygnowali z ich podania, zbyt dużo było w piśmie felietonistów, zbyt mało, obawiali się, smakoszy. Stały się tylko ozdobą ich śniadania, kiedy w dniu przyjęcia zrobili sobie energetyczne *hangtown fry*, czyli jajecznicę z boczkiem i ostrygami, danie wymyślone podczas gorączki złota w Kalifornii. Uginający się pod ciężarem kruszcu poszukiwacz wchodził do gospody i żądał najdroższego dania. Lecz dania były tylko dwa, i to w tej samej cenie: jajecznica z boczkiem oraz ostrygi. Z ich połączenia powstał ów synonim luksusu, a raczej – „luksusu" właściwego czasom gorączkowym. Tak, jedząc śniadanie, starali się nigdy nie zapominać o słowie „luksus".

Na zakąskę myśleli zatem podać coś bardziej swojskiego, zaczepny, treściwy rosół à la Najsztub bądź epicką grochówkę à la Kutz lub też nalewkę dziadowską à la Masłowska, lecz rozbieżności były między nimi zbyt duże i zgodzili się, że gotować zupy nie warto. Lepsze niż zupa miały być tartinki. Oczywiście z kawiorem. Choć w tamtym czasie Bruksela nie zakazała jeszcze kawioru, zrobiły to Moskwa albo Baku, więc zaczęli deliberować nad stosownym substytutem, aż wpadli na metkę. Przypomniały im się organizowane ad hoc kolacyjki u sekretarza redakcji Marcina Barana, na których metka, ulubiona wędlina poetów polskich urodzonych po 1960 roku, zawsze była w centrum uwagi. Tartinki z metką miały być ironicznym echem kanapek z tatarem w kawiarni Czytelnika, do której można było zjechać windą prosto z redakcji na regenerujący posiłek. Poczuli entuzjazm właściwy wynalazcom, lecz tylko przez chwilę, po której błysk w ich oczach zniknął nagle jak kolejny tygodnik z rynku. Nie musieli nawet nic mówić. Obaj myśleli to samo – szampan do tartinek z metką? Już lepiej się obwiesić. A przecież zacząć trzeba od szampana i szampanem zakończyć, skoro są tym, kim są, i skoro wydawali kolację dla tego pisma.

Zaczęli zatem od szampana, białej Veuve Clicquot, którą Puszkin nazywał „klikofskoje". Do szampana podali przystawkę jubileuszową wedle słynnej niegdyś średniowiecznej receptury. *Patina des roses*: 65 bardzo świeżych róż, 3 łyżeczki *garum*, czyli pikantej pasty znanej z kuchni starorzymskiej powstałej z marynowanych wnętrzności ryb, 6 móżdżków jagnięcych, 15 gramów pieprzu, 10 świeżych jajek, 4 kieliszki szampana, 4 łyżki oliwy. Płatki róż rozgniotli z pastą *garum* w moździerzu. Móżdżki zblanszowali i usunąwszy błony, zmiksowali je z pieprzem i zmieszali z różami. Wlali szampana, dodali jajka i oliwę. Wysmarowali oliwą kamienną formę, wlali całość, piekli przez 20 minut w mocno rozgrzanym piekarniku.

Po przystawce zaserwowali gościom lekką sałatkę półżałobną (zwaną tak ze względu na popielisty kolor), gdyż w każdym jubileuszu jest nieco smętku i nieco radości. *Salade demi-deuil*. Zielona sałata. 60 dekagramów gotowanych ziemniaków, 50 mililitrów śmietanki, 10 dekagramów zestrugania trufli, łyżeczka musztardy, sól, pieprz.

Do sałatki podali mocno wytrawne, mineralne zimne Chablis, które miało oczyścić usta przed wydarzeniem tego wieczoru. Nie ukrywali, że danie główne przez długi czas spędzało im sen z powiek. Spod jakiego znaku powinno pochodzić, do czego czynić aluzję? Nie po raz pierwszy w życiu postawili na Aleksandra Dumasa, kucharza i pisarza żonglującego talerzami i słowami z równą maestrią jak Jan Kalkowski. Zainspirowała ich jedna z notatek ojca „Trzech muszkieterów" pochodząca z jego kucharskiego dykcjonarza; brzmiała ona tak: „»Żyję ponieważ jem« zwykł mawiać król Ludwik XVI. (...) Był on tak bardzo znany ze swego obżarstwa, że Camille Desmoulins posunął się do ohydnej kalumnii, oznajmiając, iż król został aresztowany, gdyż nie chciał przejechać przez Sainte-Menehould, nie skosztowawszy wpierwej nóżek wieprzowych, z których miasto słynie. A przecież wszyscy wiedzą, że Ludwika XVI aresztowano nie w Sainte-Menehould, lecz w Varennes i że nóżki wieprzowe z tym faktem nie mają absolutnie nic wspólnego". A zatem *pieds de porc Sainte-Menehould*. 6 wieprzowych nóg, pół butelki wina białego, 6 cebul, *bouquet garni*, szczypiorek, goździki, 10 dekagramów masła, bułka tarta, sól, pieprz. Każdą nogę obwiązali mocno sznurkiem i wrzucili do wina zagotowanego z warzywami i przyprawami. Dopełnili wodą i gotowali na wolnym ogniu przez cały dzień, słuchając na zmianę Połomskiego i Dylana. Po ostygnięciu odwiązali sznurki i odstawili nogi na noc w chłodne miejsce. Nazajutrz każdą nogę zanurzyli w roztopionym maśle. Popieprzyli, obtoczyli bułką tartą, odgrzali na grillu. Do nóżek wybrali najdelikatniejsze wino z beaujolais: Saint-Amour. Nóżki i Święta Miłość – czy coś lepiej mogło wyrażać uczucia dla pisma, któremu dedykowano ucztę?

Deser nasunął się im naturalnie; miał symbolizować nieskończoną opowieść, która przez kolejne długie lata tydzień w tydzień będzie odwodziła słuchaczy od innych gazet. *Melon de Schéhérazade*. 4 melony, 4 plasterki ananasa, 4 brzoskwinie, 2 banany, 20 dekagramów truskawek, 20 dekagramów poziomek, 10 dekagramów cukru, pół butelki szampana, kieliszek kremu miętowego, kieliszek maraskino, kieliszek kirschu. Odcięli melony na górze, wyłyżeczkowali miąższ, który zmieszali z owocami pokrojonymi w kosteczkę. Dodali szampana i pozostałe alkohole. Posypali cukrem. Wypełnili owocową masą melony i wstawili na 24 godziny do lodówki.

Skończyli, jak zaczęli, melony Szeherezady podali z różowym klikofskoje. Wznieśli toast za 65-lecie, czując, że wznoszą zarazem przyszły toast za siebie samych.

Tak, lubiliby za kilkanaście lat wspominać tamten wieczór. Wracaliby z nowego filmu Woody'ego Allena, Scarlett Johansson podobałaby im się nawet jako babcia, śmieliby się głośno i barwy zmierzchu wkładałyby ich chichot w swe różowe pończoszki. Już nigdy do tamtego menu by nie powrócili, pozostałoby jednorazowym wielkim wydarzeniem jak pierwsze lądowanie na Księżycu. Przypominaliby sobie wciąż jednego młodego redaktora, który poprosił, ordynus, o kieczup do wieprzowych nóżek. Chwycili go wówczas mocno za ręce, przenieśli w powietrzu parę metrów, postawili przed stosem złożonym z paru tysięcy wydań i powiedzieli: – Spójrz, tu jest „Przekrój". Tu nie ma keczupu!

MAREK BIEŃCZYK
TADEUSZ PIÓRO

ILUSTRACJE DIMITRIJ SZEWONOW-KSMIELOW

OLGA WOŹNIAK

Kika fika

Muza Piwnicy pod Baranami, dobry duch „Przekroju". Irena Kika Szaszkiewiczowa opowiada o czasach, kiedy Piotr Skrzynecki sypiał u niej na podłodze, a ona sama latała na Księżyc

Trudno dokładnie określić, który moment w jej życiu zdecydował, że Kika Szaszkiewiczowa zyskała nieśmiertelną sławę. Dość powiedzieć, że bez niej zarówno „Przekrój", jak i krakowska Piwnica pod Baranami to nie byłyby te same miejsca. Po dniu spędzonym z nią miałam chaos w głowie i mocne postanowienie, że chcę się zestarzeć tak jak ona. Z humorem, niezwykłą przytomnością umysłu i ciętym językiem ponad 90-letnia kobieta zabrała mnie w podróż po świecie, który już dawno przeminął. Wpadłam w wir opowieści. A że łatwo w nim zginąć, w istotnych momentach wtykałam w dno narracyjnej rzeki widoczną z daleka flagę. Postaram się teraz wrócić po własnych śladach. Zrekonstruować momenty, które uczyniły z pani Kiki duszę artystycznego życia Krakowa i okolic (sięgających daleko poza granice kraju). Od czego się zaczęło?

Przystanek pierwszy: Ksylolit

● Szaszkiewiczowa to była przez ładnych parę lat „przekrojowa" postać, przez której okulary mogli patrzeć czytelnicy. Sama pisała rzadko i mało, najciekawszy jej tekst, opis odsiadki w areszcie za niezapłaconą grzywnę, zatrzymała cenzura. To „Przekrój" spopularyzował ją jako bohaterkę komiksu Skrzyneckiego i Wiśniaka „Szaszkiewiczowa, czyli Ksylolit w jej życiu".
(Andrzej Klominek „Okulary Mrożka", „Rzeczpospolita" z 25.03.1995)

Kto to taki ten Ksylolit?

– Kazio Wiśniak, malarz. Długo żeśmy wymyślali imię dla ukochanego Szaszkiewiczowej. I raz w szatni w pracy usłyszałam, jak jeden pan do drugiego mówi: „No, ale kiedy mi tego ksylolitu dostarczysz?". Pomyślałam: „Ksylolit – nie wiem, co to jest, ale świetna nazwa na tego kochanka". Więc Wiśniak namalował siebie jako Ksylolita.

W komiksie lata pani balonem, gania niedźwiedzia w Tatrach – na ile to były prawdziwe historie?

– Przeważnie wszystko było zmyślone.

A Ksylolit? W gazecie to pani kochanek, a w życiu?

– Przyjaciel. Podobnie jak Piotr Skrzynecki, który pisał fabułę tej opowieści.

● Szaszkiewiczowa uwielbiała opowiadać o tym, co dziwnego jej się przytrafiło, a gdy prawda była mało efektowna, to ona ją odpowiednio koloryzowała. I któregoś dnia przybiegł do mnie Piotr z pomysłem, by o przygodach Szaszkiewiczowej zrobić komiks. Namawiał mnie, by od razu iść z tym do Eilego, ale ja się trochę wstydziłem, więc zaproponowałem, żebyśmy najpierw zrobili jeden lub dwa odcinki próbne. Przygody Szaszkiewiczowej wymyślaliśmy w kawiarniach, a potem ja robiłem rysunki. Kiedy pokazałem komiks Eilemu, powiedział, że nie tylko go opublikuje, lecz także na początek zapełni nim aż dwie strony pisma. Pode mną ugięły się nogi, sądziłem, że może weźmie cztery obrazki i za tydzień opublikuje następne cztery. A tu taka niespodzianka! Pobiegłem zaraz do Piotra i wszystko mu opowiedziałem. On nie dowierzał. Kiedy ukazały się pierwsze odcinki komiksu, Piotr był bardzo podekscytowany, biegał z „Przekrojem" wszędzie, tym bardziej że on sobie wymyślił takie ukryte postacie pod lekko zmienionymi nazwiskami.
(Rozmowa z Kazimierzem Wiśniakiem opublikowana w „Alma Mater", miesięczniku Uniwersytetu Jagiellońskiego)

Poczuła się pani sławna? W końcu pisał o pani ogólnopolski tygodnik.

– Pracowałam w kombinacie w Nowej Hucie jako pielęgniarka. Z początku się jakoś nie spostrzegli, ale potem wezwał mnie główny dyrektor i mówi: „Tu takie rzeczy, a tu pielęgniarka. My wiemy, że pani ma ciężkie warunki, a tu piszą, że pani ciągle przyjęcia urządza, i jak to wygląda?". Więc ja mówię: „Panie dyrektorze, to jest wymyślona historia, tyle że moje nazwisko. A jak napiszą, że lecę rakietą na Księżyc, to pan będzie mnie pytał, czy mam urlop?".

A jak przyjmowali to pani znajomi?

– Z początku to był straszny skandal: „Coś podobnego, tam są ludzie prawdziwi umieszczeni!", a potem, jak to zaczęło być coraz bardziej modne i cała Polska się tym pasjonowała, to wszyscy znowu byli dumni. Połowa ludzi się wtedy na nas w Krakowie poobrażała. Niektórzy o to, żeśmy ich tam umieścili, a inni, że ich tam nie było.

● Nawiasem mówiąc, lansowanie przez „Przekrój" Szaszkiewiczowej ogromnie nie spodobało się rodzinie, której nazwisko po mężu nosiła. Z wielką uciechą wydrukowaliśmy dostarczone nam uroczyście, a podpisane przez iluśtam przedstawicieli rodziny oświadczenie, w którym ów klan grzecznie, ale kategorycznie dystansował się od bohaterki zwariowanego komiksu noszącej zacne nazwisko.
(Andrzej Klominek „Okulary Mrożka", „Rzeczpospolita" z 25.03.1995)

Czy pani sama pisywała w „Przekroju"?

– Rzadko. Raz żeśmy się spotkali z Marianem Eilem w Nowej Hucie, jak wracałam z pracy. Zgadaliśmy się, że na wakacje jadę z dziećmi autostopem. Nie miałam pieniędzy, a dzieci chciałam wywieźć nad morze. „To przyślę do pani fotografa – powiedział na to Eile – zrobimy reklamę w gazecie, żeby zabierali Szaszkiewiczową, bo przecież pani – popatrzył na mnie, ja byłam zawsze bardzo gruba – bo przecież pani nie może liczyć na osobowy samochód".

I przysłał...

– ...Wojciecha Plewińskiego, tego, co fotografował kociaki na okładki „Przekroju". Zrobił nam zdjęcia, a potem była taka notatka w „Przekroju" z apelem: „Zabierajcie Szaszkiewiczową". Po tej podróży napisałam Eilemu reportaż o autostopie. Taki poradnik: jak się jedzie, gdzie się mieszka, gdzie się nocuje, jak się łapie auta. I między innymi o kierowcach napisałam, że są jak ryby – biorą albo nie biorą. I to powiedzenie zrobiło się potem w Polsce strasznie popularne.

Często bywała pani wtedy w „Przekroju"?

– W redakcji? Niezbyt. Ale w mieście nietrudno się było spotkać. Stefan Otwinowski powiedział kiedyś, że Kraków jest bardzo dobrze towarzysko zaprojektowany. Była wtedy taka dosyć popularna kawiarnia Lili w bramie na Grodzkiej. Maleńka, na sześć stolików. Mieli znakomitą kawę. I w różnych godzinach schodziły się tam inne grupy znajomych. Przekrojowcy też tam bywali. Ale można tam było spotkać też Ewę i Stefana Otwinowskich. I Dygaty, i Brandysy tam przychodzili.



Kika występowała rzadko. Często na wyraźne żądanie publiczności

FOT. KONRAD POLLESCH, WOJCIECH PLEWIŃSKI, BOGDAN KRĘŻEL



Historia miłości do Ksylolita rozsławiła nazwisko Kiki

SZASZKIEWICZOWA
czyli »Ksylolit w Jej życiu«
OBRAZKOWA POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA
AUTORZY: PIOTR SKRZYNECKI i KAZIMIERZ WIŚNIAK

Odcinek dwunasty
TRUDNO SERCOM SIĘ ODNALEŹĆ

STRESZCZENIE POCZĄTKU POWIEŚCI:
Ksylolit bezskutecznie poszukiwał Szaszkiewiczowej nad morzem, i w puszczach, usiłowywał dwukrotnie popełnić z rozpaczy samobójstwo. W końcu instynkt życia zwyciężył, wraca do miasta, ale i tu, niestety, nie znajduje Szaszkiewiczowej.



Przystanek drugi: Piwnica

Irena Szaszkiewiczowa – tęga kobieta w okularach – któregoś dnia po prostu pojawiła się w Piwnicy. Była dużo starsza od nas, ale zawsze tryskała energią. Świetnie znała Eilego, Klominka z „Przekroju", Drobnera. Wprowadzała beztroską wesołość, bez niej wieczór był smutny. Spała może dwie godziny, bo już przed szóstą rano musiała wstać, żeby tramwajem dojechać z Krakowa na miejsce pracy w kombinacie Nowa Huta. Z Szaszkiewiczową – „Kiką" – weszło do Piwnicy mnóstwo innych osób, bo ją znało chyba pół Krakowa.
(Rozmowa z Kazimierzem Wiśniakiem opublikowana w „Alma Mater", miesięczniku Uniwersytetu Jagiellońskiego)

Jak pani poznała Piotra Skrzyneckiego?

– W Krakowie zawsze wszyscy się znali, ale do Piwnicy wziął mnie Rysiek Krzyżanowski, aktor z Teatru Starego, i jakoś tak żeśmy się poznali. A potem przyszedł Dernałowicz – opiekun różnych takich, co nie mieli pracy. Miał pracownię i dawał ludziom zarobić za szycie papuciów. I mówi: „Słuchaj, jest tu taki chłopak, który śpi na dworcu, a u ciebie dzieci w domu dziecka, może on by z tobą zamieszkał? Zresztą cały dzień go nie ma, tylko na noc by przychodził". A ja na to: „Proszę bardzo". No i przyszedł Piotr. I tak się zaczęło. I z Piotrem ściągnęli wszyscy inni.

Więcej osób u pani mieszkało?

– Och, było ich trochę. Ireneusz Iredyński miał lada chwila dostać mieszkanie w Domu Literatów. A u mnie było 27 metrów kwadratowych i Skrzynecki. Ale mówię: „Jeszcze na podłodze jest miejsce, tylko ostrzegam cię, że u nas mieszka szczur, który w dzień nocuje w tapczanie, a wieczorem sobie wychodzi". Trochę żeśmy się bali tego szczura, ale ostrożnie koło niego chodziliśmy. Iredyński chyba myślał, że to kawał, i powiedział, że dobrze, i zamieszkał z nami. W dzień spał albo nie wiem, co tam robił, a w nocy czytał albo pisał. No i pewnego razu spod mojego tapczanu wyszedł ten szczur. Iredyński zaczął rzucać w niego butami, książkami. Strasznie się oburzył. „No, co ci szkodzi biedny szczur?" – pytam. A on na to, że nie będzie z nami mieszkał. Długo pusto nie było. Bo i Wiesław Dymny u mnie pomieszkiwał, i Barbara Nawratowicz, i parę innych osób.

Miała pani czas chodzić do Piwnicy?

– Ta atmosfera mnie wciągała. Pozwalała zapomnieć o biedzie, dzieciach w domu dziecka, pracy. Czasem byłam ledwo żywa, ale szczęśliwa.

Czy pani tam występowała?

– Kiedy Piwnicę zapraszano na występy w kraju i kiedy komiks w „Przekroju" stał się popularny, to czasem chcieli, żeby i Szaszkiewiczowa przyjechała. I ja się zgodziłam, ale miałam tylko wyjść na scenę i się ukłonić. A tu Skrzynecki zapowiada, że Szaszkiewiczowa teraz zaśpiewa. A trzeba pani wiedzieć, że śpiewać to ja naprawdę nie umiem. Ale co było zrobić? Zaśpiewałam szlagier Josephine Baker. Nagrodzono mnie wielką owacją. A potem Piotr o tym rozpowiadał i na jakiś czas włączyli to do programu, ale ja nigdy artystką nie byłam. Zresztą w występach przeszkadzała mi później zmianowa praca w pogotowiu.

● Szaszkiewiczowa, tak z reguły nazywana, czasem Kika, urzędowo zdaje się Irena, była siostrą zapomnianej dziś pionierki literatury socrealistycznej Marii Jarochowskiej, której „Buraczane liście" drukował „Przekrój" w 1948 roku. Ich bratem był znany fotografik Konstanty Jarochowski. Sama Szaszkiewiczowa działalności literackiej czy artystycznej nie uprawiała, z zawodu była pielęgniarką. Tęga, duża, w okularach, odznaczała się niezmąconą pogodą ducha i poczuciem humoru; obracała się w kręgach awangardy, zwłaszcza piwnicznej, występowała czasem w programach Piwnicy. Szalenie towarzyska i „doludna" (wyrażenie Wańkowicza), była nieocenioną, bezinteresowną opiekunką rozmaitych kulawych kaczą t o artystycznych aspiracjach. Uwieczniona w komiksie nisza za kotarą w półtorapokojowym mieszkaniu Szaszkiewiczowej rzeczywiście bywała schronieniem dla przygarnianych kulawych kaczą t. Klaunady w stylu Giulietty Masiny łączyła Szaszkiewiczowa z całkiem poważnym stosunkiem do świata i ludzi; pamiętam, jak mi wygarnęła zarzuty, że w wydrukowanej w „Przekroju" rozmowie Piotr Skrzynecki został potraktowany zbyt lekko i czytelnik nie będzie zdawał sobie sprawy, że żarty żartami, a to jest świadomy artysta i intelektualista.
(Andrzej Klominek „Okulary Mrożka", „Rzeczpospolita" z 25.03.1995)



„Zabierajcie Szaszkiewiczową!" – apelował „Przekrój", gdy pani Kika autostopem zmierzała nad morze

Przystanek trzeci: Bieda

Jak pani w ogóle znalazła się w Krakowie?

– Moi rodzice mieli majątek w Babicy, 17 kilometrów od Rzeszowa. I choć z Krakowem byłam związana w młodości – chodziłam tu do gimnazjum, to tak na dobre przyjechałam tu dopiero parę lat po wojnie. Mój ojciec dostał tu pracę i ciężko się rozchorował. Lekarz powiedział, że ma jeszcze najwyżej rok życia, więc zostawiłam wszystko, tylko wzięłam dzieci i trochę gratów, i przyjechałam. Mąż musiał zostać w Kłodzku, gdzie wcześniej mieszkaliśmy, bo tam pracował. Młodszy syn miał wtedy półtora roku, a starszy trzy i pół. W Krakowie bardzo szybko znalazłam pracę dzięki przyjaciołom – jako dietetyczka w Domu Matki i Dziecka na Podgórzu.

Znała się pani na dietetyce?

– Jak potrzebowałam pracy, to umiałam wszystko. A papiery zawsze mi do każdego zawodu pasowały dzięki szkole, którą skończyłam przed wojną. To była elitarna szkoła gospodarstwa domowego w Snopkowie pod Lwowem. Uczyłam się tam ekonomii, rachunkowości, uprawy roślin, higieny, żywienia, pierwszej pomocy. To mi bardzo pomogło w życiu, bo właściwie jakąkolwiek chciałam później pracę, to zawsze miałam odpowiednie świadectwo – tyle było tam przedmiotów.

Gdzie pani mieszkała po przyjeździe do Krakowa?

– Na początku w tym Domu Matki i Dziecka. Były tam dwuosobowe pokoje dla personelu.

A dzieci?

– Musiałam oddać do domu dziecka. To była trudna decyzja, ale nie byłam w stanie się nimi zajmować, bo praca była ułożona w 24-godzinnych zmianach. Na dodatek moje dzieci mieszkały w dwóch różnych domach dziecka na dwóch krańcach Krakowa i tylko w niedziele mogłam odwiedzać jednego z chłopców. Niedługo potem, kiedy zaczęłam pracować jako dyspozytorka w pogotowiu i dostałam przydział na pokój z kuchnią, przyjechał mój mąż i wzięliśmy dzieci do siebie.

Życie znormalniało?

– Nie na długo. Mój mąż zakochał się w koleżance z pracy i nas opuścił. To bardzo miły człowiek, rozstaliśmy się w przyjaźni, ale nigdy nie byłam w stanie wyegzekwować pieniędzy na chłopców. Musiałam więc sama utrzymywać naszą trójkę. Zrobiłam kurs na dyplomowaną pielęgniarkę, w pogotowiu płacili o 30 procent więcej niż w szpitalu czy przychodni, ale znów grafik był tak ułożony, że nie dawałam rady zajmować się chłopcami. Czasem miałam dyżur całą dobę. Nie zarabiałam wiele. Ciągle było u nas biednie i czasem po prostu głodowaliśmy. Po tym jak młodszy, Jasza, siedząc w domu bez opieki, o mało nie puścił mieszkania z dymem, musiałam znów oddać ich do domu dziecka.

Brzmi dramatycznie.

– Dzisiaj pewnie tak. Ale wtedy było wiele takich samotnych matek jak ja. Proszę też pamiętać, że pochodziłam z ziemiańskiej rodziny. Dla nas było zupełnie naturalne, że dzieci szybko opuszczały dom rodzinny – jako kilku-, kilkunastolatki jechały do szkoły z internatem i rodziców widywały bardzo rzadko. Co ciekawe, kiedy „Przekrój" zaczął drukować komiks o Kylolicie, dom dziecka zwrócił się od mnie, bym zabrała dzieci, bo przecież w gazetach piszą, że urządzam przyjęcia i latam balonem nad Zakopanem, więc chyba tak źle mi się nie wiedzie.

● Kika nie walczy z losem, co nie znaczy, że mu się biernie poddaje. Nie ma w niej jednak buntu ani goryczy. Ona po prostu bierze życie takie, jakie jest, i stara się w nim odnaleźć trochę słodyczy. Musiała ciągle przekraczać granice własnych możliwości, ale gdyby ją o to spytać, powiedziałaby, że to wcale nie było trudne. Ona reprezentuje starą, dobrą szkołę eleganckiego i lekkiego życia, które nie pozwala demaskować słabości i zakłada programowy optymizm, bo przecież wszystko, co nam życie niesie, jest do udźwignięcia.
(Wanda, synowa Kiki, w „Szydełkiem malowane. Sztuka życia i sztuka w życiu Kiki Szaszkiewiczowej". Wspomnienie z okazji 90. urodzin Ireny Szaszkiewicz wydane w 2006 roku nakładem własnym przez rodzinę i przyjaciół)

Przystanek czwarty: Norwegia

Znika pani z „Przekroju" w tym samym czasie co Marian Eile – w 1968 roku.

– Wyjechałam wtedy do Norwegii na zaproszenie znajomego scenografa, którego poznałam kiedyś w Krakowie. Kiedy był w Polsce, miał wypadek samochodowy i ja się nim w tej polskiej prząśności opiekowałam. Czuł się wdzięczny, pomógł mi wyjechać.

Ile pani miała lat?

– 54.

Nie za późno, by zaczynać wszystko od nowa?

– Miałam dobry zawód, znałam języki. Bałam się biedy.

Wyjechała pani z synami?

– Młodszy dołączył do mnie, uciekając z kraju pod pozorem wycieczki do Jugosławii, skąd przedarł się przez zieloną granicę do Włoch. Starszy został, bo już studiował, poznał swoją przyszłą żonę. Wtedy nie wiedziałam, że zobaczymy się znów po wielu latach.

Nie czuła się tam pani samotna?

– Nie. Zresztą utrzymywałam kontakty z Polską. Między innymi właśnie przez redakcję „Przekroju" organizowałam akcję wysyłania paczek dla Polaków. Przybywało też trochę polskich emigrantów. Zwłaszcza podczas stanu wojennego.

Czy w Norwegii skończyła się pani bieda?

– Tak. Szczególnie kiedy w 70. roku życia przeszłam na norweską emeryturę. Od tego czasu mogę się też wysypiać do woli, co jest luksusem dla pielęgniarki.

Zawsze była pani taka aktywna, nie nudzi się pani teraz?

– Ja nigdy się nie nudzę. Kiedy miałam jeszcze sprawne obie ręce [parę lat temu na skutek wypadku samochodowego Kika Szaszkiewiczowa straciła władzę w lewej ręce – przyp. red.], robiłam takie szydełkowe makatki. Miałam z nich nawet wystawy tu, w Polsce, w Norwegii, Chicago, Gorlicach i w samym Nowym Sączu. Teraz trochę maluję, ale z tą ręką to kłopot. Trudno też pisać.

Zamieszkała pani na stałe w Krakowie?

– Nie. Trochę jestem tu, w Krakowie, u starszego syna, a trochę u młodszego w Stavanger. Niedługo znów się tam wybieram.



Ma pani 94 lata. Nie tęskni pani za przeszłością?

– Ci, którzy tęsknią za przeszłością, tak naprawdę tęsknią za młodością. Ja nie tęsknię za żadnym okresem swego życia. Myślę, że każdy przeżyłam dobrze. I coś pani powiem – kiedy byłam młoda, to były naprawdę nudne czasy. Teraz przynajmniej dużo się dzieje.

● O Kice można w nieskończoność. (...) Ona zawsze wyglądała staro. Ale też nie zmieniła się prawie nic. Jak ropuchy, które od młodości nie zmieniają się i nie starzeją z upływem lat, tak i Kika trwała i trwała. (...) Napisałem o ropusze, ale ze strony przyrodnika nie jest to porównanie negatywne. Wiedzieliśmy, że Kika jest zaklętą księżniczką. Była zjawiskiem do odkrycia, w ochronnym nieatrakcyjnym opakowaniu. Wystarczyło jednak, by zaczęła mówić. Czar pryskał, piękna, radosna i niesłychanie bystra, a przy tym mądra panienka wygrzebywała się na zewnątrz. Jest nie do złamania (...), a swój stosunek do rzeczy ostatecznych określiła już dawno: chyba pół wieku temu w marianowoeilowym „Przekroju" zapytano wielu ludzi, jak chcielibyśmy umierać. Kika dała odpowiedź najprawdziwszą i dla niej charakterystyczną: „Najchętniej wcale".
I nie jestem pewien, czy jej się to nie uda.
(Jerzy Vetulani w „Szydełkiem malowane. Sztuka życia i sztuka w życiu Kiki Szaszkiewiczowej" Wydanie z okazji 90. urodzin Ireny Szaszkiewicz)

JAZZ W „PRZEKROJU”

Zasługi Mariana Eilego dla polskiej muzyki jazzowej są nie do przecenienia. Gdy jazz dopiero raczkował, szef „Przekroju” wskazywał mu drogę do dorosłości



Jazz na Kalatówkach, zima 1959 rok. Od lewej: Krzysztof Komeda, Andrzej Trzaskowski, Stanisław „Drążek” Kalwiński. Dwaj pierwsi, jak widać, nie przy fortepianie

W 1949 roku na zjeździe kompozytorów polskich jazz potępiono jako zjawisko ideologicznie zagrażające komunizmowi. Wkrótce potem władze rozwiązały młodzieżową organizację YMCA – jako „narzędzie burżuazyjno-faszystowskiego wychowania popierane przez zagranicznych mocodawców i sanacyjne czynniki rządzące”. A to kluby YMCA w Krakowie czy Warszawie, kontynuując świetną tradycję z ostatnich lat przedwojennych, stanowiły inkubatory nieśmiałego jeszcze polskiego jazzu. „Jazz był forpocztą zgniłego imperializmu, tłustych burżujów knujących przeciwko całemu socjalistycznemu obozowi i zrzucających na nasze pola stonkę. Jazz to nie było nic radzieckiego, a jak coś nie było radzieckie, to tak, jakby wcale tego nie było. Dlatego jazz musiał się ukrywać. Każda samodzielna fraza czy nurt działa jak płachta na byka na tych wszystkich działaczy młodzieżowych, sekretarzy, cały aparat partyjny – wspominała w książce „Komeda, Zośka i inni” Zofia Trzcińska, zmarła w sierpniu ubiegłego roku żona Krzysztofa Komedy-Trzcińskiego. – Po jakimś czasie jazz zaczął dopominać się o swoje prawa, lecz zanim to się stało, dostawaliśmy go z przemytu. W zaprzyjaźnionych grupkach umawialiśmy się na spotkania w prywatnych mieszkaniach i tam wchłanialiśmy go w siebie. Takie sesje organizował Marian Eile. W największej tajemnicy skrzykiwaliśmy się i o oznaczonych porach wyłapywaliśmy z radia zachodnie audycje, narkotyzując się niejako zapachem zakazanego owocu”.

Eile, słynny założyciel i szef „Przekroju”, nie poprzestawał na kibicowaniu. Trudno przecenić korzyści, które jazz wyciągnął z przywilejów, jakie naczelnemu tygodnika dawała jego profesja. „Miałem wtedy okazję jeździć dość często do Paryża, na krótko, na kilka dni, ale z każdego takiego przyjazdu przywoziłem płyty jazzowe – opowiadał Eile w 1981 roku Andrzejowi Wasylewskiemu, autorowi filmu „Jazzowe dzieje Polski” ukończonego dopiero w ubiegłym roku. Przywożone z Zachodu nowinki (pierwszym zakupem był album grupy Modern Jazz Quartet) Eile popularyzował następnie za pośrednictwem „Przekroju”. Donioślejsze jednak w skutkach okazały się organizowane przez niego sesje odsłuchowe. „Te płyty przeważnie przesłuchiwane były u mnie w domu w Krakowie, w małym pokoju, na najprymitywniejszej, jaką można sobie wyobrazić, stereofonii, ponieważ de facto były to płyty mono. I adapter, wzmacniacz, wszystko było mono – wspominał Eile. – Ale słuchaliśmy przez dwa głośniki, a ściślej mówiąc, przez dwa stare radioodbiorniki ustawione w dwóch kątach pokoju, co sprawiało, że ta muzyka była jednak bardziej przestrzenna”.

Malutkie okienko na Zachód

W Krakowie oprócz Eilego regularne spotkania z jazzem urządzali między innymi Marian Ferster, zmarły w ubiegłym roku legendarny przewodnik tatrzański i późniejszy współzałożyciel krakowskiego Jazz Klubu, jego przyszły prezes Rafał Woltyński oraz kontrabasista Witold Kujawski. W ciasnych pokoikach spontanicznemu muzykowaniu oddawali się Andrzej Kurylewicz, Krzysztof Komeda, Andrzej Trzaskowski. A do regularnych bywalców tych improwizowanych (dosłownie i w przenośni) koncertów należeli Jerzy Skarżyński, Sławomir Mrożek i Ludwik Jerzy Kern.

Oczywiście schadzki te odbywały się potajemnie ze względu na rygorystyczny zakaz publicznego odtwarzania, a tym bardziej wykonywania muzyki jazzowej. „Nigdy nie dowiedzieliśmy się, skąd ludzie wiedzieli o tych spotkaniach. Roznosiło się to pocztą pantoflową. Siedzieli na podłodze, stali po kątach, dyskusje w łazience czy w kuchni – opowiadał Marian Ferster, którego w „Historii krakowskiego jazzu” cytuje Antoni Krupa, muzyk i dziennikarz. – Rozmawiano o muzyce, ale nie tylko. O sztuce, malarstwie, literaturze. Zawsze byli tam Marian Eile i Janina Ipohorska – Kamyczek z »Przekroju«. Janina przychodziła w wielkim kapeluszu z butelką w ręce. To była ta popularna z czerwoną kartką. Pani redaktor trzymała w jednej ręce flaszkę, w drugiej musztardówkę. Na wszystkich imprezach był Ludwik Jerzy Kern z małżonką – Martą Stebnicką. Stefan Kisielewski, Stanisław Dygat oraz muzycy Jerzy Matuszkiewicz, Andrzej Trzaskowski, Witold Kujawski, Witold Sobociński, Andrzej »Idon« Wojciechowski”.

„Jak się ubezpieczaliśmy przeciw donosom sąsiadów, że tam się dzieją orgie? – śmiał się Marian Eile. – W drzwiach się pokazywał ojciec Mariana Ferstera, był pułkownikiem, lekarzem, no, to że był zupełnie łysy, to nieważne. Ale na mundurze miał moc takich wstążeczek od orderów, które otrzymał na pewno zasłużenie. I taki pułkownik w mundurze z orderami ukazujący się w drzwiach troszkę zbijał z pantałyku patrol MO wezwany przez sąsiadów”.

Jazz wychodzi z podziemia

Na przekór usilnym staraniom peerelowskich czynowników z biegiem lat 50. jazzowy noworodek rósł w siłę. A gdy nastąpiła odwilż, wybuchł z mocą, która zaskoczyła nawet osoby odpowiedzialne za podtrzymywanie płomyka przez lata represji. „Zakazany i tępiony jazz żył i rozwijał się mimo wszelkich prześladowań” – pisał w 1956 roku Stefan Kisielewski, relacjonując pierwszy letni Sopot Jazz Festiwal. Na imprezę, pierwszy tak spektakularny owoc swobody, zjechało 50 tysięcy osób z całej Polski. Eile, członek komitetu honorowego festiwalu, na łamach „Przekroju” apelował do kierowców udających się w kierunku Trójmiasta, by na hasło „festiwal jazzowy” bez ociągania zabierali posługujących się nim autostopowiczów.

Największym objawieniem sopockiego festiwalu okazał się sekstet Krzysztofa Komedy. „Niestety, ten młody, ambitny i wartościowy zespół jest biedny i nikt nie przychodzi mu z pomocą. Na festiwalu grali na pożyczonych instrumentach” – pisali w „Przekroju” Bracia Rojek (czyli... Marian Eile). Krytyk Lech Terpiłowski odnotował, jak to muzykom nikt nie chciał udostępnić

W tymże tatrzańskim schronisku na Kalatówkach spotkała się czołówka polskiego jazzu z czołówką polskiego „Przekroju”



sali do prób przed występem: „Wreszcie zlitował się nad artystami pewien woźny, który na własną rękę pozwolił im wieczorami grać, ale... nie wolno było palić światła. Próbowano więc po ciemku”. Kiedy Polskie Radio postanowiło nagrać Komedę, ktoś życzliwy poinformował redakcję, że zespół Komedy się... rozpadł.

Wiosną tegoż 1956 roku 16 osób, a wśród nich Marian Eile oraz Janina Ipohorska, podpisało się pod aktem założycielskim Krakowskiego Jazz Klubu nazwanego później Helikon. „Nasi muzycy jazzowi nie mieli gdzie robić prób, bo nasz lokal Jazz Klubu był maleńki, sklepiona piwnica, zła akustyka – wspominała Zofia Trzcińska. – A Związek Młodzieży Polskiej miał w Rynku Głównym całą kamienicę z salą teatralno-balową. Więc poszłam z jednym z działaczy do pana, tfu... towarzysza »Karpuszki« Wolskiego i zaproponowaliśmy mu, że za to, iż nasi muzycy będą u nich robić próby przed południem, w soboty przez trzy godziny od piątej po obiedzie będą grali zetempowcom do tańca. Pan Wolski-Karpuszko zgodził się. Niestety! – umowa wygasła po trzech tygodniach. Po prostu w trzecią sobotę na ten wieczorek przyszedł i zobaczył, jak jego zetempowcy tańczą w rytm muzyki jazzowej. Takiego przerażonego człowieka w życiu nie widziałam”.

W stronę... rock and rolla

W październiku 1958 roku połączone śluby Zofii Tittenbrun z Komedą oraz Teresy Fersterowej z Andrzejem Trzaskowskim Eile skrzętnie odnotował w rubryce towarzyskiej „Przekroju”, kwitując zdaniem: „Obaj panowie po raz pierwszy, obie panie po raz drugi”. W następnym tygodniu „Przekrój” poświęcił ślubom rozkładówkę. „Dopiero tam, ze zdjęć Wojtka Plewińskiego, zorientowałam się, kto był na naszym weselu” – śmiała się Trzcińska.

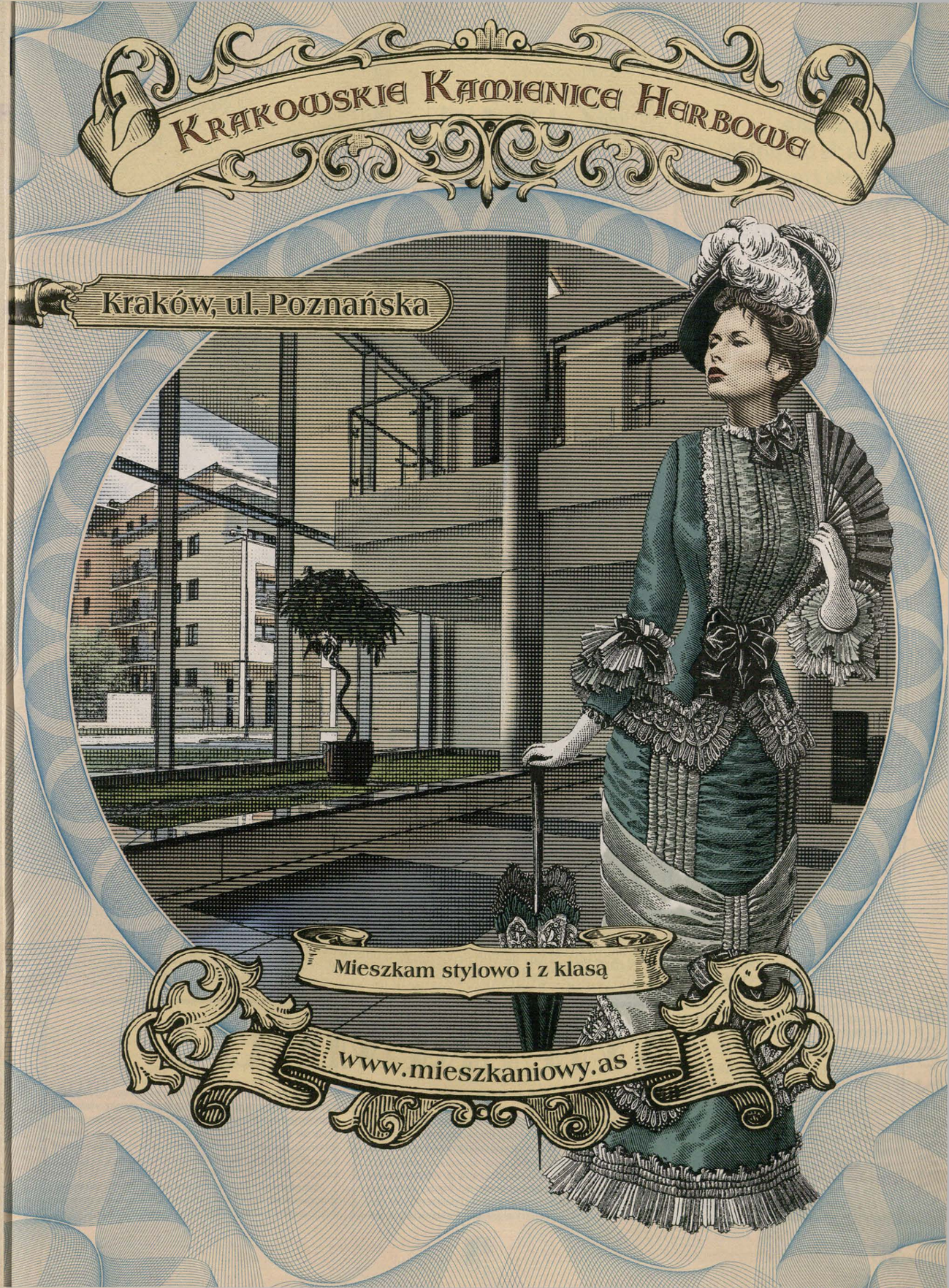
A do tatrzańskiego schroniska na Kalatówkach, gdzie rok później zjechała elita młodego polskiego jazzu, a także Roman Polański i wielce dla jazzu zasłużony Leopold Tyrmand, Eile zabrał ze sobą już całą grupę redakcyjnych koleżanek i kolegów. Później na łamach „Przekroju” gratulował „Dudusiowi” Matuszkiewiczowi zwycięstwa w wyścigu foteli (użytych zamiast sanek), który odbył się w stołówce schroniska, swoistym happy endem zamykając trudną, ale jakże owocną dla jazzu dekadę.

A sam powolutku, nie tracąc wiary, że kiedyś to polskie płyty jazzowe będzie się wozić na Zachód, a nie odwrotnie, zaczynał właśnie kibicować... rock and rollowi, po którym spodziewał się – tak jak kiedyś po jazzie – że stanie się muzyką nie tylko do tańca.

I znowu miał rację.

MARIUSZ HERMA

FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI/FORUM (2)



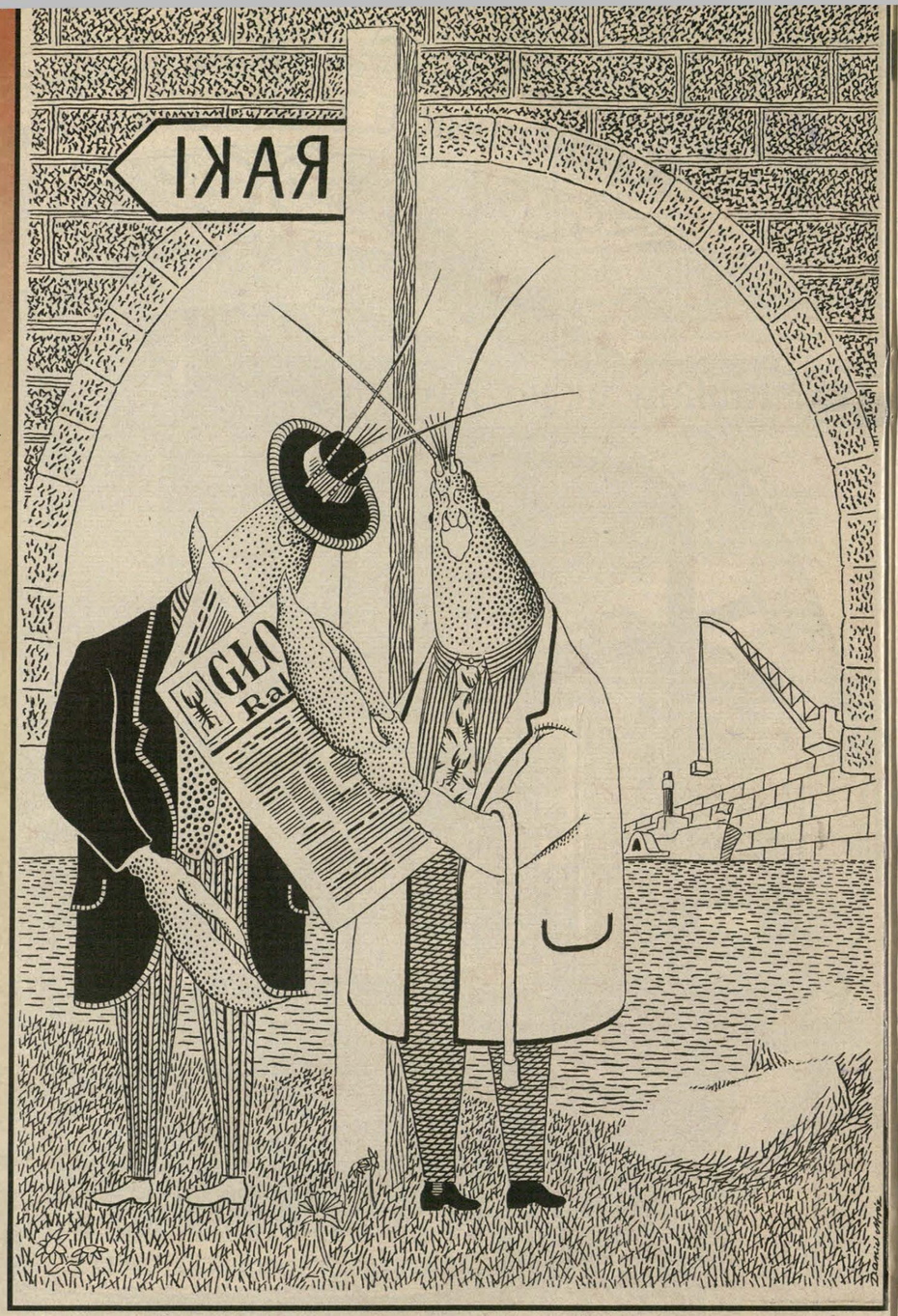


Krakowska ballada o Danielu Mrozie i jego kreskach, kotach, przedwojennych automobilach, „Przekroju" oraz tygrysie z łbem osła

Każde miasto ma swoje postaci, ale Kraków jakby bardziej. Postaci mają swoje ulubione miejsca, gdzie najłatwiej je spotkać. Mijają lata, postaci się starzeją i umierają, miejsca nikną i pojawiają się nowe, a w nich nowe postaci i tak dalej, i tak dalej.

Tadeusz Kantor na przykład miał swoje ulubione miejsce w kawiarni Maurizia przy Rynku, na linii A–B, dokąd udawał się w ważniejszych, jak mawiał, chwilach życia. Kilkanaście kroków stąd, na rogu Rynku, schodzą się Sławkowska ze Szczepańską. Na Szczepańskiej jest galeria Krzysztofory, gdzie Kantor, póki żył, bywał częściej, bo to był matecznik Grupy Krakowskiej, drugi dom Kantora. Na tym rogu Sławkowskiej i Szczepańskiej przystawał Daniel Mróz (musieli go mijać dziennikarze idący na piętro do swojego klubu Pod Gruszką). Wielki, mikołajowej postury, w późnych latach życia z wielką, białą mikołajową brodą. Tam się udzielał. Jego nieparlamentarny słownik i lekko kostyczne poczucie humoru znane były szeroko. Z domu miał niedaleko, bo mieszkał na drugim rogu Rynku, przy Mikołajskiej nomen omen. W Krakowie, jak wiadomo, wszędzie jest blisko i nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby się spotkać.

Kantor urodzony w 1915 roku był tylko o dwa lata starszy od Mroza. Kiedy Mróz znalazł się na trzecim roku Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Kantor zdążył być przez chwilę jego nauczycielem. Pech chciał, że był to rok akademicki 1948/1949 i Kantora zaraz wyrzucono, bo lansował artystyczne mody paryskie, a właśnie zadekretowano moskiewski socrealizm. Kantor słynął z poczucia wyższości wobec kolegów artystów, wieloma wręcz gardził, ale do niektórych miał słabość; do nich należał dawny uczeń, niebawem sławny rysownik i kolega z Grupy Krakowskiej. Może dlatego, że w niczym Kantorowi nie zagrażał. Ścieżka Mroza była osobna, wewnętrzny świat nieprzemakalny na modne prądy, nowinki, aktualne fascynacje, czyli domenę Kantora. Żadnego przecierania szlaków, wyznaczania reguł, odkrywania nieodkrytego. Mróz był staromodny, staroświecki i w odróżnieniu od Kantora, niespożytego wynalazcy, trzymał się kartki papieru, ołówka, piórka, kleju i nożyczek. Kredek czy akwareli używał od święta. Nawet jeśli projektował okładki dla „Przekroju", rysował je w czerni i bieli. Dopiero potem, w drukarni, nakładano wedle jego wskazówek kolor.



WIELKI MRÓZ

NIESZUFLADKOWALNY

Przez prawie 40 lat był najbardziej rozpoznawalnym polskim rysownikiem i ilustratorem. Owszem, wielu robiło większe i bardziej spektakularne kariery. Wyjeżdżali za granicę, urządzano im głośne wystawy, miewali swoich uczniów sławiących imię pedagogów. Obie słynne powojenne polskie szkoły – grafiki i plakatu – to były wtedy światowe potęgi. Ale Mróz był jeden, niepowtarzalny. I nikt nie próbował nawet z nim konkurować.

Nie mieścił się w szufladkach ani kategoriach. Niby był skromnym rysownikiem prasowym. Zaledwie ilustratorem literackim, projektantem okładek, plakacistą, scenografem. Dziś powiedzielibyśmy: typowy dizajner. A jednocześnie wszystko, czego dotykał tuszem i piórkiem, obracało się w artystyczne złoto i dalece przekraczało normy konwencji. Był prawdziwym artystą i nikt przytomny ani przez moment tego nie kwestionował.

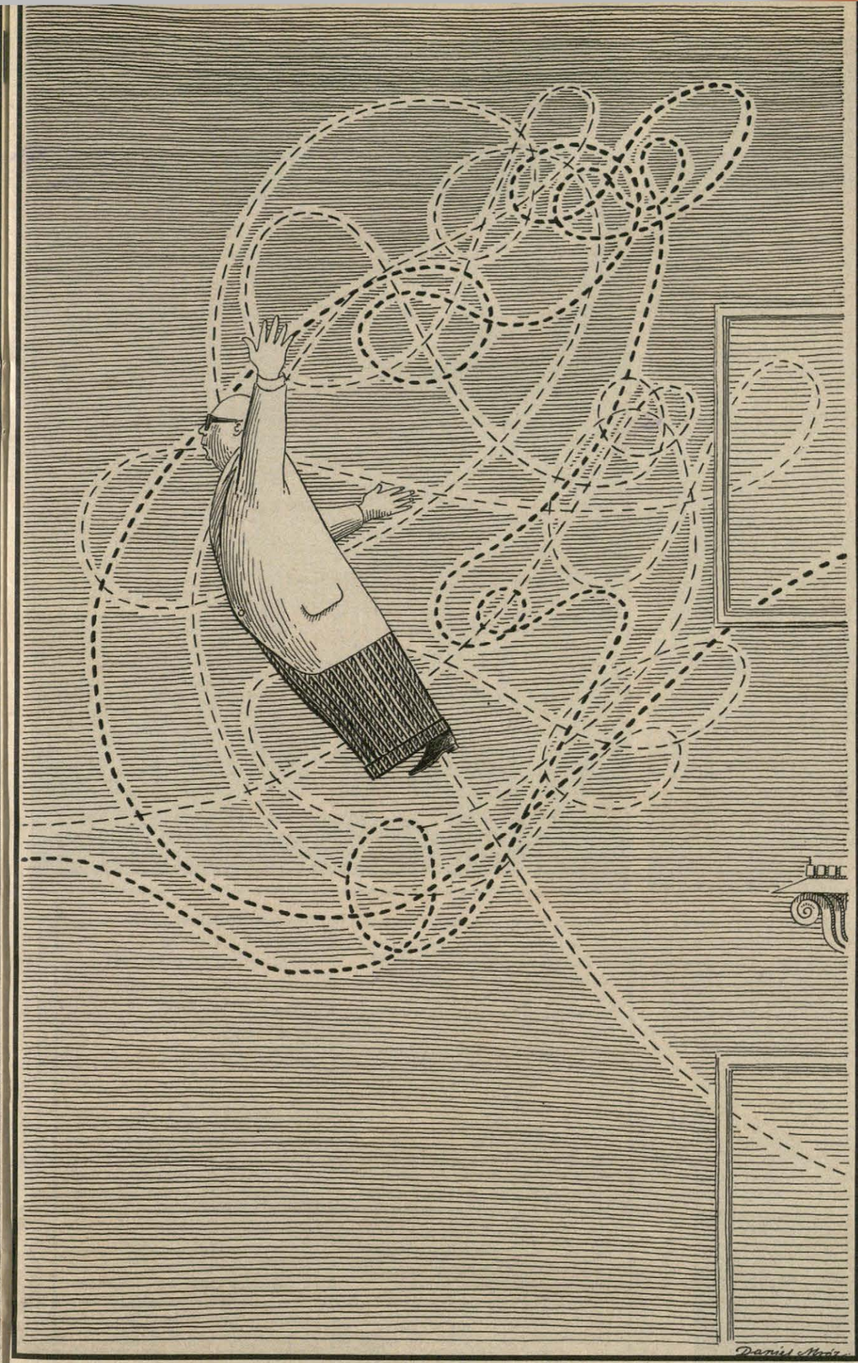
Zdumiewające: nie miał wrogów, cenili go wszyscy. Godził zwolenników tradycji i entuzjastów nowości. Krytycy najróżniejszych opcji pisali o nim w superlatywach. Chylili przed nim głowy artyści użytkowi i ci bezprzymiotnikowi. Pisarze wręcz go kochali; ci, których ilustrował, mogli się czuć zaszczyceni i wywyższeni. Jedyną o nim jak dotąd książkę, książeczkę właściwie, opublikował w 1961 roku Jerzy Kwiatkowski, wybitny krytyk wcale nie plastyczny, ale literacki. Stanisław Lem, publicznie ogłaszając życzenia urodzinowe na 70-lecie Mroza, powiedział o niej, że to „był tylko najmaleńciejszy listek laurowy z tego kolosalnego wieńca, który pracowicie się Panu należy".

Miał szczęście – nie mniej w życiu potrzebne niż talent, wyobraźnia i dobra ręka. Może gdyby we właściwym miejscu i czasie nie spotkał Mariana Eilego, który wymyślił „Przekrój"... Gdyby „Przekrój" nie okazał się wydawniczym hitem na skalę wręcz światową, bo przecież nie tylko europejską (jego karierę w Związku Radzieckim do dziś wielu pamięta)... Gdyby Mróz nie okazał się dla „Przekroju" tym dobrym duchem, co paskudnie drukowanemu tygodnikowi narzucił taki styl graficzny, że przez dziesięciolecia mówiono o „Przekroju" jako piśmie także a r t y s t y c z n y m... Jasne, miał szczęście. Ale szczęście to też wynik dobrego zbiegu dobrych okoliczności. A nawet, czasem, złych.

Przyjrzyjmy się tym okolicznościom.

KOD KRESKOWY

Urodził się 3 lutego 1917 roku w Krakowie. Poza wojennym i tużpowojennym epizodem, kiedy znalazł się w Niemczech, całe życie spędził pod Wawelem. Z edukacją szło mu nietęgo. „W szkole powszechnej i gimnazjum byłem – nie ukrywam – »materiałem« trudnym do prowadzenia" – wyznawał szczerze w krótkiej autobiografijce zamieszczonej w „Projekcie" w 1987 roku, przedrukowanej teraz w katalogu wystawy u Starmacha. Wolał „rozrywki i ćwiczenia cielesne". Z gimnazjum go w końcu wyrzucono, zdawał maturę eksternistycznie. Krnąbrnego ucznia ojciec zapisał do Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. „Na szczęście – wytrzymałem tylko dwa lata" – wspomina eksuczeń. Ale jeden z jego późniejszych komentatorów, poeta i reportażysta Aleksander Ziemny (w latach 1946–1948 redaktor „Przekroju"), pisze, że „wyrzucony został z 7 klasy gimnazjum św. Anny za »bezczelność i nieuctwo«; podobnymi motywami kierowano się trzy lata później, usuwając Daniela ze Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego przy al. Mickiewicza". Wytrzymał czy go usunięto? Dziś żadna różnica.



Na lewo po lewej: Ilustracja do „Tu są bajki" L.J. Kerna, 1953, tusz

Na prawo po lewej: Ilustracja do „Słonia" S. Mrożka, 1957, tusz

Ojciec był dziennikarzem tygodnika ilustrowanego „Na Szerokim Świecie" wydawanego przez koncern słynnego „Ikaca". To tam obaj synowie redaktora Stanisława Mroza (starszy Sokrates, późniejszy filozof i tłumacz, był ponoć równie świetnie utalentowany plastycznie jak młodszy Daniel) zachłannie oglądali wielojęzyczne pisma ilustrowane, atlasy, encyklopedie. Rysunki, sztychy i staloryty wypełniające zwłaszcza XIX-wieczną prasę i niemało książek były pierwszą szkołą sztuki dla przyszłego rysownika i ilustratora.

Girod, Rackham, Dulac – te nazwiska mało co już komu dziś mówią, ale na ich ilustracjach do baśni braci Grimm, opowieści grozy Edgara Allana Poego czy „Alicji w krainie czarów" ćwiczył oko kilkunastoletni Daniel. Wśród wyższej rangi antenatów artystycznych znajdziemy prawdziwych tuzów: Gustawa Doré, genialnego rytownika, mrocznego wizjonera grafiki Odilona Redona czy surrealistę Maksa Ernsta. Wszystko Francuzi. Mróz zawsze też chętnie podkreślał swoje dziecinno-młodzieńcze fascynacje niemieckim ilustratorstwem książkowo-prasowym. Zapewne drugorzędnym artystycznie, ale na pewno wirtuozerskim technicznie; to będą nauki dlań na całe życie.

Najważniejsza była precyzyjna kreska, najsilniejsza broń drzeworytników i stalorytników. Umiejętność budowania skomplikowanego świata rysunków złożonych wyłącznie z setek kresek stanie się znakiem rozpoznawczym także Daniela Mroza. I... sposobem na ominięcie technologicznej zapyziałości typowej dla socjalistycznych drukarni. Po prostu tak zwany druk na siatkę – wszelkie fotografie, obrazy itp., gdzie wymagana jest plama barwna czy walorowa – dawał w praktyce maziugi o trudno rozpoznawalnej kolorystyce; wystarczy przejrzeć dawne „Przekroje".

– Marny gazetowy papier i nie lepszy druk to była swoista kara za sukces tego „drobnomieszczańskiego i kosmopolitycznego" tygodnika, za jaki uchodził „Przekrój" wśród partyjnych decydentów – opowiada Mieczysław Czuma, który po Marianie Eilem i epizodzie Mieczysława Kiety przez 27 lat dowodził „Przekrojem" – ale Mróz ich wykiwał, bo z ubóstwa zrobił cnotę. Ponieważ w druku dobrze wychodziła tylko czarna kreska, wszystko kreskował, nawet tła. Powymyślał ponadto te różne rączki i przerywniczki typu „Do i od redakcji", które świetnie organizowały pismo w wizualną całość i nadawały mu styl.

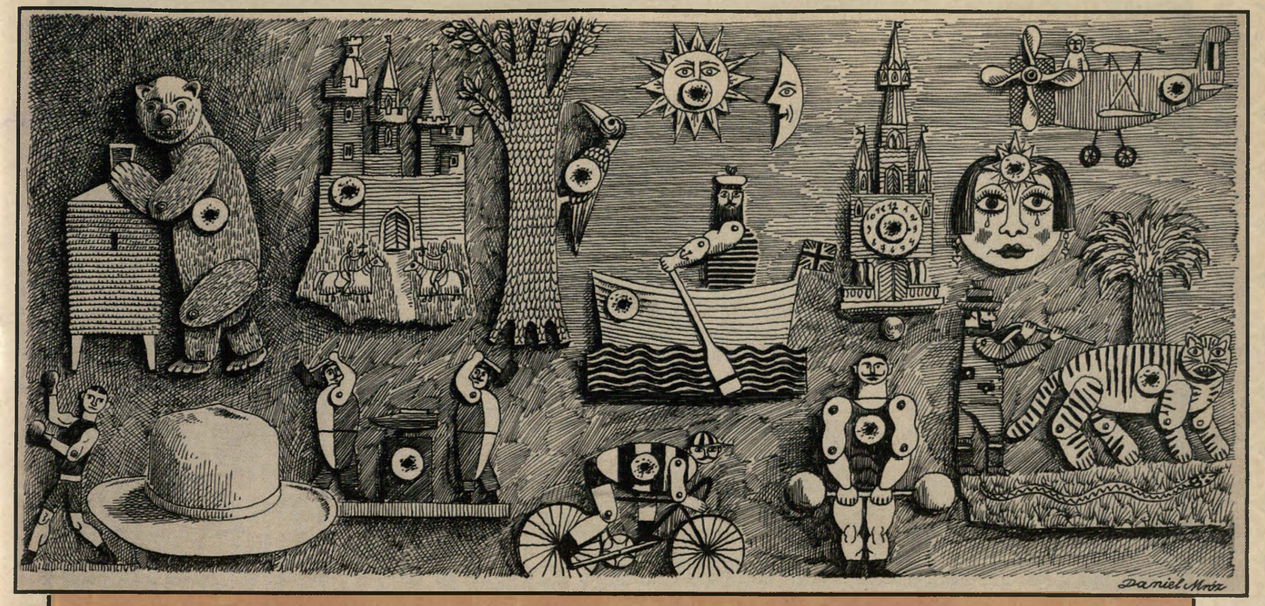
Prawdziwą artystyczną edukację przeszedł w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie skończył także, z wyróżnieniem, studium scenograficzne prowadzone przez Mariana Eilego. Tam go wypatrzył naczelny „Przekroju" i tam wypróbował jako rysownika, prosząc o rzekomą przysługę dla przyjaciela – narysowanie portretu Lwa Tołstoja. Mróz prośbę spełnił, ale ku swojemu zdumieniu rysunek zobaczył... na łamach „Przekroju". I tak się zaczęła ponad 40-letnia przygoda z tym pismem. I okazjonalna z „Życiem Literackim", „Młodym Technikiem", „Zebrą", „Polską".

PACKARD 1934, 8 CYLINDRÓW

Mróz miał wiele pasji, nie tylko rysowanie, choć każda z tych pasji prędzej czy później znajdowała odbicie na papierze rysunkowym. Należał do kolejnego pokolenia – po artystach i poetach dwudziestolecia międzywojennego – zafascynowanego rewolucjami technologicznymi XX wieku, wyznającego kult „miasta, masy, maszyny". Kochał przedwojenne automobile, samoloty, lokomotywy, wszystko, co jeździ bądź lata. Wielokrotnie opowiadał, że potrafił gonić po całym Krakowie za (nielicznymi wówczas) autami,







We wspaniałej serii kolaży pożeni tułów słonia z łbem dziobaka, lamie nałoży głowę tygrysa, a tygrysowi łeb osła.

No i koty! Nie tylko te trzymane w domu bądź dokarmiane na podwórku redakcji „Przekroju", ale i te wciąż rysowane. Koty kocie, dachowce zwyczajnie pręgowane. Koty męskie, dumnie wypięte, pod krawatami w koty rzecz jasna. Wreszcie ulubione: damskie koty uwodzicielskie, z naszyjnikami, gołym biustem i podmalowanymi oczami. Świetnie współgrały z kociakami fotografowanymi przez Wojciecha Plewińskiego do krzyżówek i na okładki „Przekroju".

Surrealista? Też, ale nie tylko. Wielki fantasta. Przekorny. Dowcipny. Czasem zjadliwy, nieco makabryczny, blisko Rolanda Topora, swojego młodszego francuskiego kolegi. Melancholijny, po krakowsku i po młodopolsku. Jeśli czegoś n i e ilustrował, a powinien był, bo pokrewnego ducha bardzo się wyczuwało, to na przykład opowiadań Jeremiego Przybory, swojego rówieśnika. I powinien był projektować scenografie nie tylko dla Helmuta Kajzara czy Józefa Szajny, ale właśnie dla Kabaretu Starszych Panów. Może się po prostu nie znaleźli.

W urodzinowym hołdzie złożonym swojemu rysownikowi Lem upominał się o „co najmniej 4-tomowy album" prac Mroza. To było w 1987 roku, 23 lata temu. Do dziś nie ma nawet jednotomowego. Pozostaje kontentować się doskonale skądinąd wydanym katalogiem wystawy w Galerii Starmach – i czekać na spełnienie życzeń Lema. W końcu lata przychodzą i przechodzą, a Mróz trwa.

TADEUSZ NYCZEK

„Daniel Mróz" – Galeria Starmach w Krakowie, marzec–kwiecień 2010

Wyżej: „Strzelnica", przełom lat 50. i 60., tusz

Niżej po lewej: Ilustracja do „Wyprawy do wnętrza ziemi" J. Verne'a, 1959, kolaż

Niżej po prawej: Ilustracja do „Cyberiady" St. Lema, 1972, tusz

a zapach benzyny wywoływał w nim ekstazę. Późniejszych, czyli współczesnych, samochodów już tak nie cenił, nudziły go jako przedmiot estetyczny. „Pamiętam jeszcze auto sąsiada, Wojciecha Kossaka. Była to jedyna rzecz, która mnie fascynowała u pana Wojciecha. Pojazd ów był bardzo staroświecki i szalenie kolorowy, dominanta zieleni, jakieś czerwienie, żółcie i wspaniałe mosiężne karbidory tudzież złocista chłodnica" – pisał we wspomnianej wyżej autobiografijce.

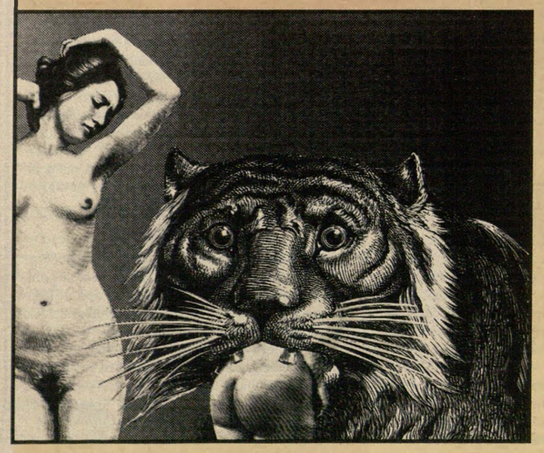
W opublikowanym w „Przekroju" zabawnym i wielce instruktywnym „Oświadczeniu Daniela Mroza z dnia 20 października 1985 roku o wszystkim, co wywarło na nim prawdziwe wrażenie od 3 lutego 1917 roku do dziś" pośród alfabetycznie wymienionych: Kafki Franza, Kościuszki Tadeusza, Lasku Wolskiego, Lancastera Burta i Lancastera, samolotu bombowego czteromotorowego, latarni morskich, Malczewskiego Jacka, Paryża, placu Matejki, Plant krakowskich, Picassa, Reymonta, maszyny do szycia Singer, Stępowskiego Junoszy, Toulouse-Lautreca, Treli Jerzego, Wawelu, Wiednia i żyrafy, umieścił precyzyjnie zapamiętane marki samochodów: Austin Austro-Daimler (ADM), Bugatti-Royal 8-cylindrowy, 12 700 ccm, 302 KM, 7 m długości, Duesenberg 1932, 320 KM, 207 km/godz., 160 km w 17 sek., Hispano-Luiza 1924, 8000 ccm, 177 km/godz., Lancia-Lambda 1924, Lincoln 1932, 7200 ccm, V-12, Minerva 1930, 6610 ccm, 130 km/godz., Maybach 1934, 8000 ccm, V-12, 200 KM, Mercedes SS 1928, 6250 ccm, 110/160 KM, Packard 1934, 8 cylindrów, 6300 ccm... A to nie wszystkie marki wymienione w „Oświadczeniu". Imponujące.

MRÓZ I MROŻEK

Jeśli Mróz był staroświecki w technice rysowania, choć już nowocześniejszy w obrazowaniu, bliższym surrealizmowi z jego kojarzeniem na jednej płaszczyźnie nadzwyczaj zaskakujących rzeczy – to namiętność do wszelakich wynalazków technologicznych lokowała go wręcz w awangardzie. Przyboś z Peiperem zachwycający się nowoczesną maszynerią XX-wiecznej cywilizacji mieli w Mrozie wspaniałego wychowanka. Ba, niezły z niego pożytek mieliby i futuryści! Nie przypadkiem właśnie do Mroza zgłaszali się rozmaici wydawcy z maszynopisami Juliusza Verne'a, Stanisława Lema czy antologiami polskiej bądź obcej fantastyki naukowej. Także groteskowej poezji i prozy à la Ludwik Jerzy Kern, Henryk Vogler czy Jerzy Afanasjew. Nie mówiąc o Sławomirze Mrożku, który niegdyś wyznał w urodzinowym liście do Mroza: „(...) ludzie myślą, że ja to Ty, a Ty to ja, ponieważ moje nazwisko jest zdrobnieniem Twojego, a Twoje rysunki tak dobrze ilustrują mój tekst, że nikt nie wierzy, że to kto inny pisał, a kto inny rysował".

Szkoda, że dziś nikt nie wznawia „Słonia", „Deszczu" czy „Wesela w Atomicach" w ich pierwotnym kształcie edytorskim. Niżej podpisany, jak i wielu czytelników pierwszych wydań opowiadań Mrożka, zupełnie nie jest w stanie wyobrazić sobie Mrożkowego świata inaczej niż przez pryzmat ilustracji pana Daniela. Sugestywność obrazowania Mroza była nieporównana. Czy profesor Tutka z opowieści Szaniawskiego mógłby być kimś innym niż tym patykowatym panem z kwadratową brodą i melonikiem?

W latach 60. świat zwariował na punkcie robotów, inżynierii genetycznej, pojazdów kosmicznych, lotów na Marsa i Księżyc. Raj dla kogoś takiego jak Lem. Był w najwyższej twórczej formie. Wadził się z kosmosem i ziemską przyszłością na bardzo poważnie („Summa technologiae") i bardzo niepoważnie („Bajki robotów", „Cyberiada"). Mróz jako ilustrator tej niepoważnej wersji kosmosu sięgnął podobnie jak Lem szczytów pomysłowości w kreowaniu najdziwaczniejszych tworów będących prześmiesznymi krzyżówkami maszyn, ludzi i zwierząt. W następnej dekadzie rysownik przypomni sobie o tych zabawach przy okazji ilustrowania „Zwierzydełek" Roberta Stillera.

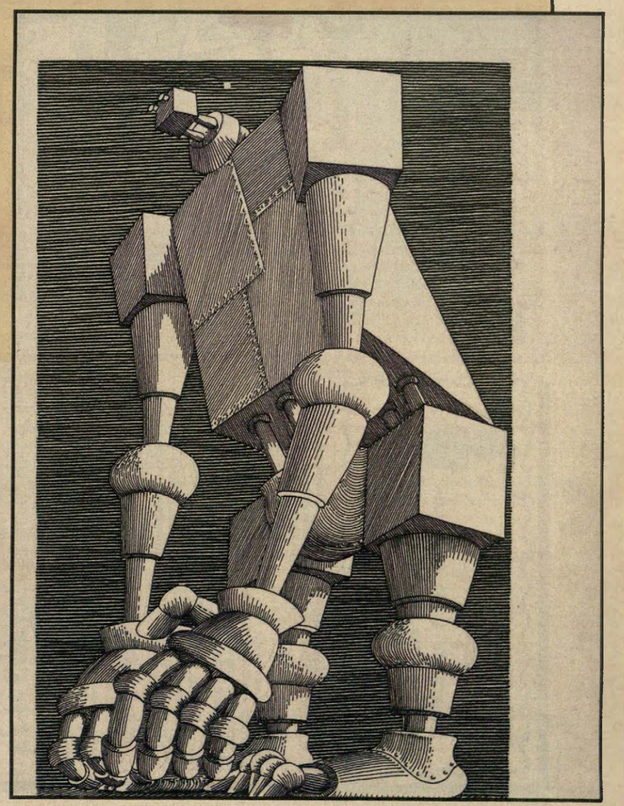


Po lewej: Ilustracja do „Vademecum erotomana" J. Wittlina, 1974, kolaż



Po prawej: Projekt okładki „Przekroju" nr 2425 z 15 grudnia 1991 roku, tusz

Po prawej: Projekt okładki „Przekroju" nr 1950 z 24 października 1982 roku, tusz



ILUSTRACJE DANIEL MRÓZ; REPRODUKCJE GALERIA STARMACH

OTWÓRZ OCZY

Ludwik Jerzy Kern

PO POWROCIE ZNAD RZEKI

Coraz więcej jest w przyrodzie sztucznego tworzywa.
Jest to sprawa oczywista dla każdego kto niekiedy w krajobrazie bywa.

Nie ma wprawdzie dotąd łąk z elany,
Ani plastikowych lasów,
Skały także
(Jak na razie)
Nie są jeszcze z pleksiglasu,
Wierzby ciągle są z wierzbiny,
No, a łany
Z naturalnego żyta mamy,
A nie z anilany.

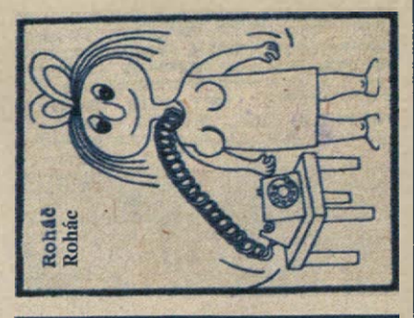
A jednakże,
Co niniejszym stwierdzam ze lką w oku,
Masę tworzyw w tej przyrodzie widać
i to wręcz na każdym kroku.

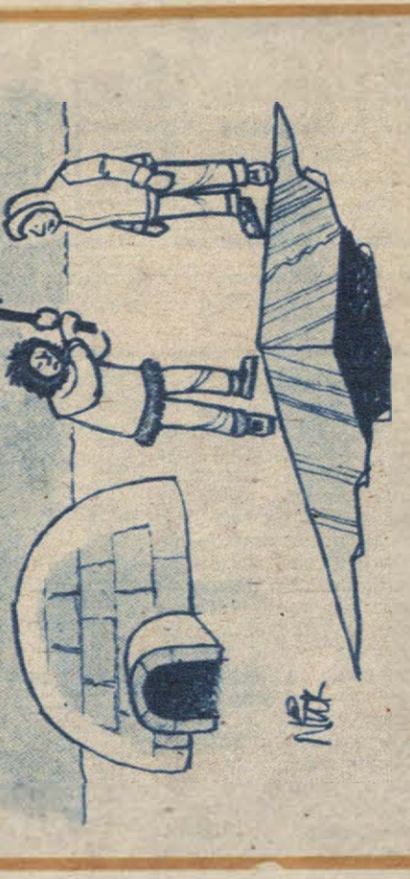
Zwłaszcza, gdy wędrujesz sobie z biegiem rzeki
Lub potoku.

Widzisz wtedy ze zdumieniem w czasie tych wędrowań
Ile to tysięcy leży w tej przyrodzie niezniszczalnych opakowań.
Drewno w próchno się rozsypie,
Blachę rdza powoli zjada...
A tworzywo?
Ono trwa,
Po śmierci nawet,
Bo się rozkłada,
Ani nie rozpada.

Nawet tego stłuc nie można, bo po prostu jest nietłuczne.
Jest tandetne, a tak trwałe
To drańskie tworzywo sztuczne.

Dumam sobie o tym wszystkim pijąc łyk chłodnego piwa,
Szkoda – myślę – że nie uczyniono ze sztucznego mnie tworzywa.
Może byłbym mniej liryczny,
Może mniej sentymentalny,
Ale za to niezniszczalny.





– Zastanów się kochanie czy stać nas na basen kąpielowy?

PROSIMY NIE POWTARZAĆ

Jedynie tylko u dzikusów można dzisiaj jeszcze przewozić większą gotówkę w nieopancerzonym samochodzie.

KOMPUTER NAWALIŁ?

W numerze 19 „Polityki" czytamy:
Centralna i terenowa administracja państwowa zostanie równocześnie zmniejszona o 5 proc. czyli około 6 tys. ludzi, ze 120 do 144 tys.
Dowiedz się, w którym tygodniku jest to napisane, „Polityka", a nie „Poranek".
(Nadesłał: J. Miciński)

JEDYNY SPOSÓB

„Słowo Powszechne" pisze w numerze 110: Że u nas W 1977 r. dochody przeciętne z palenia budżetu państwa wyniosły ok. 24 mld zł.
Nic tylko palić budżet.
(Nadesłał: K. Miętkiewski)

Z FASONEM

Tytuł z „Kuriera Polskiego" (numer 106):
Arbiturienci lepiej liczą niż piszą.
Chodzi oczywiście o arbiturientów elegantiarum.
(Nadesłał: A.S.)

O WACUSIU

– Sukces może osiągnąć tylko człowiek, który potrafi być uprzedzająco grzeczny dla ludzi, na których nie może patrzeć.

I, wicca rozwarła paszcze, gotującą się do skoku.

Robinson z Piętaszkiem wkrótce zaludnili bezludną wyspę.
*
Makbet, chcąc dotrzeć do władzy, opierał się na mordzie.
*
Marcin wyciągnął z sytuacji wniosek, a z kieszeni banknot.
*
Balzak był energetyczny.
*
Kajdany małżeńskie są tak ciężkie, że trzeba dwu osób, żeby je udźwignąć, a czasami trzech.
*
HUMOR ZESZYTÓW wybraliśmy z listów, które nadesłali: Cezary S. z Prasnysza, Magdalena G. z Inowrocławia i Krystyna R. z Łodzi.
Dziękujemy.

OSTRYGI PO POLSKU

„Echo Krakowa" w numerze 112 zamieściło takie interesujące ogłoszenie:
ARTYKUŁY SPOŻYWCZE bezpośrednio zagraniczne SKUPUJE od producenta Restauracja „WIERZYNEK". Przyjmujemy, ze specjalnością „Wierzynka" jest kuchnia polska.
(Nadesłał: M. Kieta)

KURIER (NIE) POLSKI

„Kurier Polski" w numerze 102 namawia nas przy pomocy ogłoszenia Orbisu na Wycieczki objazdowe po Gruzji, także polać śmietaną lekko posłodzoną.
O przepis na takie placuszki prosila jedna z Czytelniczek.
PONADTO pragniemy poinformować, że p. Henryk Dębski wydał (w „Watrze", cena 42 zł) książkę pt. SŁODKIE DANIA OBIADOWE I DESERY. Znajdziecie tam liczne owocowe surówki, kisiele, galaretki, budynie, naleśniki, bliny, racuszki, pierożki, kluski, knedle, lody i słodkie sosy. Z książki tej wybraliśmy jeden przepis:
GRZANKI. Długą bułkę okrajać ze skórki i pokroić w plasterki grubości 1 cm. Podsmażyć z obu stron na maśle na złoty kolor. 2 żółtka utrzeć z cukrem i wymieszać ze zmielonym twarożkiem z białego sera twarogowego. Dodatki: wanilia utarta i opłukane rodzynki. Tak przygotowaną masę nałożyć na grzanki i polać stopionym masłem, a następnie zapiec w gorącym piekarniku. Podawać z herbatą.

WIECZOROWA PORA

Fragment programu TV z numeru 93 „Dziennika Bałtyckiego":
20,10 Film TV na śmiecie
Zamiast wywieźć na wysypisko, to się takiego nadaje.
(Nadesłała: ...)

O WACUSIU

– W koloniach nudystów striptizerki skazane są na śmierć głodową.

Jubileuszowo dietetycznie

PODAJE: redaktor J. D. na cześć Medycznego Studium Zawodowego Dietetyki w Krakowie, które obchodziło swoje 30-lecie. Z tej szkoły wyszło już kilkaset absolwentek (są także mężczyźni, ale w ogromnej mniejszości). Pracują głównie w szpitalach i sanatoriach. Dyrektorka Studium, p. mgr inż. Zofia Więczorek-Chełmińska, obiecała dla Czytelników P. opracowanie krótkiego kursu dietetycznego żywienia.
Pół kg białego sera twarogowego dokładnie rozgnieść widelcem, dodać 2-3 łyżki mąki pszennej, łyżkę mąki ziemniaczanej i ucierać z dwoma żółtkami. Jak będzie gładka masa – dodać panę z ubitych dwu białek. Lekko wymieszać.
Na rozgrzanym tłuszczu na patelni smażyć formowane łyżką placuszki. Przy podaniu polać je słodkim
Sokiem owocowym, a następnie zapiec w gorącym piekarniku.
Podawać z herbatą.

O WACUSIU

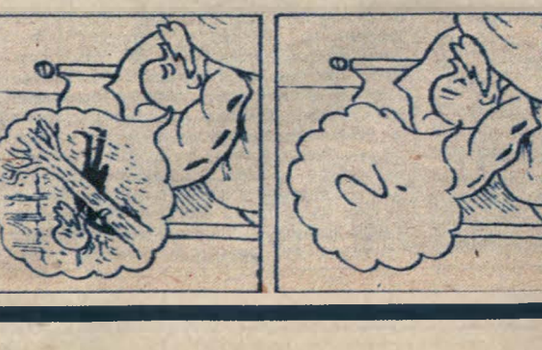
– Pałczak uważa, że nie jest zbyt dobrze kiedy kobieta mówi ci, że znajdujesz się na samym dnie jej serca, ponieważ to oznacza, że wyżej znajduje się już ktoś inny.

KOMU BYŁO DOBRZE NA KARCOWCE

KOSZTOWNE HOBBY

Fragment opowiadania kryminalnego z numeru 88 „Trybuny Robotniczej":
Monk Lecvis był znanym w całym kraju zawodowym mordercą.
Świat przestępczy, to byli jego zleceniodawcy. Strzelał, dusił, topił dla tego komu płacił.
Jednym słowem dokładał do interesu.
(Nadesłał: M. Marciniów)









Tak wytrawnego szpiega fascynowały, o dziwo, drzewa. *Krystyna płakała, gdy ojciec spłacał długi drewnem z wycinki w ich majątku w Trzepnicy*

Krystyna, córka wojny

Życie i śmierć polskiej agentki na brytyjskich usługach do dziś okryte są tajemnicą. **Krystyna Skarbek**, półhrabianka, pół-Żydówka, padła ofiarą zmowy milczenia nie tylko władzy ludowej, ale także klubu szacownych dżentelmenów

KOBIETA FATALNA ANNA SZULC

Na skrzynkę e-mailową agenta reprezentującego interesy Tildy Swinton, brytyjskiej gwiazdy kina, trafił pod koniec lutego scenariusz filmu Agnieszki Holland. Agent na ofertę powinien odpowiedzieć w ciągu dwóch miesięcy. Producent Rafał Buks czeka z duszą na ramieniu. – Budżet, o dziwo, nie przysporzył mi większych kłopotów. Już dawno namówiłem na współpracę poważnych kontrahentów nie tylko w Polsce, ale także w Anglii i Niemczech – wylicza Buks. Zatem zdobycie niebagatelnej kwoty ośmiu milionów euro na film pod znamiennym tytułem „Christine: War My Love" to nie największy kłopot producenta i reżyserki.

Problemem są kobiety, konkretnie aktorki. Bo bez osobowości, która przyciągnie tłumy, sponsorzy obiecanych pieniędzy nie dadzą. Tymczasem Buksowi już odmówiły Kate Winslet (bo nie chce, by kojarzono ją teraz z wojną) i Eva Green (bo teraz marzy już tylko o tym, by dostać rolę w kolejnej odsłonie „Batmana").

Czy 50-letnia dziś Tilda Swinton, którą pozornie z Krystyną Skarbek łączy niewiele, bo ta umarła tuż po czterdziestce, zgodzi się na udział w filmie? I czy dzięki temu zapomniany polski szpieg w spódnicy stanie się słynną i podziwianą przez masy ikoną popkultury? Czy Tilda wie, że podobnie jak korzenie jej rodu korzenie Skarbków sięgają czasów, gdy rycerze niczym święty Jerzy mieli walczyć ze smokami? A może przekona Tildę to, że Krystyna Skarbek podobnie jak Swinton również ceniła sobie skandale, a w szczególności miłosne trójkąty?

To zresztą niejedyne podobieństwo – może Tildę, która zmieniała się już w anioła, złą królową i młodzieńca, ujęłoby to, że Skarbek też potrafiła na deskach teatru zwanego wojną odegrać każdą, najtrudniejszą nawet rolę.

Pakt przeciw prawdzie

Trzeba przyznać, że w swoim burzliwym i krótkim życiu, bo przerwanym śmiercią zadaną nożem, Krystyna Skarbek zagrała kilka ważnych ról.

Gdy została agentką brytyjskich służb specjalnych, zamieniała się w Christine Granville i pod tym nazwiskiem przemycała przez granice ludzi i mikrofilmy, dzięki którym Churchill, a później Stalin dowiedzieli się o konkretnych planach niemieckiej inwazji na ZSRR.

Nieco wcześniej w węgierskim areszcie grała gruźliczkę – przejmująco charcząc i plując najprawdziwszą krwią, bo wpadła na kapitalny pomysł, by z całej siły ugryźć się w język. Policja była przekonana, że wypuszcza stojącą nad grobem suchotnicę.

Później bywała Pauline Armand, gdy najpierw skakała ze spadochronem, a potem w iście filmowym stylu, w czerwonej sukience, dzięki sztuczkom, wdziękowi i odwadze odbijała aliantów z więzień na kilka godzin przed ich egzekucją.

Hrabianką Krystyną w czasie wojny bywała rzadko. Była nią podczas swego wojennego pobytu w Warszawie, gdy bezskutecznie próbowała ratować przed śmiercią w getcie matkę, Żydówkę Stefanię Goldfeder. Była nią, gdy (podobno) w taniej knajpie dawała się obściskiwać gestapowcowi, który w zamian za przyjemności ciała obiecywał kształtnej i pachnącej kobiecie wyciągnąć Stefanię z piekła. I który słowa nie dotrzymał. Stefania i jej syn, starszy o kilka lat brat Krystyny, przepadli podczas wojny bez wieści.

Słowa dotrzymali za to inni mężczyźni. jednak nie za życia Krystyny, lecz już po jej śmierci. Ci, którzy w 1952 roku zawiązali tajny pakt w obronie jej czci. I dzięki którym wojenna agentka Skarbek przez dziesięciolecia uchodziła za nieskazitelną bojowniczkę o wolność, która wcale nie kolekcjonowała romansów, nie fascynowała się miłosnymi trójkątami, nie zdradzała namiętnie mężów, a nawet kochanków. Ten to pakt sprawił, że o Krystynie wciąż wiemy mało, zbyt mało. A luki coraz częściej wypełnia fikcja.

Przykładem jest choćby powtarzana opowieść, jak to Skarbkówna miała w planach podróż tym samym samolotem, który rozbił się z generałem Władysławem Sikorskim na pokładzie. Ale ktoś zaufany miał ostrzec kobietę, że lot zakończy się katastrofą. →



Krystyna i Andrzej Kowerski długo stanowili nie tylko **szpiegowską parę**

→ Czy zatem nieprawdą jest, że gdy Krystyna się urodziła, ojciec nazywał ją Vesperale, od łacińskich nieszporów, bo była dla niego jak wieczorna modlitwa? Ile prawdy jest w tym, że cechy Krysi-Vesperale przejęła później Vesper Lynd, bohaterka pierwszej powieści Iana Fleminga o agencie 007, który to Fleming z Christine Granville alias Skarbek miał mieć po wojnie przelotny romans w romantycznym nadmorskim hotelu? Niektórzy, nieliczni zresztą, biografowie agentki daliby się pokroić za to, że tak właśnie było. Inni pukają się w czoło, twierdząc, że Fleming Krystyny-Christine na oczy nie widział, a znacznie wcześniej Jan Skarbek, który cenił sobie przede wszystkim doczesność, nie miał zielonego pojęcia, co to nieszpory.

Ryngraf od przeora

Tak naprawdę jedynie Bóg może dziś wiedzieć, czy hrabia Skarbek, z zawodu utracjusz i miłośnik koni, był człowiekiem religijnym. Wiemy za to na pewno, że pojawił się kiedyś z córką na Jasnej Górze, że świętemu obrazowi się pokłonił, z przeorem się przywitał. Temu ostatniemu tak się Skarbkowie spodobali, że podarował Krystynie ryngraf z Czarną Madonną (miał jej wtedy podobno powiedzieć, że ryngraf uchroni ją od nieszczęść). Kłopot w tym, że Skarbek poszedł na pielgrzymkę nie z własnej woli, ale dlatego, że założył się z kompanami, iż się nawet do Częstochowy wybierze, jeśli Polacy pokonają bolszewików w bitwie nad Wisłą. I pokonali, więc Skarbek słowa jeszcze w tym samym 1920 roku dotrzymał.

Z pewnością był zdeklarowanym patriotą. Szczycił się rodem, który swoją historię wywodził z czasów, gdy Polską władali Piastowie. Wielu biesiadników, którzy w latach 20. ubiegłego stulecia doznali zaszczytu zasiadania przy suto zastawionym stole w majątku hrabiego w Trzepnicy koło Piotrkowa Trybunalskiego, nieraz usłyszało opowieść o praszczurze Skarbka. Ów przodek cesarzowi Henrykowi II dał do zrozumienia, że Polska nigdy nie będzie ziemią Niemcom poddaną. Ku zdumieniu władcy zdjął z palca pierścień, wrzucił do cesarskiej skrzyni pełnej bogactw i rzekł: „Idź, złoto, do złota. My, Polacy, wolimy żelazo".

Niejeden gość arystokraty utracjusza z uznaniem przyjmował również, że przodkiem dumnego ze swoich korzeni gospodarza był Fryderyk Skarbek, XIX-wieczny pisarz, ekonomista i społecznik, jak również człowiek, który trzymał do chrztu Fryderyka Chopina.

Ale najbardziej hrabia Jan dumny był nie z antenatów, lecz z córki. Z tego, że Krystyna (w przeciwieństwie do pierworodnego syna Jana Andrzeja, który wdał się w delikatną, hipochondryczną matkę), choć kobieta, przejęła te cechy, które Skarbków mężczyzn od wieków czyniły wyjątkowymi.

Jeden z uczestników wystawnych przyjęć w Trzepnicy zapamiętał takie oto zdarzenie: popołudnie, impreza w pełni, ale Krysi, która zazwyczaj nie odstępowała ojca na krok, nigdzie nie ma. Pan Skarbek zaczyna się denerwować. Ze zdumieniem odkrywa, że z zagrody zniknął ogier, którego wcześniej nazwał Diabłem, bo wyjątkowo szatański miał charakter. Kopał, gryzł, nikomu dosiąść się nie dał, a jeden z niedoszłych jeźdźców podczas upadku z niesfornego konia połamał sobie obie nogi. Hrabia zarządza konne poszukiwania. Biesiadnicy na próżno przeczesują cały majątek. W końcu jednak drobna i niepozorna Krysia z mysimi warkoczykami zjawia się przed rodzinnym domem. Spokojnie, stępem wjeżdża na Diable przeobrażonym przez nią... w potulnego baranka. Co na to hrabia? Na widok córki puszy się jak paw. I przez myśl mu nie przechodzi, by strofować córkę, której niestraszne diabelskie zwierzę. Bo prawda jest taka, że Skarbek nigdy na Krystynę głosu nie podniósł. Nie zbeształ jej nawet wtedy, gdy z pensji dla grzecznych panien, na której nauczyła się władać językiem francuskim równie dobrze jak polskim, wyrzucono ją za wspinanie się na drzewa i podpalenie sutanny duchownemu.

Tę opowieść o Diable i dziewczynce pewien leśniczy przekazał swojej córce, pisarce Marii Nurowskiej, która wiele lat później o Krystynie Skarbek napisze wznowioną właśnie powieść pod wiele mówiącym tytułem „Miłośnica". Leśniczy (i ochotnik w czasie wojny 1920 roku) opowie też córce o tym, że za sutym stołem w Trzepnicy nigdy nie ujrzał matki Krystyny, bo ta nieustająco leczyła w swoim pokoju migreny wywoływane zapewne hulaszczym trybem życia męża.

Trybem, na który przez wiele lat hrabia mógł sobie pozwolić, bo choć własny majątek dawno przepuścił, los dał mu do przefurgania kolejną fortunę – posag żony Stefanii, córki żydowskiego bankiera. Bogacza, który mógł kupić sobie wszystko, więc dobił targu z hrabią i nabył dla potomków błękitną krew. Dzięki temu na salonach przedwojennej Polski szlachetnie urodzone panie i panowie godzinami mogli plotkować o wołającym o pomstę do nieba mezaliansie arystokraty z Semitką.

Związek syna z rozwódką

Dla Krystyny jednak pochodzenie nie miało wyłącznie wymiaru towarzyskiego. Ojcu wybaczała wszystko, nawet to, że z roku na rok majątek w Trzepnicy się kurczył. Aż w końcu, już po śmierci hrabiego w 1930 roku, zbankrutowaną posiadłość rodzina musiała sprzedać (za resztki tego, co zostało z fortuny Stefanii, udało się kupić mieszkanie w Warszawie). Jednego jednak w zachowaniu ojca Krystyna długo nie rozumiała: dlaczego hrabia, opowiadając swoim gościom dowcipy, tak chętnie przedrzeźniał jidysz, czyli język, którym na co dzień posługiwała się rodzina jej dziadków Goldfederów?

Z czasem dotarło do Krystyny, że jest odmieńcem. Dotarło też do innych.

Witold Gombrowicz w swoich „Wspomnieniach polskich" opisuje pewną smutną przedwojenną anegdotę, której główną bohaterką była Krystyna ze Skarbków: „Zdarzyło się to bodaj przed hotelem Bristol w Zakopanem. Ona mieszkała w tym hotelu i właśnie siedziała przy stoliku na werandzie w towarzystwie rozmaitych osób utytułowanych, gdy wtem przed hotelem stanęła starsza już Semitka, gruba i dość krzyczące ubrana, i – nie widząc siedzącej na werandzie Krysi – jęła wołać na cały głos: – Krysia, Krysia! Towarzystwo struchlało, a najbardziej nieszczęsna Skarbkówna – zamiast odezwać się, udała, że nie słyszy, że to nie o nią chodzi". I dalej: „Trzeba było widzieć to grono ludzi, przecież obytych w świecie: oczy znieruchomiałe, wbite w ziemię, twarze natężone. Wszyscy jak dotknięci z nagła paraliżem".

W tym czasie Krystyna miała przeżyć jeszcze jedno upokorzenie. Była już rozwódką, jej pierwsze małżeństwo z przedsiębiorcą pochodzenia niemieckiego Karolem Gettlichem (poznała go w salonie Fiata w Warszawie, gdzie pracowała jako sekretarka, gdy rodzina straciła pieniądze) trwało zaledwie dwa lata. W Zakopanem, do którego jeździła leczyć zdrowie (w tym samym salonie Fiata z powodu oparów spalin nabawiła się choroby płuc), była już zainteresowana zupełnie innym mężczyzną. Adama poznała na nartach, które uwielbiała. Tak jak uwielbiała Adama, do czasu gdy przystojnego kawalera od-

Światowcy prędzej czy później honorowo godzili się z okrutnym traktowaniem przez Skarbkównę. Wybaczali jej zdrady i gry miłosne

MARIA NUROWSKA

biła Krystynie... jego matka. Wiemy o tym z niepublikowanego eseju Jana Ledóchowskiego, który autor przesłał „Przekrojowi". Tekst częściowo oparł na wspomnieniach swojego ojca Włodzimierza, oficera i działacza podziemnej Polski, który Krystynę poznał podczas wojny. Włodzimierz opowiedział Janowi taką historię: Matka Adama, „poznawszy Krystynę pewnego dnia na popołudniowej herbacie, oświadczyła, że nigdy nie zaakceptuje związku syna z rozwódką. Możemy tylko zgadywać, czy był to rzeczywisty powód niechęci matki, czy chodziło raczej o reputację Krystyny, fakt, że była bez grosza przy duszy, czy też o to, że jej matka była Żydówką".

Zdaniem Marii Nurowskiej zawód miłosny, jaki wtedy przeżyła półkrwi hrabianka, jak też inne przykrości, których doznała w Zakopanem, zmieniły Krystynę jak żadne wcześniejsze doświadczenia. Odtąd nigdy już nie potraktuje poważnie ani życia, ani mężczyzn. Będzie się życiem i mężczyznami bawić, wciągać siebie i innych w różne gry. Aż do utraty tchu, do śmierci z ręki tego, który na reguły gry Krystyny nie chciał się zgodzić.

Ostatecznie (znów w Zakopanem) Skarbkówna pozna tuż przed wojną swojego drugiego męża Jerzego Giżyckiego, pisarza i dyplomatę. W 1939 roku małżeństwo przenosi się do Kenii, gdzie Jerzy został konsulem. Na wieść o wybuchu wojny postanawiają przedostać się do Anglii. Tam w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach Krystynie, której stosunki z mężem stają się powoli chłodne, udaje się przekonać brytyjskie służby wywiadowcze, że może być dla nich przydatna. Po krótkim szkoleniu już 21 grudnia 1939 roku wysłano ją na specjalną misję do Budapesztu.

– Była amatorką, więc musiała mieć dla Brytyjczyków inne zalety – twierdzi doktor Władysław Bułhak, historyk z Instytutu Pamięci Narodowej specjalizujący się w dziejach wywiadu z czasów II wojny światowej. I dodaje, że z pewnością atutem Skarbek było jej arystokratyczne pochodzenie. Zapewniało siatkę prywatnych powiązań z wpływowymi ludźmi z całej Europy.

Jakie to mogły być jeszcze zalety? – Władała biegle kilkoma językami, była wysportowana i nieprzeciętnie inteligentna – dopowiada Michał Komar, pisarz i scenarzysta, badacz życia Krystyny Skarbek. – No i miała wdzięk, któremu mężczyźni nie mogli się oprzeć. Przede wszystkim jednak była nadludzko odważna. Szukała sytuacji granicznych, takich, w których gra się o najwyższą stawkę. Śmiertelnie poważna zabawa z losem. Próbowanie, na ile jeszcze się da...

Na wojnie wielokrotnie dawała temu wyraz. W Budapeszcie udawała polską dziennikarkę. W rzeczywistości jej zadaniem było zarówno zbieranie i przekazywanie wiadomości dla podziemnej Polski, jak i pomoc w przerzucie ludzi przez Tatry na Zachód. W budapeszteńskiej kawiarni Floris spotkała znajomego z przedwojennych czasów. Nazywał się Andrzej Kowerski, był żołnierzem, który na polowaniu stracił nogę, a mimo to skakał ze spadochronem. Odtąd był także kochankiem Krystyny, wieloletnim i wielokrotnie przez nią zdradzanym. Właśnie na Węgrzech poznała też hrabiego Włodzimierza Ledóchowskiego (tego od pamiętników), porucznika, kawalerzystę, który po kapitulacji Polski został przez struktury podziemne wysłany z tajnymi raportami do Budapesztu. Ledóchowski działał w końcu jako stały kurier Związku Walki Zbrojnej. To podczas trzeciej z kolei wyprawy, w kwietniu 1940 roku, w Karpatach Włodzimierz spotkał Krystynę. „Była niesłychanie żywotna, miała piękne migdałowe oczy i czarujący sposób mówienia" – wyjaśnia w eseju opartym na wspomnieniach ojca Jan Ledóchowski. Po przybyciu do Budapesztu, tak się przynajmniej Włodzimierzowi zdawało, byli już ze Skarbkówną w miłosnym, namiętnym związku. Trochę czasu kawalerzyście zajęło, zanim zrozumiał, że w przypadku Krystyny związek niekoniecznie oznaczał parę.

A było to tak: gdy przybyli do Budapesztu, Ledóchowski mieszkał u Krystyny przez kilka dni. W tym czasie do Skarbek wciąż wydzwaniał Kowerski. Ostatecznie zwierzyła się Włodzimierzowi, że żal jej Andrzeja, bo jest kaleką. I dlatego – to właśnie usłyszał Włodzimierz – nie może dłużej Andrzeja ranić, choć jej serce bije już dla innego.

– Ten schemat relacji z mężczyznami Krystyna powielała wielokrotnie – opowiada Michał Komar. – Wiele razy ratowała mężczyznom skórę, za to łamała im serce.

Pukanie do gestapo

Trzeba jednak przyznać, że większość panów, a byli to i Polacy, i Brytyjczycy, a nawet afgański książę, przyjmowała odtrącenie z godnością. – To byli światowcy, dżentelmeni. Prędzej czy później honorowo godzili się z okrutnym ich traktowaniem przez Skarbkównę – dodaje Maria Nurowska. – Wybaczali jej zdrady i gry miłosne. Może dlatego, że większość łączyła z Krystyną nie tylko miłość, ale także przyjaźń. I praca.

Na początku 1941 roku, pół roku po kapitulacji Francji, w Budapeszcie robiło się gorąco. Krystyna z Andrzejem zostali zatrzymani przez tajną policję. Skarbek – przypomnijmy – poradziła sobie w areszcie, udając gruźliczkę w ostatnim stadium choroby (dzięki temu policja wypuściła wtedy też Kowerskiego, uznając miłosiernie, że musi opiekować się umierającą). Wkrótce przejechała granicę ukryta w bagażniku auta angielskiego ambasadora. Za nią jak gdyby nigdy nic w ściągniętym jeszcze z Polski oplu jechał Andrzej.

Po przyjeździe do Londynu kochankowie dostali nowe papiery. Krystyna została Christine Granville, a Kowerski – Andrew Kennedym.

W marcu 1941 roku parę wysłano do Stambułu. Na Bałkanach Krystyna spotkała się z polskim kurierem, który przekazał jej cenne mikrofilmy. Widać było na nich roszady niemieckich wojsk pancernych na wschodniej granicy. Był to dowód, że Niemcy szykują się do ataku na Rosję. Mikrofilmy przekazano Churchillowi.

Z Turcji wywiad brytyjski przesunął Skarbek do Kairu. Przez prawie dwa lata nie przydzielał jej żadnych poważnych zadań. Powód? Na Krystynę padł cień podejrzenia o współpracę z wrogiem, po tym jak się okazało, że jeden z jej polskich współpracowników grał na dwa fronty. W końcu jednak trafiła pod Algier, gdzie nauczyła się skakać ze spadochronem. Ta umiejętność przyda jej się w 1944 roku, gdy Niemcy →

W Kairze Skarbek spędziła prawie dwa lata, *po tym jak brytyjski wywiad zaczął podejrzewać ją o współpracę z niemieckim agentem*



REKLAMA

DNI ECO CUP 6-30 KWIETNIA

TERAZ ZYSKUJESZ, PÓŹNIEJ OSZCZĘDZASZ

Oszczędne silniki HDi teraz w promocyjnych cenach

308

Upust do **9800 zł**

Dodatkowa szacowana oszczędność po 3 latach to nawet **12 742 zł***

3 lata gwarancji*



www.peugeot.pl

PEUGEOT RECOMMENDS TOTAL * Szczegóły na stronie www.peugeot.pl/HDi i w salonach. Model prezentowany na zdjęciu może różnić się od samochodów dostępnych w ofercie. Liczba samochodów ograniczona. Zużycie paliwa: od 4,5 do 8,2 l/100 km, emisja CO_2: od 120 do 194 g/km.

PEUGEOT 308

PEUGEOT MOTION & EMOTION

FOT. MIRRORPIX/BULLS (3), GETTY/FPM, EVERETT/EAST NEWS, SPLASH/EAST NEWS







W rolę wzorowanej podobno na **Krystynie** *(pierwsza z lewej) agentki Vesper Lynd wcieliła się niedawno w „Casino Royale"* **Eva Green** *(w środku). Samej Skarbek zagrać już nie chciała. Być może zastąpi ją ekscentryczna* **Tilda Swinton** *(z prawej)*

→ złapią i zabiją asystentkę Francisa Cammaertsa, szefa ruchu oporu w regionie południowo-wschodniej Francji. Wtedy Brytyjczycy znów przypomną sobie o polskiej hrabiance. We Francji Krystyna (już bez Kowerskiego, któremu wywiad przydzielił inne misje) wyląduje ze spadochronem w lipcu 1944 roku.

11 sierpnia tegoż roku Cammaerts wraz z dwoma towarzyszami wpadnie w ręce wroga. Krystyna jako Pauline Armand dochodzi wówczas do wniosku, że niezależnie od okoliczności musi uwolnić swego nowego dowódcę.

I, rzecz jasna, zrobi to jak zwykle w niekonwencjonalny sposób. W czerwonej sukience zapuka do drzwi Maksa Waema, szefa miejscowego gestapo. Najpierw przekona Niemca, że jest siostrzenicą słynnego brytyjskiego marszałka Montgomery'ego, po czym namówi go (bez większych przeszkód) na jasny i prosty układ: w zamian za uwolnienie Cammaertsa gestapowiec dostanie dwa miliony franków (które faktycznie dostał) oraz gwarancję ocalenia życia po wkroczeniu na jego teren aliantów. A ci, o czym Waem doskonale wiedział, już wylądowali w Normandii. Niemiec nie tylko wypuścił jeńców, którzy czekali na egzekucję, ale jeszcze pożyczył Krystynie samochód, by bezpiecznie przewiozła uwolnionych na aliancką stronę.

Pod koniec sierpnia 1944 roku Krystyna wróciła do Londynu. Wtedy usłyszała o powstaniu warszawskim. Bezskutecznie próbowała namówić przełożonych, by przerzucili ją do Polski. W zamian została odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego, Medalem Świętego Jerzego i francuskim Krzyżem Wojennym.

Męczący pokój

Wojna dobiegała końca. Wiosną 1945 roku służby wywiadowcze zaczęły przygotowywać odprawy dla większości wojennych szpiegów. Krystyna dostała... sto funtów plus osobiste podziękowanie od Winstona Churchilla, który – choć to także niektórzy wkładają między bajki – nazwał ją swoją ulubienicą. To wszystko. – Trzeba jednak przyznać, że Brytyjczycy pamiętają o Skarbek do dziś – mówi historyk, doktor Władysław Bułhak. – Wciąż uważają ją za swoją bohaterkę, a pistolet Christine Granville, polski wis radomskiej produkcji, zobaczyć można na wystawie w Imperial War Museum. Nie ma natomiast wzmianki o tym, że Granville to Skarbek i że była Polką!

Po wojnie Krystyna stała się dla Anglików niewygodna, bo była obywatelką kraju zza żelaznej kurtyny – nie mieszkała na Wyspach wymaganych pięciu lat, dlatego przyznano jej brytyjskie ordery, ale już nie obywatelstwo. Nie potrafiła sobie radzić w warunkach pokoju: miała kłopoty z pracą i życiem osobistym. Kowerski, poniewierany i zdradzany przez Skarbek zbyt często nawet jak na nerwy dżentelmena, przeniósł się do Niemiec. Tymczasem Krystyna rozwiodła się ze swoim papierowym od lat mężem Jerzym Giżyckim.

Bywało, że czuła się samotna, wręcz opuszczona. Pracę miała byle jaką – bywała sprzedawczynią w Harrodsie i pokojówką. Wreszcie została stewardesą na statkach pasażerskich do Afryki. Na jednym z nich poznała irlandzkiego stewarda Denisa Muldowneya.

W przeciwieństwie do swoich poprzedników nie był światowcem ani dżentelmenem. Kiedy w końcu znudziła się prostym Irlandczykiem (ponoć wreszcie poważnie zatęskniła za Kowerskim), ten nie był w stanie zrozumieć gry, w którą wplątała go polska hrabianka. Gry, którą dotąd z pełnym sukcesem prowadziła wielokrotnie – owinąć mężczyznę wokół palca, a potem porzucić.

15 czerwca 1952 roku w podlondyńskim hotelu Shelbourne steward Muldowney zasztyletował Krystynę Skarbek. Natychmiast przyznał się do winy. A potem szybko skazano go na śmierć. Wyrok wykonano.

Ci, którzy do dziś fascynują się losami agentki, w większości są przekonani, że po wojnie nie chciała już żyć, że w gruncie rzeczy przyjęła śmierć jak wybawienie. – Skarbkówna jeszcze przed wojną zwierzyła się mojemu ojcu, że na pewno nie umrze jako stara kobieta w łóżku, bo bardziej niż śmierci boi się starości – wspomina Maria Nurowska.

Czyż to nie dziwne, piękne, ale zarazem dla historii okrutne, że kilku panów w imię dobrego imienia kobiety sprzysięga się przeciwko prawdzie?

MICHAŁ KOMAR

Inni dodają: nie bała się wyzwań jako szpieg i dywersant, przerażało ją zwykłe życie, kawiarniane ploteczki, także o tym, że jest odmieńcem, arystokratką o semickim spojrzeniu, a na dodatek rozwiązłą rozwódką łamiącą wszelkie normy.

Wcześniej, tak przynajmniej wynika ze wspomnień hrabiego Włodzimierza Ledóchowskiego, Kowerski i jeszcze dwaj inni przyjaciele Skarbek zawarli dziwny układ, którego osią miało być cenzurowanie pikantnych wspomnień o Krystynie. Zawiązali nieformalny Komitet Obrony Pamięci Krystyny.

– Czyż to nie dziwne, piękne, ale zarazem dla historii okrutne, że kilku panów w imię dobrego imienia kobiety sprzysięga się przeciw prawdzie? – zastanawia się pisarz Michał Komar, który przez kilkanaście lat próbował losami polskiej agentki zainteresować Telewizję Polską.

Trzeba uczciwie przyznać, że Krystyna Skarbek doczekała się kilku biografii. Najsłynniejszą z nich w latach 70. napisała południowoafrykańska pisarka Madeleine Masson, która na statku spotkała smutną, ale wciąż piękną stewardesę z dziwnym akcentem. A potem przeczytała w gazetach o jej tragicznej śmierci. Problem w tym, że życiorys Skarbek – co potwierdza wielu świadków – podyktowali autorce sprzysiężeni ze sobą dżentelmeni. Krystyna jest w niej jedynie szlachetną, może tylko odrobinę zafascynowaną miłosnymi podbojami kobietą szpiegiem, przede wszystkim jednak kolekcjonerką wojennych przygód.

Zmowa wokół ekscytującego życia półhrabianki i pół-Żydówki zapanowała więc najpierw tam, gdzie umarła. Za to w ojczystym kraju, w którym dorastała, wcale się o niej nie mówiło. Nic dziwnego – w komunistycznej Polsce przez dekady była wrogiem klasowym i agentką obcego wywiadu.

To, rzecz jasna, wydaje się zrozumiałe. Mniej zrozumiałe są powody, dla których wiedzy o jednym z najsłynniejszych i najodważniejszych polskich szpiegów nie poszerzają dziś polscy historycy, którzy milczeć już przecież nie muszą. Dlaczego Skarbek nie mieści się w kręgu ich badawczych zainteresowań? Dlaczego bezskutecznie przez wiele tygodni próbowałam wśród polskich naukowców zajmujących się historią II wojny światowej odnaleźć choćby jednego, którego fascynujące życie Skarbek skłoniłoby do zajęcia się jej losami?

– Historyków na poważnie zajmujących się polskim i brytyjskim wywiadem z czasów wojny nie jest w Polsce wielu i każdy z nich ma mnóstwo pracy – wyjaśnia mi doktor Władysław Bułhak, dodając, że agentów oraz agentek takich jak Skarbek było w tamtych czasach więcej. I o wiekszości już zapomniano. Wielu zginęło, zanim dowiedzieliśmy się o nich prawdy, wielu świadomie milczało do końca życia. By nie być gołosłownym, doktor Bułhak wspomina dwie bohaterki polskiego wywiadu i kontrwywiadu AK – Izabellę Horodecką (wykonywała wyroki śmierci) i Danutę Stępniewską (jedna z bohaterek operacji rozpracowania niemieckich superbroni, głównie rakiety V-2). Obie żyły bez rozgłosu, obie zmarły zaledwie kilka tygodni temu.

– Problemem dla badaczy jest również brak oryginalnych archiwów polskiego wywiadu i częściowo wciąż zamknięte przed nami archiwa brytyjskie – dodaje historyk.

W filmie nadzieja

Czy to wszystko tłumaczy? Czy to tłumaczy choćby fakt, że poza nielicznymi prelekcjami dla młodzieży, na których kilka razy przewinęło się nazwisko Krystyny Skarbek, żaden z ponad stu badaczy IPN nie próbował nawet dowiedzieć się, kim naprawdę była? I czy rzeczywiście robiła rzeczy, o jakich innym kobietom nawet się nie śniło? Czy faktycznie podróżowała z granatami w kieszeniach, a gestapowcy tak po prostu wierzyli jej, że jest siostrzenicą wielkiego brytyjskiego marszałka Montgomery'ego?

Nadziei na zainteresowanie naukowców trzeba więc upatrywać w brytyjskiej aktorce i ekscentrycznej hrabiance Tildzie Swinton, która i mężczyznę zagrać potrafi, i młodszą od siebie o 10 lat agentkę o męskich cechach zapewne też. Nadzieja, rzecz jasna, także w Agnieszce Holland, dla której Krystyna Skarbek jest mimo upływu zdarzeń i lat wciąż nadzwyczaj fascynującą postacią.

– Pełną zaskakujących sprzeczności i tajemnic – wyjaśnia reżyserka. O scenariuszu napisanym już w ogólnym zarysie przez Dominika Rettingera-Wieczorkowskiego (dalekiego krewnego Skarbkówny), a wciąż korygowanym, także przez Holland, wiadomo jeszcze niewiele. Znajdą się w nim na pewno miłość, zdrada i śmierć. Jak też wiele wojennych, mrożących krew w żyłach akcji Skarbkówny i wreszcie opowieść o klubie panów, którzy założyli nieformalny Komitet Obrony Pamięci Krystyny. Po to, by w słusznej zapewne sprawie na wiele dekad prawdziwe życie Krystyny Skarbek wymazać z naszej pamięci. □



W tym tygodniu:
PRAWIE SAME CIEKAWE ARTYKUŁY.
CO UCZONYM W UCHU PISZCZY I DLACZEGO
WĘGORZE WOLĄ SZKOCJĘ OD ANGLII.
WULKANY WOLĄ ISLANDIĘ – HISTORIA
O KATAKLIZMACH, KTÓRE ZATRZĘSŁY HISTORIĄ



Islandzkie wulkany to lep na turystów. *Ale podczas erupcji podziwiają je głównie wulkanolodzy. Wybuch Krafli, 1981 rok*

JAKA PIĘKNA KATASTROFA JOANNA LAMPARSKA

Czasem susza, czasem deszcz

Człowiek panem świata? Wobec sił przyrody jesteśmy często bezbronni. Co by było, gdyby pył znad Islandii zasłonił nam niebo na rok?

ERUPCJA WULKANU EYJAFJALLAJÖKULL, pierwsza od prawie 200 lat, to – jak mówią naukowcy – ledwie dziecinny fajerwerk. Islandia leży na potężnym pęknięciu w skorupie ziemskiej (na pograniczu dwóch płyt tektonicznych – północnoamerykańskiej i euroazjatyckiej) i wręcz buzuje od aktywności wulkanicznej.

Tym razem wybuch sparaliżował ruch lotniczy nad połową Europy i sprowadził czarne chmury nad naszą żałobę narodową, ale czasem igraszki islandzkich wulkanów kończą się prawdziwą katastrofą. Kiedy w 1783 roku wybuchła Laki, wydobywające się przez ponad osiem miesięcy z setki kraterów „smrody Ziemi", jak mawiano przed wiekami, wywołały w Islandii głód. Na wyspie umarło wtedy ponad 10 tysięcy ludzi i jedna czwarta zwierząt hodowlanych. Niebo nad Europą zasnuło się chmurami wulkanicznego pyłu. We Francji podziwiał je Benjamin Franklin, ówczesny ambasador USA. Napisał później, że był to rok, w którym nie było lata.

Kolejny brak lata kroniki odnotowały w 1816 roku, kilkanaście miesięcy po wybuchu wulkanu Tambora w Indonezji. Pył przykrył niemal całą kulę ziemską, i to prawie na rok. Odciął dopływ promieni słonecznych i czasowo schłodził klimat, wywołując głód w Europie i Ameryce Północnej.

Zaćmienie

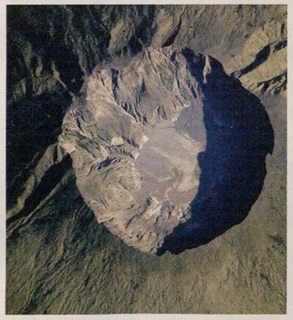
Przyroda, nieprzewidywalna i nieujarzmiona, w kilka sekund potrafi odwrócić porządek dziejów. Nie bez przyczyny potop jest jednym z najważniejszych wątków Biblii. Przed wiekami człowiek bacznie przypatrywał się też niebu, łącząc wszelkie niewytłumaczalne zjawiska z nadchodzącymi, bliżej nieokreślonymi katastrofami.

Dziś możemy jedynie się domyślać, co oznaczają przerażające zapisy w starych kronikach. W 1769 roku reformaci krakowscy zanotowali, że „chmura na kształt ognia czerwona cały Kraków okryła jasnością takową, że każdy mógł pisać i czytać, miasto zaś zdawało się jakby we krwi zmoczone lub się paliło". Pewnie była to po prostu chmura burzowa podświetlona przez zachodzące słońce, ale uznano ją za znak, który zwiastował nadejście zarazy. Podczas epidemii dżumy w 1565 roku we Włoszech „w dzień i w nocy słychać było pomruki grzmotów, jakby na wojnie, wraz ze zgiełkiem i hałasami wzniecanymi przez potężną armię", w Niemczech zaś mówiono o „hałasie, jakby ulicami przejeżdżał karawan". Znowu burza?

Od najdawniejszych czasów ludzie wierzyli też, że na to, co dziś nazywamy ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi, można wpływać modlitwą. Na przykład Aztekowie składali ofiary z ludzi w intencji dobrej aury.

Nawet zwykłe, jak się dziś wydaje, zaćmienie Słońca wpływało na losy świata. Herodot, grecki historyk z V wieku przed naszą erą, pisał w niezwykle barwnych „Dziejach" o długoletniej wojnie między Medami a Lidyjczykami. W szóstym roku walk, kiedy wojna zdawała się nie kończyć, „dzień nagle ustąpił przed nocą". Już wcześniej tę niezwykłą przemianę zapowiedział Tales z Miletu, jednak dla walczących stron nie była to informacja naukowa, lecz jasny sygnał, żeby zawrzeć pokój.





I po lecie. *10 kwietnia 1815 roku indonezyjska Tambora okryła świat wulkanicznym smogiem i na długie miesiące przyćmiła Słońce. Jej krater ma kilometr średnicy. Na jego dnie jest jezioro*

FOT. CORBIS, SZ PHOTO/FORUM, AFP/EAST NEWS, AKG/EAST NEWS, GETTY/FPM

Wieki później Krzysztof Kolumb wykorzystał zaćmienie Księżyca. W 1504 roku, kiedy zmęczony osiadł z załogą na mieliźnie na północ od Jamajki, zabrakło mu jedzenia. Tubylcy, którym marynarze zdążyli splądrować kilka wiosek, nie chcieli pomóc. Kolumb, korzystając z tablic astronomicznych, postraszył ich więc, że „zabierze Księżyc z nieba". Kiedy groźba nie podziałała, 29 lutego „spełnił ją" i oświadczył tubylcom, że może teraz wymodlić uwolnienie Księżyca. Przerażeni tubylcy przynieśli mu żywność.

Kamikaze

Kiedy w 9 roku naszej ery Warus, rzymski namiestnik Germanii, podjął próby ekspansji w kierunku Łaby, nie przypuszczał, że nawet pogoda stanie mu naprzeciw. Około 30 tysięcy ciężkozbrojnych legionistów wkroczyło na ziemie zamieszkiwane przez plemiona Cherusków, ci zaś umiejętnie wciągali Rzymian w coraz trudniejszy teren. Kiedy w Lesie Teutoburskim wybuchła rozstrzygająca bitwa, rozpętała się burza.

Tacyt, rzymski historyk z przełomu I i II wieku, opisuje, że na głowy legionistów runęły niezwykle silne wyładowania atmosferyczne, wichura, nawałnica, zatrzęsła się ziemia. Z nieba leciał grad o wielkości ptasich jaj, pioruny rozłupywały pnie drzew, grzebiąc pod sobą walczących. Rzymianie brnęli w śliskim błocie. I kiedy błagali bogów o litość, Cheruskowie dziękowali Thorowi za dobry znak i zapowiedź zwycięstwa. Leśne brudne strumienie, które zrodziła ulewa, spłynęły krwią, a starcie zakończyło się masakrą legionów.

Ciała i kawałki drewna pokryły wodę tak grubą warstwą, że można było po nich przejść z jednego brzegu na drugi

Dzisiaj bitwa w Lesie Teutoburskim uważana jest za jedną z najważniejszych w historii. Była punktem zwrotnym w rzymskich próbach podboju Europy Środkowej. Kilkaset lat po tym wydarzeniu kanclerz Otto von Bismarck wzniósł w jej miejscu pomnik wodza Cherusków. Gdyby granica cesarstwa rzymskiego oparła się aż na Łabie, dzieje całego kontynentu potoczyłyby się inaczej. Wszystko przez burzę?

„Wszystko przez pogodę" – tak już bez żadnych wątpliwości mógł powiedzieć Kubilaj Chan, wnuk słynnego Czyngis-chana, kiedy zdruzgotany wycofywał się po nieudanej próbie podboju Japonii.

W 1259 roku Kubilaj został chanem mongolskim, a 20 lat później cesarzem Chin. Gdy Japonia odmówiła złożenia mu hołdu, postanowił wymusić go zbrojnie. Ale jakby powiedział Wergiliusz, „bogowie zdecydowali inaczej".

W końcu 1280 roku Kubilaj zebrał armadę, jakiej do tej pory świat nie widział. Na Japonię ruszyło dziewięć tysięcy okrętów. Cesarz zdobywał mniejsze wyspy, następnie rozproszył wojska wzdłuż wybrzeży Japonii. Miesiące walk powoli wykańczały obrońców. 15 sierpnia 1281 roku, gdy flota Kubilaja postanowiła zadać Japończykom decydujący cios, rozpętał się tajfun. Wiatr uderzył z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę.



Bitwa w Lesie Teutoburskim. *Germańscy bogowie od pogody wygrali z rzymskimi?*

„Wszystko wpadło w wir wodny, nawet największe okręty kręciły się jak dziecinne zabawki na grzbietach wielkich jak góry fal. Na pokłady zwaliły się tony wody, zmywając z nich wszystko, co żywe i martwe. Konie zerwały się z uwięzi i skakały za burtę, ludzie chwytali się lin, aby w następnej sekundzie rozbić się o bok statku. Błyskawice waliły nieustannie, oświetlając upiornym blaskiem scenerię; potężną armadę zatapianą przez szalejący tajfun – pisze Erik Durschmied w książce „Jak pogoda zmieniała losy wojen i świata", opierając się na dawnych obrazach przedstawiających bitwę. – Okręty stłoczyły się i zaczęły wzajemnie zgniatać, zaś ciała ludzi i kawałki drewna pokryły wodę tak grubą warstwą, że można było przenieść się z jednego brzegu na drugi".

Mnisi shinto, którzy wierzyli, że tajfun był rezultatem ich modlitw, nazwali go „boskim wiatrem" – kamikaze.

Zamarzło

Kubilaj był tylko jednym z wielu władców, którym natura pokazała swą potęgę. W 1812 roku zima powstrzymała marzącego o podboju Rosji Napoleona. Dowodzeni przez marszałka Michaiła Kutuzowa obrońcy zastosowali taktykę spalonej ziemi. Gdy armia francuska weszła w głąb Rosji, praktycznie nie miała co jeść. Mróz i śnieg dobiły wojska cesarza Francuzów.

Prawie 130 lat później straszna rosyjska zima zatrzymała niezwyciężoną armię niemiecką. Jesienią błyskawicznie posuwające się dotąd wojska Hitlera utknęły w błotach Rosji. Zawodziły dostawy żywności, amunicji i paliwa. Zimą temperatura zaczęła spadać w nocy do minus 30 stopni C, w dzień podnosiła się do minus 20. Nieprzygotowani na taki mróz Niemcy nie mieli ciepłej odzieży. Paliwo i oleje silnikowe gęstniały tak bardzo, że nie mogli uruchomić czołgów i transporterów. Na początku grudnia 1941 roku do mrozu dołączyły śnieżyce. Po pierwszym roku wojny na Wschodzie zginęło ponad 200 tysięcy żołnierzy. Rannych zostało 725 tysięcy, a niezdolnych do walki na skutek odmrożeń było ponad 112 tysięcy Niemców.

Zima uratowała Związek Radziecki.

Słońce, woda, ziemniaki

Nie trzeba jednak wojen, by przyroda pokazała, jak maluczki jest przy niej człowiek. W 1556 roku w trzęsieniu ziemi w chińskiej prowincji Shaanxi zginęło 830 tysięcy osób. Trzęsienie ziemi w Lizbonie 1 listopada 1755 roku zabiło 90 tysięcy mieszkańców. W potężnej powodzi w Chinach w 1931 roku życie straciły 4 miliony ludzi. Susze, które nawiedziły Indie między 1965 a 1967 rokiem, zabiły 1,5 miliona osób. Wcześniej w Chinach uśmierciły 30 milionów mieszkańców. Długotrwały brak deszczu był jedną z przyczyn upadku Starego Państwa, czyli najwcześniejszej fazy cywilizacji egipskiej.

W Irlandii po upalnym lipcu 1845 roku przyszło załamanie pogody. Ulewy i chłody zmniejszyły zbiory ziemniaków, podstawowego pożywienia na Zielonej Wyspie. Wybuchła zaraza ziemniaczana. Kartofle gniły na polach. Aby oszukać głód, Irlandczycy piekli chleb z wiórów i gotowali zupy z kleju, który udało się zdrapać z tapet. Zaczęła się epidemia tyfusu. Zmarło 1,5 miliona ludzi, ponad milion wyemigrował. Z 9 milionów mieszkańców w 1845 roku sześć lat później w Irlandii zostało 6,5 miliona.

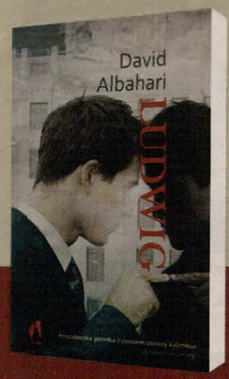
„Cztery wulkany i pogrzeb" – ktoś „dowcipnie" skomentował w Internecie tekst o parku Yellowstone w USA, jeziorze Taupo w Nowej Zelandii, Campi Flegrei we Włoszech oraz wyspach na Morzu Egejskim, czyli czterech miejscach, w których notuje się największą aktywność wulkaniczną na świecie.

Zapobiegliwi, którzy boją się końca świata, mogą wykupić miejsce w jednym z 20 rozsianych po USA schronów. Ponoć da się w nich przetrwać trzęsienie ziemi, dwudziestodniowy potop i uderzenie planetoidy. Prycza kosztuje 40 tysięcy dolarów, a za darmo można zabrać psa czy kota.

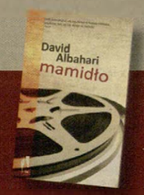
Współpraca Piotr Kałuża

REKLAMA

David Albahari
LUDWIG



To nie tylko znakomite studium „podwójnie złożonej" duszy pisarza, lecz także portret Belgradu – miasta, które jednocześnie przyciąga i odpycha, koi i rani, niesie życie i śmierć.



MAMIDŁO

www.wab.com.pl

W.G. Sebald
CZUJĘ. ZAWRÓT GŁOWY



To być może najbardziej zagadkowe w tej tajemniczej książce: czyta się ją z radosną ekscytacją, choć jej tematem jest zwątpienie i strata.

„The San Francisco Chronicle"



AUSTERLITZ WYJECHALI PIERŚCIENIE SATURNA

Co słychać?

Czy można usłyszeć dawno przebrzmiałe dźwięki? Naukowcy znaleźli sposób na sięgnięcie uchem miliardy lat wstecz

PRAODGŁOSY PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJA JAKUB JABŁOŃSKI

Twardy krok rzymskich legionów, „Nie niszcz moich kół!" Archimedesa, „O tempora! O mores!" Cycerona. Ostatnie nuty grane przez orkiestrę z „Titanica" lub świst ostrza rewolucyjnej gilotyny. Czy dźwięki, które tworzyły naszą historię, zniknęły na zawsze? Jeden z ojców radia Guglielmo Marconi stwierdził, że wciąż trwają, i pod koniec życia podjął próbę wytropienia dźwiękowych śladów przeszłości.

Pomysł jest niepokojąco ciekawy – każdy dźwięk to rozchodząca się fala, która stopniowo słabnie. Ale czy zanika? Kamień wrzucony do wody wywołuje kręgi, które odbijają się od brzegu, powracają i stają się coraz mniej widoczne, ale (teoretycznie) nigdy całkiem nie giną. Podobnie dziać się musi z falami dźwiękowymi. Choć szybko słabną i ludzkie ucho przestaje je słyszeć, cząsteczki powietrza drgają jeszcze długo i gdyby udało się te wibracje jakoś wychwycić, być może zdołalibyśmy usłyszeć naszą odległą historię.

Podsłuchiwanie bakterii

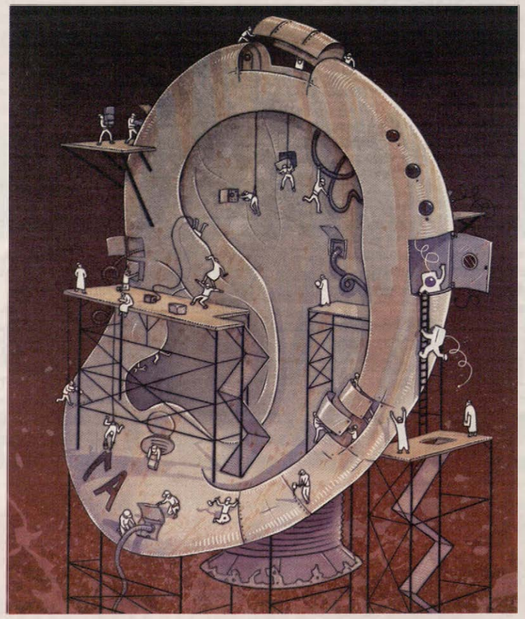
Pomysł Marconiego, mimo że pozostaje tylko myślową zabawą (dźwiękowe drgania cząsteczek giną w naturalnym drżeniu atomów), bardzo przypomina badania brytyjskich naukowców z uniwersytetów Glasgow i Oksford oraz National Institute for Medical Research w Mill Hill. Chcieli oni usłyszeć dźwięk tak delikatny, że porównać go można z echem słów Cycerona. To hałas wytwarzany przez wić służącą niektórym bakteriom (w tym *Escherichii coli*) do poruszania się. Struktura ta ma grubość 20-krotnie mniejszą od długości fali świetlnej i potrafi wirować z prędkością dwóch tysięcy obrotów na minutę. Oczywiście nawet całe stado *Escherichii* nie narobi huku, ale naukowcy opracowali urządzenie tak czułe, że podsłuchać potrafią nawet pojedynczą bakteryjną komórkę.

Tradycyjne mikrofony nie zdają tu egzaminu, ich działanie opiera się bowiem na membranie, która jest poruszana przez drgające powietrze. Tymczasem siłę wytwarzaną przez wymachującą swoim chwościkiem bakterię mierzy się w pikoniutonach – jednostkach opisujących oddziaływanie milion razy słabsze niż to, jakie wywiera ziarnko soli na stół, na którym leży. Membrana, która miałaby wychwycić takie dźwięki, musiałaby być znacznie delikatniejsza niż sama wić bakterii, a takie struktury leżą daleko poza granicą technicznych możliwości.

Zastosowano więc inny sposób – optyczną pęsetę, czyli otoczenie podsłuchiwanej bakterii wieńcem drobniejszych od niej mikroskopijnych cząstek plastiku. Każda z nich oświetlona zostaje wiązką lasera, która jest w stanie zarejestrować najdelikatniejsze drgnięcie. Gdy bakteria zaczyna się poruszać, ciecz, w której pływa, przenosi wibracje wici, a laser wychwytuje ruch plastikowych punkcików. Wystarczy tylko wzmocnić drgania i przenieść je do głośnika.

Na tej samej zasadzie można podsłuchać również inne ruchy w mikroświecie – w Internecie zamieszczono dźwięk wytwarzany przez obiekty poruszane ruchami Browna. Jeżeli ktoś nie pamięta, są to chaotyczne drgawki drobin zawieszonych w cieczy lub gazie wywołane zderzeniami z wiecznie poruszającymi się cząsteczkami wody.

Jeśli właśnie zaczynasz się zastanawiać, czy naukowcy nie mogliby wydawać pieniędzy podatników w trochę bardziej sensowny sposób, spieszymy z wyjaśnieniem. Molekularny mechanizm napędowy bakteryjnej wici to szczyt marzeń speców od nanotechnologii – dość powiedzieć, że ten komórkowy silnik może osiągać 17 tysięcy obrotów na minutę. Trudno jednak obserwować go w ruchu – mikroskop optyczny jest tu bezradny, a w elektronowym widać tylko unieruchomione obiekty. Tymczasem podsłuch to doskonałe rozwiązanie – jak lekarski stetoskop. Dzięki niemu z pozoru nieciekawie brzmiące dźwięki stają się – po zinterpretowaniu przez fachowca – idealnie bezinwazyjną metodą diagnostyczną.



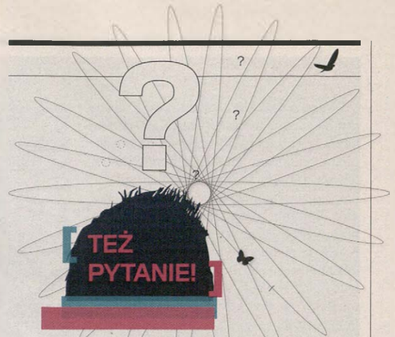
Słońce w pociągu

Podsłuch w nauce sprawdza się równie dobrze w skali najmniejszych drobin, jak i największych znanych nam struktur. Oczywiście czasem potrzebujemy specjalnego tłumaczenia, na przykład gdy chcemy usłyszeć Słońce. Jego powierzchnia drga w wolnym, zmiennym rytmie o częstotliwości około trzech milihercówów. To tak, jakby membrana głośnika wykonywała jeden ruch przez prawie pięć minut. Tak niskiego dźwięku usłyszeć nie sposób (tym bardziej że musielibyśmy zanurzyć ucho w słonecznym gazie), więc naukowcy przyspieszyli go sto tysięcy razy.

Jak brzmi śpiew Słońca? Jak szum, który słychać w słuchawce, gdy ktoś, kto jedzie przez tunel starym pociągiem, niechcący do nas zadzwoni, podczas gdy zostawiając telefon w kieszeni. I znów to, co dla laika brzmi mało porywająco, naukowiec podda analizie i dowie się sporo o budowie wewnętrznej niewidocznej części gwiazdy.

Ale co tam bakterie czy słońca! Marzeniem Marconiego było usłyszeć historię. Ekstremalną wersję tego wyzwania podjął profesor Mark Whittle z University of Virginia. Przetłumaczył na dźwięki mapę promieniowania mikrofalowego – obraz tego, co działo się w kosmosie od chwili Wielkiego Wybuchu. Tak oto Whittle wygenerował dźwięk, który wreszcie spełnia nasze oczekiwania. Pierwsze pięć miliardów lat Wszechświata zamknięte w pięciu sekundach to narastający ryk kończący się szumem i sykiem rodzących się gwiazd. Tak powinna brzmieć historia – Marconi byłby szczęśliwy. □

Wszystkie opisane dźwięki będzie można usłyszeć na stronie **www.przekroj.pl**



Też pytanie!... z 1945 roku.

Już w pierwszych numerach „Przekroju" raczkował dział „Cywilizacja". W rubryce „Czy wiesz o tym..." redakcja przedstawiała odpowiedzi na niecodzienne pytania. Czy wiele się zmieniło przez 65 lat? Zdecydujcie sami

URSZULA DĄBROWSKA

1. DLACZEGO WĘGORZE NIE PŁYNĄ PRZEZ KANAŁ LA MANCHE?

1945: Węgorze, wracając z Oceanu Atlantyckiego z tarła, nie płyną do Bałtyku przez kanał La Manche, tylko opływają Anglię wokół Szkocji. Kanał La Manche powstał dopiero przed kilkudziesięciu tysiącami lat i konserwatywne węgorze jeszcze się do tego nie przyzwyczaiły.
2010: Węgorze to nieodgadnione ryby. W drodze na tarło pokonują tysiące kilometrów między wodami w głębi lądu w Europie a Morzem Sargassowym na środkowym Atlantyku. No i jeszcze nikt nigdy nie widział, jak dorosłe osobniki się rozmnażają. Młode formy ryb (małe przezroczyste larwy) przez blisko dwa–trzy lata wracają do Europy. Faktycznie większość z nich opływa Wielką Brytanię od północy. Czy to konserwatyzm? Raczej konformizm – małe ryby są po prostu wygodnickie i korzystają z prądów morskich: Golfsztromu, Prądu Północnoatlantyckiego i Norweskiego, które opływają Europę od zachodu i północy.

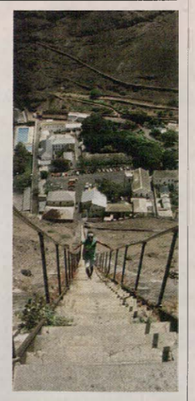


2. KTÓRY PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH DOPIERO PO ŚLUBIE NAUCZYŁ SIĘ CZYTAĆ I PISAĆ?

1945: 17. prezydent Andrew Johnson był ubogim krawcem. Dopiero od swojej żony nauczył się sztuki czytania i pisania.
2010: Rzeczywiście Johnson nie otrzymał żadnej formalnej edukacji. Jako dziecko zarabiał na życie i sam uczył się czytać. Elisabeth, którą poślubił w wieku 18 lat, rozwinęła jego umiejętności. Podobno nie było to zresztą aż tak konieczne, bo Andrew braki nadrabiał zdolnościami oratorskimi.

3. GDZIE ZNAJDUJĄ SIĘ NAJDŁUŻSZE SCHODY NA ŚWIECIE?

1945: Na Wyspie Świętej Heleny, gdzie więziony był Napoleon, i liczą 749 stopni. Zwane drabiną Jakubową schody prowadzą z przystani do miasta. Co roku odbywają się na nich wyścigi.
2010: Dziś według Księgi rekordów Guinnessa najdłuższe są serwisowe schody wzdłuż kolejki linowej na górę Niesen w Szwajcarii. Liczą 11 674 stopnie i są zamknięte dla turystów. Raz w roku organizuje się na nich wyścig. Najszybszy mężczyzna wbiegł po nich na górę w godzinę i dwie minuty, co oznacza, że pokonywał ponad trzy stopnie na sekundę.



FOT. CORBIS, REUTERS/FORUM

Idealny klimat dla doskonałego smaku win

Szlachetne wina najlepiej uwalniają smak i bukiet w odpowiedniej do degustacji temperaturze. W nowej chłodziarce do win Liebherr do zabudowy pod blatem można równocześnie przechowywać wina czerwone i białe w optymalnych do serwowania temperaturach. Temperaturę w dwóch oddzielnie regulowanych strefach można ustawiać w zakresie od 5 °C do 20 °C, z dokładnością do jednego stopnia.



Dystrybutor w Polsce:
AGED Sp. z o.o.
05-800 Pruszków, ul. 3 Maja 8
tel: (022) 73 83-111 do -116, fax: -119
e-mail: aged@aged.com.pl, www.aged.com.pl

www.liebherr.pl

LIEBHERR

Więcej radości ze świeżości

KORZYSTAJ

MOTORYZACJA
REKREACJA
SATYSFAKCJA
INWESTYCJA
NAWIGACJA

Jeden ślad na każdą okazję

DWA KOŁA

Dawno, dawno temu tym samym motocyklem jeżdżono na małe wycieczki, w wielkie podróże i ścigano się po torze. Motor był dobry na każdą okazję: lekki, prosty, ekonomiczny. Wystarczyła rama z kilku rur, dwa koła i umieszczony gdzieś między nimi silnik, by z rozwianym włosem wyruszyć w drogę. Dzisiaj, choć włosy są ciasno upchnięte pod kaskiem, wielu wciąż uważa, że jazda motocyklem to najprzyjemniejsza rzecz, jaką można robić w ubraniu.

Jednoślady w ciągu stu lat swego istnienia zmieniły się nie do poznania. Ze zgrzebnych i niewygodnych jeździków stały się cudami technologii, nowoczesnymi i wygodnymi pożeraczami drogi. Ich ewolucja poszła też w kierunku wielkiego zróżnicowania – uwzględniając wymagania nabywców, inżynierowie opracowali konstrukcje dopasowane do najrozmaitszych zadań, potrzeb i wymagań. Dziś nie ma jednego, najlepszego motocykla na świecie. Dwukołowe pojazdy są różne, tak jak różni są ludzie, którzy je kupują.

– Dariusz Dobosz



W tym tygodniu:
NA MOTORACH MAŁYCH I DUŻYCH, SZYBKICH I DOSTOJNYCH PRZEMIERZAMY ODLEGŁE KRAJE, POKONUJEMY WĄSKIE ULICZKI ZAKORKOWANYCH MIAST I RELAKSUJEMY SIĘ, PODZIWIAJĄC KRAJOBRAZY

Motocykle są wszędzie

ORIENTUJ SIĘ

NAPIS O TEJ TREŚCI coraz częściej pojawia się na samochodach, uzmysławiając kierowcom, że nie są na drogach sami. Obok nich jeżdżą jednoślady, które czasami zdają się pojawiać dosłownie znikąd.

Dookoła świata

Jesteś żądny przygód i wymyśliłeś sobie szaloną wyprawę motocyklem? Proszę bardzo. Jednoślady pozwalają dotrzeć w niemal każdy punkt kuli ziemskiej

Honda Gold Wing GL 1800 Mówią o nim „kredens" albo „salon na kołach". Początkowo Honda przypisywała mu rolę motocykla sportowego, ale Gold Wing jest wręcz stworzony do wielkiej turystyki. Od debiutu w 1974 roku jego konstrukcja ewoluowała. W końcu stał się długodystansowcem z prawdziwego zdarzenia.

Nie ma w nim miejsca na nudę i zmęczenie. System audio, tempomat, podgrzewane fotele, nawigacja satelitarna, kufry bagażowe o łącznej pojemności ponad 140 litrów, regulowane pneumatycznie zawieszenie – wszystko to czyni z niego prawdziwą limuzynę. Kanapy bardziej przypominają skórzane fotele z biznesowego klubu, a silnik pracuje niemal bezgłośnie i bez wibracji, bo to jedyny produkowany sześciocylindrowiec. Czy potrzeba czegoś więcej, by objechać świat po asfalcie?

Poj. skok. **1832 cm³**, moc maks. **119 KM**, 0–100 km/godz. **4,2 s**, V-Max **200 km/godz.**, **cena 111 900 zł**



BMW R 1200 GS Adventure
Czy ten sam motocykl może sprawnie pokonać dziurawą azjatycką szosę, argentyńską pampę, pustynne tereny Arizony i bezdroża Australii? Tak, ale musi to być R 1200 GS Adventure. Jego solidne i wysokie zawieszenie przeżyje najtrudniejsze drogi, mocarny silnik wyciągnie z każdej opresji, a olbrzymi zbiornik paliwa (33 litry) ułatwi poruszanie się tam, gdzie stacje benzynowe należą do rzadkości. Adventure to dwukołowy wóz pancerny z oponami o grubym bieżniku, ze stalowymi płytami osłaniającymi silnik i rurową konstrukcją chroniącą przed skutkami upadków. Silnik R 1200 GS w swej zasadniczej konstrukcji nie zmienił się od dziesięcioleci. To dopracowana i niezawodna konstrukcja, która dzięki systematycznym modernizacjom wcale się nie starzeje.

Poj. skok. **1170 cm³**, moc maks. **110 KM**, 0–100 km/godz. w **3,9 s**, V-Max **210 km/godz.**, **cena 60 500 zł**

Yamaha TDM 900
Mariaż motocykla szosowego z terenowym był w 1990 roku sporą sensacją. Pomysł wprowadzenia wysokich zawieszeń do klasycznego jednośladu osadzonego na typowo sportowej ramie aluminiowej wydawał się szatański. A jednak sprawdził się i Yamaha TDM produkowana jest do dzisiaj, ciesząc się powodzeniem wśród tych, którzy chcą podróżować nie tylko po utwardzonych drogach. TDM można pędzić niczym sportowym bolidem, dopóki pod kołami jest asfalt. Gdy go zabraknie – pędzisz dalej po bezdrożach. Czy to nie świetny plan na długą wyprawę w nieznane? Jeśli nawet nie dookoła świata, to przynajmniej dookoła kontynentu. Aha, miast omijać przy tym nie trzeba, bo TDM niestraszne są ciasne uliczki, dziury w jezdni, krawężniki i kostropate torowiska tramwajowe.

Poj. skok. **897 cm³**, moc maks. **86 KM**, 0–100 km/godz. **3,9 s**, V-Max **210 km/godz.**, **cena 44 900 zł**



To samo prawo, inne możliwości

MOTOCYKLE SĄ ZNACZNIE WĘŻSZE od samochodów, a ich kierowcy z tego korzystają. W korku omijają auta, czego przepisy ruchu drogowego nie zabraniają. Kodeks dopuszcza bowiem wyprzedzanie zarówno z prawej, jak i lewej strony w warunkach miejskich przy dwóch lub trzech pasach ruchu. Ustępowanie miejsca jednośladom jest mile widziane, ale tylko wtedy, gdy nie stwarza zagrożenia dla innych. Zbyt gwałtowne ruchy mogą spłoszyć motocyklistę i zmusić go do ryzykownego nagłego hamowania. Kierowcy aut powinni też pamiętać, że przepisy ograniczają prędkość maksymalną, ale nie zabraniają motocyklom gwałtownego przyspieszania. Siedząc w samochodzie, zachowaj więc czujność, wyjeżdżając z drogi podporządkowanej czy z parkingu.

Dla relaksu

Jazda na motocyklu jest równie miła jak golf, bilard czy gry komputerowe. Po nerwowym dniu w robocie daje porządnego kopa albo pozwala się totalnie wyluzować. Co kto lubi

BMW S 1000 RR
Do 2009 roku BMW nie brało udziału w wyścigu zbrojeń, który od wielu lat toczy się w klasie najmocniejszych sportowych maszyn. Ogromny potencjał technologiczny oraz duże doświadczenie wyniesione ze startów w Formule 1 pozwoliły jednak niemieckiemu koncernowi skonstruować motocykl przewyższający nowoczesnością i osiągami zarówno japońskie, jak i włoskie maszyny.

Mocną stroną S 1000 RR jest jednak nie tylko najwyższa na świecie moc jednostkowa silnika (liczona z jednego litra pojemności), ale także niezwykle mały ciężar. Stosunek mocy do masy jest znakomity i pozwala szokować na torze wyścigowym. I to nawet tym mniej doświadczonym, bo S 1000 RR wyposażono w rzadko spotykany system kontroli trakcji.

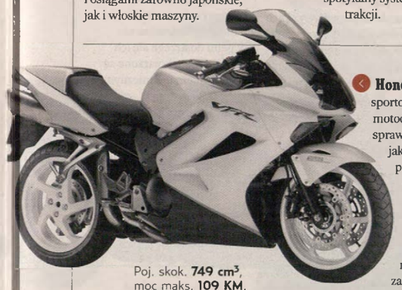
Poj. skok. **999 cm³**, moc maks. **193 KM**, 0–100 km/godz. **2,9 s**, V-Max **270 km/godz.**, **cena 63 500 zł**



Yamaha WR 250 R Rzadko się zdarza, by motocykl dostępny w salonach dla każdego był tak blisko spokrewniony z modelem wyczynowym. A to właśnie dzięki temu na WR 250 można się wybrać na najtrudniejszy tor motokrosowy i przeżyć ekstremalne przygody. Sportowy rodowód jednośladu pozwala mu radzić sobie z najbardziej stromymi podjazdami, najdłuższymi skokami i najtwardszymi lądowaniami. Wysokie zawieszenie umożliwia skok kół aż o 27 centymetrów, tylko o 3 centymetry mniej niż w WR 250 startujących w wyczynowych imprezach. Aluminiowa rama, ewenement w maszynach terenowych, zapewnia dobrą stabilność przy niskiej masie.

Poj. skok. **250 cm³**, moc maks. **31 KM**, 0–100 km/godz. **7,2 s**, V-Max **141 km/godz.**, **cena 28 900 zł**

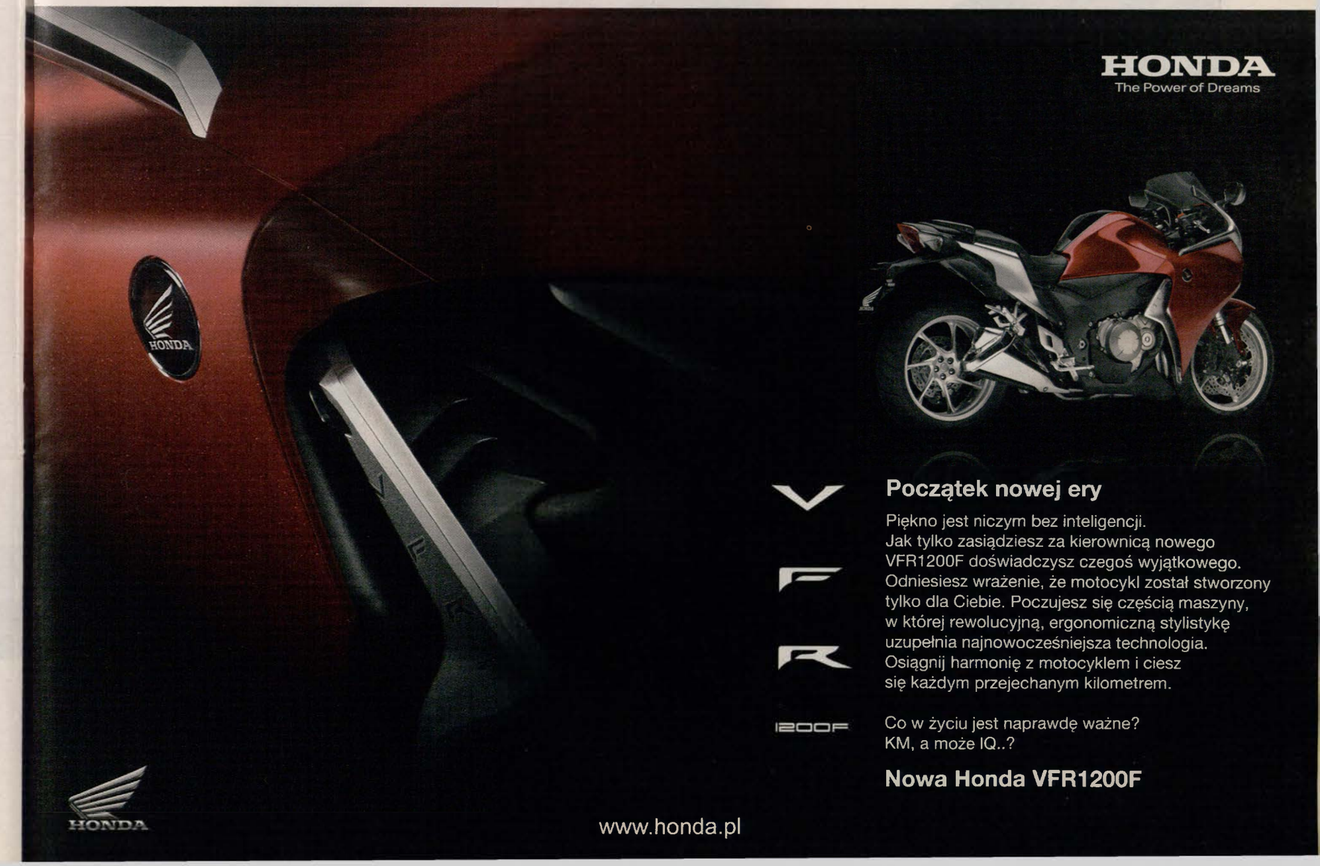




Honda VFR 800 Oto legenda wśród maszyn sportowo-turystycznych, jeden z nielicznych motocykli z silnikiem V4. Uniwersalność pozwalająca sprawnie podróżować zarówno po autostradach, jak i krętych drogach, mocny silnik, łatwość prowadzenia, wygodna pozycja kierowcy – to cechy przyciągające do VFR rzesze fanów od premiery w 1986 roku aż do dzisiaj. Uwielbiają oni też jej nowinki technologiczne: jednoramienny wahacz, przy którym wymiana tylnego koła staje się dziecinnie prosta, rozrząd napędzany nie łańcuchem, lecz kołami zębatymi zapewniającymi silnikowi pracę z ogromną precyzją czy zmienne parametry rozrządu, dzięki którym ten sam silnik umożliwia zarówno sportową, jak i relaksacyjną jazdę.

Poj. skok. **749 cm³**, moc maks. **109 KM**, 0–100 km/godz. **3,7 s**, V-Max **244 km/godz.**, **cena 51 900 zł**

REKLAMA



Do pracy

Korki? Nie dla motocyklisty! Jednoślad pozwala sprawnie przedrzeć się przez zapchane miasto, omijając samochody ślimaczące się po ulicach



Suzuki Bandit 1250 To motor dla ludzi, którzy potrzebują maszyny prestiżowej i po prostu nie wypada im siadać na mały jednoślad. To prawda, że większy i cięższy dwukołowiec nie jest już tak sprawny w wielkiej aglomeracji jak mniejsze maszyny. Ale na gabaryty i wyższe zużycie paliwa warto się zgodzić w imię większego prestiżu.
Bo ważący nawet 254 kilogramy Bandit to wciąż jednoślad i pozwala stawić czoło ulicznym zatorom. Wygodny, dynamiczny, wyjątkowo trwały, prosty w budowie i obsłudze. Nie znajdziemy tu technicznych fajerwerków, ale w ulicznych zaułkach nie mają one przecież wielkiego znaczenia. Bardziej liczy się to, że otwarcie przepustnicy na dowolnym biegu wciska kierowcę w siodło i gwałtownie prostuje mu ręce.

Poj. skok. **1255 cm³**, moc maks. **98 KM**, 0–100 km/godz. **3,2 s**, V-Max **230 km/godz.**, **cena 35 000 zł**

Coraz bezpieczniej

PODNOSZENIE POZIOMU BEZPIECZEŃstwa motocykli jest dużo trudniejsze niż w autach, ale kilka ważnych zabezpieczeń już wprowadzono. Najpopularniejsze są układy przeciwpoślizgowe: ABS (przy hamowaniu) i układ kontroli trakcji (przy przyspieszaniu). Gorzej wygląda sytuacja z poduszkami powietrznymi. W większości jednośladów nie można ich zamontować, tak by nie stanowiły zagrożenia dla kierowcy. Jedynie Honda Gold Wing GL 1800 – duży, stabilnie poruszający się pojazd generujący mało drgań – zapewnia odpowiednie oddalenie kierowcy od poduszki. Motocykliści korzystają za to ze specjalnych kurtek, które w ułamku sekundy podczas upadku lub zderzenia zostają napompowane (po uruchomieniu przez zakładaną na kierownicę linkę). Natomiast sprzęgło typu antihopping zapobiega blokowaniu tylnego koła podczas zbyt gwałtownej redukcji biegu. Stosuje się je głównie w szybkich motocyklach sportowych z silnikami o dużej mocy, gdzie ryzyko takiego zdarzenia jest największe.



Yamaha YBR 125 Motocykle to nie tylko bolidy z silnikami o gigantycznej mocy. Szarymi eminencjami rynku są jednoślady małolitrażowe. Może niezbyt okazałe, za to ogromnie praktyczne. Taki niewielki motocykl to prawdziwy skarb przy dojazdach do pracy. Jest lekki i zwrotny, a przy tym znacznie szybszy od małego skutera. Wiele osób potrafi to docenić, godząc się z niskim prestiżem niepozornego jednośladu. Przychodzi im to tym łatwiej, że codzienne dojazdy naprawdę niewiele kosztują – średnie spalanie rzadko przekracza 3 litry na 100 kilometrów. Małolitrażowe motocykle są bardzo cenione na świecie, jednak u nas jeszcze nie w pełni dostrzega się ich zalety. Często kojarzone są z zacofaniem technicznym i zbytnią prostotą. Że to nieprawda, świetnie widać na przykładzie YBR 125. Wtrysk paliwa, stabilne podwozie, nowoczesna stylizacja, wysoki poziom wykończenia – mała Yamaha naprawdę nie ma czego się wstydzić.

Poj. skok. **124 cm³**, moc maks. **12,5 KM**, V-Max **105 km/godz.**, **cena 9900 zł**



Honda CBF 600 Kombinacja niewielkiego, ale mocnego silnika ze stabilnym podwoziem i elementami zapewniającymi wysoki komfort jazdy świetnie sprawdza się w mieście. Gdy motocykl przyspiesza do setki w zaledwie cztery sekundy, mało kto może się z nim ścigać, startując spod świateł.
Sześćsetka Hondy swoje waży (dokładnie 213 kilogramów), ale w jej czterech cylindrach drzemie prawie 80 KM, a podwozie zapewnia doskonałą zwrotność. Wielkie możliwości, jakie daje CBF 600 S na ulicach, to w dużej części zasługa szlachetnego przodka – legendarnej CBR 600 RR, światowego mistrza sportowej klasy średniej. Jej mocną stroną są także wąska sylwetka, wygodna pozycja za kierownicą i dobre wyposażenie. Podsumowując – ta Honda to świetny przykład motocykla klasy średniej o dobrej relacji osiągów do masy i niewygórowanej cenie.

Poj. skok. **599 cm³**, moc maks. **78 KM**, 0–100 km/godz. **4,2 s**, V-Max **200 km/godz.**, **cena 27 900 zł**

Motocyklowe audio-wideo

TYLKO W DROGICH MODElach o turystycznym charakterze producenci instalują radio z systemem nagłośnieniowym, nawigację, interkom. Te elementy można jednak dokupić i zamontować w swoim motocyklu. Jeśli chcesz mieć radio, musisz sporo zainwestować, by nagłośnienie działało na tyle porządnie, aby można było słuchać ulubionych programów w kasku, a radioodbiornik był odporny na wstrząsy. Większe zainteresowanie budzą radia CB. W ich przypadku problem stanowi mocowanie anteny magnetycznej (brak płaskich elementów stalowych) oraz zakłócenia powstające podczas jazdy. Najpopularniejsze są obecnie nawigacje satelitarne oraz interkomy, czyli łączność między kierowcą a pasażerem. Motocyklowe odbiorniki GPS są przede wszystkim odporne na wstrząsy i warunki atmosferyczne. Urządzenie nawigacyjne rozwiązuje problem słuchania radia i muzyki, bo może mieć wbudowany odtwarzacz mp3 z radioodbiornikiem lub bez niego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (13)

Z klasą

Jedni kupują złoto, akcje, dzieła sztuki, a inni nietuzinkowe motocykle. To świetny sposób, by dobrze zainwestować i równocześnie podreperować swoje ego



Yamaha V-Max Do tego modelu Yamahy przydomek *Cannonball*, czyli „armatnia kula", przylgnął zaraz po debiucie w 1985 roku, gdy okazało się, jak ogromny potencjał ma jego 145-konny silnik. V-Max przyspieszał po prostu niczym dragster. Dzisiejszy V-Max ma jeszcze większą moc i zdumiewa jeszcze lepszymi osiągami. To 200-konny potwór na dwóch kołach, jednośladowy dynamit, który wymaga naprawdę silnej ręki. To nie jest zabawka, to pocisk.

Poj. skok. **1679 cm³**, moc maks. **200 KM**, 0–100 km/godz. **2,7 s**, V-Max **220 km/godz.**, **cena 91 900 zł**



Honda DN-01 Nawet dla profesjonalnych mechaników opis działania skrzyni biegów w DN-01 brzmi jak cytat z księgi czarnoksiężnika. Lepiej nie wiedzieć, o co w tym chodzi. Tak naprawdę nie jest to skrzynia biegów, ale bezstopniowa przekładnia hydromechaniczna. Właśnie w tym modelu po raz pierwszy zastosowano coś takiego w jednośladzie. Dzięki niemu DN-01 jeździ się równie bezstresowo jak skuterem. Oryginalność techniczna idzie w parze z wyjątkową stylizacją. Honda z automatem to motocykl inny niż wszystkie, wygodny i niezwykle łatwy w prowadzeniu. Niepowtarzalny wygląd i niecodzienny napęd pozwolą wyróżnić się z tłumu dwukołowców.

Poj. skok. **1832 cm³**, moc maks. **119 KM**, 0–100 km/godz. **4,2 s**, V-Max **200 km/godz.**, **cena 111 900 zł**



Harley-Davidson Electra Glide Ultra Limited Są motocykle i jest Harley. Tak przynajmniej mówią ci, których dewizę stanowią słowa: „Żyć, aby jeździć – jeździć, by żyć".
Dla nich amerykańska maszyna z zakładów w Milwaukee to po prostu sposób na życie. By wejść do tego ekskluzywnego towarzystwa, potrzebny jest gruby portfel, ale taki wydatek ze wszech miar się opłaca. Można poczuć się wyjątkowym i w ten sposób pokonać kryzys wieku średniego. Można też ograniczyć się do zwykłej lokaty kapitału. Nie ma lepszej na rynku motocyklowym. Harley – zamiast z wiekiem tracić na wartości – wręcz na niej zyskuje. Dlatego najlepiej od razu sięgnąć po najdroższy model Electra Glide Ultra Limited.

Poj. skok. **1690 cm³**, moc maks. **84 KM**, V-Max **170 km/godz.**, **cena 116 800 zł**

REKLAMA

Sport i turystyka





*Pierwsza rata XJ6 z 2009 roku w specjalnej ofercie kredytowej Yamaha „3x33". O szczegóły pytaj lokalnych dealerów.

Na każdą drogę. Na pewno.

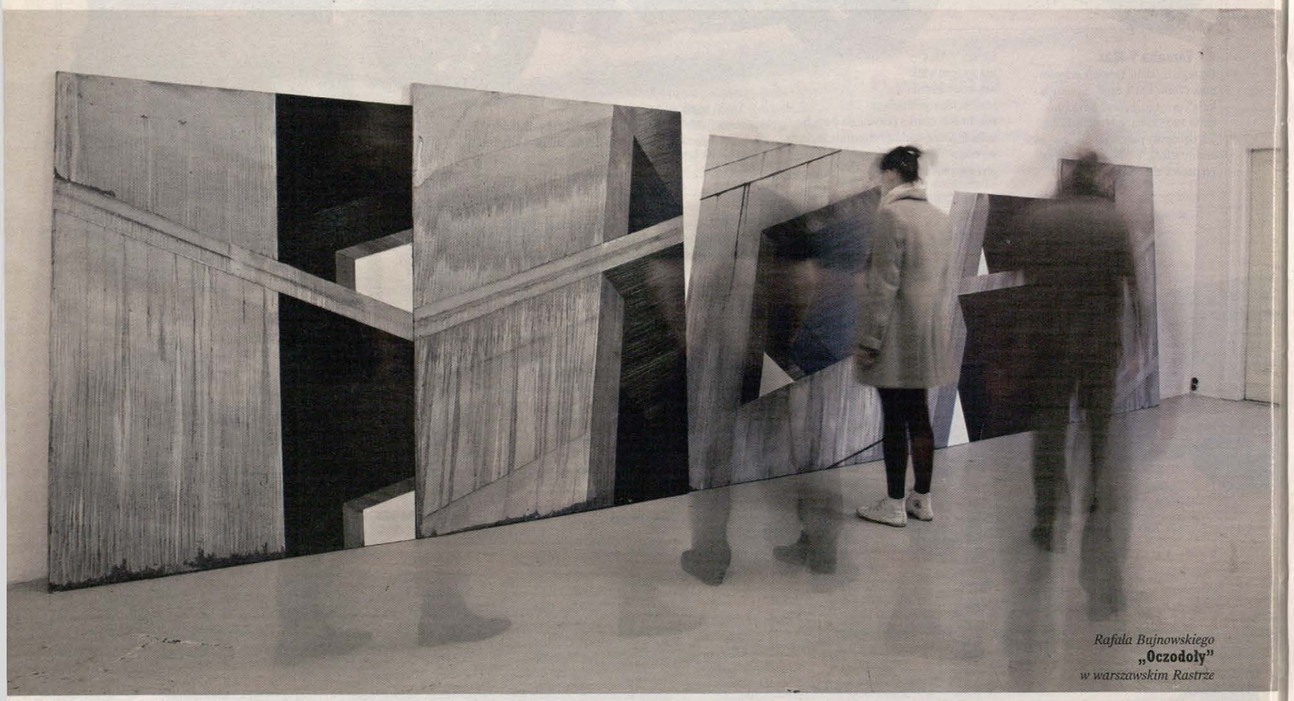
Niezależnie od tego, czy wsiadasz na motocykl dla czystej przyjemności, czy dojeżdżasz nim do pracy, Yamaha XJ6 ożywi Twoją pasję.

XJ6 XJ6 Diversion

www.yamaha-motor.pl

YAMAHA

W tym tygodniu:
WSŁUCHUJEMY SIĘ W NIERÓWNY RYTM „SZALONEGO SERCA" I ZAPRZYJAŹNIAMY Z COUNTRY, UCZYMY SIĘ JĘZYKÓW Z BOBBYM MCFERRINEM ORAZ OBSERWUJEMY, JAK PAWEŁ GOŹLIŃSKI ZMAGA SIĘ Z POLSKIM ROMANTYZMEM



Rafała Bujnowskiego **„Oczodoły"** *w warszawskim Rastrze*

FOT. SZYMON ROGIŃSKI DLA GALERII RASTER, GALERIA RASTER, MAREK SZCZEPAŃSKI

SZTUKA STACH SZABŁOWSKI

CZARNY MUSZKIETER

RAFAŁ BUJNOWSKI W CIENIU SŁAWNIEJSZYCH KOLEGÓW Z GRUPY ŁADNIE WYKUWA SOBIE WAŻNE MIEJSCE W HISTORII POLSKIEGO MALARSTWA

BYŁO SOBIE TRZECH MUSZKIETERÓW. WŁAŚCIWIE na początku było ich pięciu. W drugiej połowie lat 90. w Krakowie powstała towarzysko-artystyczna sytuacja, która przeszła do historii jako Grupa Ładnie. Tworzyli ją wykładowca rysunku na wydziale architektury Marek Firek, nieżyjący już krakowski oryginał Józef Tomczyk, szerzej znany jako Kurosawa, oraz trzech studentów ASP: Rafał Bujnowski, Marcin Maciejowski i Wilhelm Sasnal. Od początku istnienia grupy jej członkowie przepowiadali, że „Grupa Ładnie się rozpadnie". Tak rzeczywiście się stało. Na początku XXI wieku Ładnie przestało istnieć, a Bujnowski, Maciejowski i Sasnal stali się żywymi symbolami renesansu polskiego malarstwa.

W czasach Grupy Ładnie momentami można było pomylić Maciejowskiego z Bujnowskim, a Bujnowskiego z Sasnalem. Grupa nie istnieje już jednak od dekady, a muszkieterskie hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", dawno straciło na aktualności. Wilhelm Sasnal jest artystyczną ikoną i międzynarodową malarską supergwiazdą. Marcin Maciejowski, wielki współczesny realista, robi retrospektywę w Muzeum Narodowym w Krakowie. Rafał Bujnowski zaś... no właśnie, co z Rafałem Bujnowskim?

W czasie gdy krakowskie muzeum celebruje retrospektywę stu płócien Maciejowskiego, kreując go na nowego malarza narodowego, Rafał Bujnowski pokazuje 10 obrazów na kameralnej wystawie w galerii Raster. To fenomenalna wystawa, ale nie rozpali emocji tłumów. Z trzech muszkieterów Bujnowski najmniej nadaje się na bohatera zbiorowej wyobraźni. Artysta jest nie dość przystojny i zbyt małomówny, by zostać gwiazdorem, a jego wyrafinowana sztuka jest zbyt prosta i jednocześnie zbyt trudna, by liczyć na popularność. Bujnowski pozostaje więc w półcieniu, w którym tworzy jedną z najciekawszych propozycji polskiego malarstwa współczesnego.

O krok od Niczego

Wystawa w Rastrze nazywa się „Oczodoły". Pod tym tytułem kryje się sześć monumentalnych obrazów. Przedstawiają one szkielet nowego apartamentowca w budowie. Proste geometrie, płaszczyzny szarego surowego betonu, ziejące ciemnością dziury na okna. Ani śladu życia, ani śladu koloru. Bujnowski maluje te obrazy jedną farbą – czarną. Tam, gdzie farba jest bardziej rozcieńczona, powstaje szarość. Tam, gdzie jest czysta, powstaje mrok. Biel jest pustką zagruntowanego, niezamalowanego płótna.

„Oczodoły" stoją w galerii na podłodze, oparte o ściany. Nic dziwnego; te obrazy są wizualnie ciężkie jak kawały betonu – ściana, na której zostałyby powieszone, mogłaby nie unieść takiego ciężaru. Skąd bierze się ten ciężar? Na zdrowy rozum nie dzieje się tu nic dramatycznego. „Kupiłem mieszkanie na osiedlu, gdzie nikt nie chce mieszkać" – mówi Bujnowski. „Oczodoły" to po prostu widoki z okna artysty, za którymi deweloperzy robią nową mieszkaniówkę. Dobry obraz ma jednak to do siebie, że nigdy nie przedstawia rzeczy tak po prostu. Fragmenty niedokończonych budynków z płócien Bujnowskiego za bardzo przypominają czaszki z czarnymi oczodołami okien, aby łatwo przejść nad nimi do porządku dziennego. Budujące się nowe domy to widok, który generalnie powinien napawać optymizmem, podsuwać wesołe myśli o rozwoju, postępie, szczęśliwie otrzymanych kredytach hipotecznych i pnących się w górę murach. W obliczu domów Bujnowskiego optymizm jednak jakoś gaśnie. W szarych betonowych szkieletach jest zle przeczucie przestrzeni, która wyłoni się z deweloperskiego projektu. Nie będzie to przestrzeń radosnego miasta marzeń, lecz przestrzeń nudna i monotonna, schematyczna, drobnomieszczańska. Być może zresztą domy z obrazów nigdy nie zostaną ukończone; nikt nie pracuje przy tych konstrukcjach, branżę budowlaną toczy kryzys i – jak spekuluje galerzysta z Rastra Michał Kaczyński – apartamentowce Bujnowskiego mogą wpisać się w długą polską tradycję porzuconej w połowie budowy, zmarnowanego wysiłku i niespełnionych nadziei.

Kontrapunktem dla monumentalnych „Oczodołów" są w Rastrze niewielkie obrazy z cyklu „Mgła". Malowane szare na szarym wydają się niemal puste; panuje na nich wieczny zmierzch. W malarskiej mgle majaczą kształty jakichś zabudowań odcinające się od nieokreślonego tła już nie tyle odcieniem, ile samą fakturą farby. To obrazy na granicy nicości; jeszcze jeden krok i nie byłoby widać już nic.

Latający malarz

Bujnowski jest bardzo szczególnym malarzem. To wirtuoz, który potrafi zrobić coś z niczego, wykreować fascynującą malarską rzeczywistość samym sposobem kładzenia farby w jednym odcieniu – jak w obrazach sprzed trzech lat przedstawiających bryły węgla. Potrafi dowieść potęgi malarskiej iluzji. W 2004 roku Bujnowski przeciskał się przez ucho igielne amerykańskiej polityki wizowej. Zamiast wykonać zdjęcie paszportowe, namalował swój hiperrealistyczny autoportret w konwencji legitymacyjnej fotografii. Następnie sfotografował obraz i dołączył to zdjęcie do wniosku wizowego. Urzędnicy ambasady przegapili tę manipulację; Bujnowski otrzymał wizę, w której zamiast fotografii wdrukowano reprodukcję dzieła sztuki. Zaopatrzony w zdobyty artystycznymi środkami dokument pojawił się w Ameryce wciąż jeszcze rozedrganej traumą 11 września i zgodnie z (nie)dobrą tradycją cudzoziemców zakradających się do USA bocznymi drzwiami zapisał się na kurs pilotażu...

Projekt „Wiza" był małym triumfem malarstwa nad rzeczywistością. Sęk w tym, że Bujnowski, zamiast triumfować, lubi doprowadzać malarstwo na krawędź przepaści. To malarz, który uparcie demaskuje obraz – obiekt kulturowego respektu miłośników sztuki – jako jeszcze jeden zwykły przedmiot, płachtę płótna rozpiętego na deszczułkach i pokrytego farbą. Demistyfikuje malarstwo, sprowadza je do parteru, poddaje bezlitosnym testom wytrzymałości na banalizację. Jego obrazy z cyklu „Niebo" to sugestywne, piękne atmosferyczne pejzaże. Czy należy jednak dalej zachwycać się nimi, kiedy pozna się kulisy procesu twórczego, który doprowadził do ich powstania? Artysta zdradza, że zamiast namalować je osobiście, pozwolił malować przypadkowi. Po prostu kołysał blejtramem; rozlana na nim farba zastygała w przypadkowe plamy, w których później chcemy widzieć obraz przestworzy.



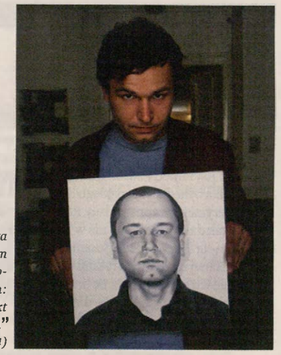
Olej z cyklu **„Lamp Black. Coal"** *(2007)*

Człowiek dobrej roboty

W 2007 roku Bujnowski zaprezentował obraz „Kosmos" – rozjarzone gwiazdami granatowe nocne niebo. To niemal mistyczne dzieło powstało w wyniku żmudnego mechanicznego zakreskowywania płótna. Malarz gra na nerwach widzów i na nieusuwalnej ambiwalencji związanej z malarstwem. Co widzimy, kiedy patrzymy na obraz? Skrzące się gwiazdy czy przypadkowe bazgroły, gąszcz niczego nieprzedstawiających kresek? Smak malarstwa Bujnowskiego polega na tym, że widzimy jedno i drugie jednocześnie.

Prace takie jak „Kosmos" stawiają pod znakiem zapytania nie tylko wiarygodność obrazu, ale także figurę artysty jako wyjątkowej jednostki, wybrańca muz, natchnionego geniusza. Bujnowski woli przedstawiać się jako „robotnik sztuki" cierpliwie zakreskowujący płótno, wykonujący trywialną, wręcz mechaniczną pracę. W 2000 roku artysta zaproszony na wystawę „Pop-elita" w krakowskim Bunkrze Sztuki kazał ustawić rusztowanie przed budynkiem galerii, a następnie odświeżył jego fasadę, malując ją na miły dla oka ciepły kolor. Przedsięwzięciu towarzyszył także obraz olejny – powieszona na rusztowaniu tablica „Uwaga, u góry pracują". W galerii z kolei artysta wystawił zawartą z Bunkrem umowę o dzieło – renowację budynku.

W świecie Bujnowskiego artysta jest robotnikiem, tworzenie pracą, a dzieło sztuki przedmiotem – obiektem i towarem. W czasach Grupy Ładnie, zamiast sprzedawać swoje prace graficzne w galerii sztuki, wstawił je do krakowskiego kiosku ruchu na rogu ulic Dietla i Stradom. W 2000 roku pojechał autokarem do Londynu i rozłożył się przed podówczas nowiutką Tate Modern, sprzedając na ulicy „Tanią sztukę z Polski". Przedmiotem handlu były między innymi tautologiczne obrazy – zwodniczo realistyczne przedstawienia cegieł malowane na małych blejtramach o wymiarach prawdziwej cegły i iluzjonistyczne reprezentacje desek na podłużnych płótnach w kształcie desek. Malarska mimesis została w tych pracach doprowadzona do ostateczności; obraz stawał się tożsamy z przedmiotem przedstawienia,



Artysta ze swym autoportretem: projekt **„Wiza"** *(2004)*

dzieło sztuki było nieodróżnialne od cegły czy deski. Bujnowski produkował te prace seryjnie, układając obrazy w sterty i stosy, jak w składzie budowlanym.

W projekcie „Zmierzch" z 2004 roku Bujnowski pokazuje ciemność zapadającą nad szwajcarskim miasteczkiem Zug, w którym przebywał na stypendium. Obrazy to po prostu czarne monochromy, a jednak każdy z nich przedstawia niewidzialny pejzaż. Na towarzyszącym obrazom filmie wideo widzimy, jak artysta maluje z natury krajobraz. W miarę jak

Bujnowski nie opowiada historii, nie sięga po wielkie tematy: maluje cegły, bryły węgla, budynki, mgłę, zmierzch, śnieg

nadciąga zmierzch, malarz dodaje coraz więcej czerni, w której giną szczegóły pejzażu. Wreszcie zapada noc i na obrazie nie widać już nic. Tego, czego nie ma – nicości, pustki, ciemności – nie wolno lekceważyć. W malarstwie Bujnowskiego, to, czego nie ma, jest nieodłącznym cieniem tego, co jest.

Sztuka obecności

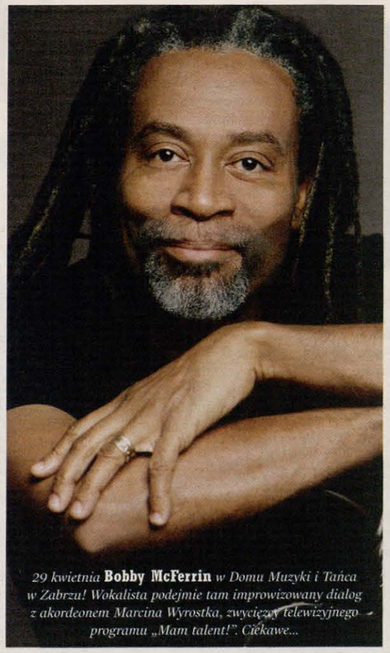
Pod koniec lat 90. Rafał Bujnowski wyprodukował koszulki z napisem „Nie interesuję się sztuką". Tę deklarację należy czytać na opak – jest tak przewrotna jak cała twórczość Bujnowskiego. To malarz, który osiąga pozycję wyjątkowego artysty, uchylając się od tej roli i przedstawiając się jako człowiek pracy, taki jak wszyscy. Do niezwykłości dochodzi poprzez nagą zwyczajność, ale nawet jeżeli tworzy obrazy na podstawie zdjęć z albumu, to bardziej interesuje go fotografia jako przedmiot niż to, co na niej uwiecznione. Obrazy Bujnowskiego są tym, co przedstawiają, i niczym więcej – cegła jest cegłą, obraz przedmiotem, farba zawsze jest farbą. I właśnie poprzez unikanie nadawania znaczeń dziełom Bujnowski sprawia, że stają się ciężkie od znaczenia w głębszym, egzystencjalnym sensie, który wynika z ich intensywnej, niemożliwej do zignorowania obecności. □

REKLAMA

mBank ZAPRASZA
OFF FESTIVAL 5-8.08 2010 KATOWICE
DOLINA TRZECH STAWÓW
The Flaming Lips
Dinosaur Jr.
Tindersticks
The Fall
Lenny Valentino
Mew
The Horrors
i wielu innych
WWW.OFF-FESTIVAL.PL
WWW.MYSPACE.COM/OFFFESTIVAL
Projekt realizowany jest ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
ORGANIZATOR
WSPÓŁORGANIZATORZY
PARTNERZY
PATRONI MEDIALNI



FOT. UNIVERSAL, SONIC, MATERIAŁY ORGANIZATORÓW



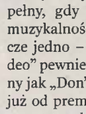
29 kwietnia **Bobby McFerrin** *w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu! Wokalista podejmie tam improwizowany dialog z akordeonem Marcina Wyrostka, zwycięzcy telewizyjnego programu „Mam talent!". Ciekawe...*

+++++ MACIEJ KARŁOWSKI

Słowotok

Bobby McFerrin obłożył się słownikami, ale znów mówi do nas własnym językiem. Nadstawiamy uszu

Zanim przejdę do szczegółów „Vocabularies", konieczna jest wyliczanka. A więc ponad 50 (!) wokalistów w chórkach, a wśród nich śpiewacy z The Manhattan Transfer, New York Voices oraz gwiazda modern bossa novy Luciana Souza. Album powstawał ponad siedem lat, co w karierze McFerrina jest rekordem. Zawiera siedem kompozycji, co już nie jest takie dziwne, ale za to wszystkie są długie i zostały napisane przez Rogera Treece'a (niektóre do spółki z liderem) – producenta, wokalistę i wieloletniego współpracownika McFerrina. Kompozytorskim tworzywem stały się tu strzępy śpiewanych kiedyś przez Bobby'ego motywów muzycznych pieczołowicie ułożone w odrębne, nowe utwory. Oprócz tekstów angielskich pojawiają się kwestie w ponad 20 językach (także w mandaryńskim, japońskim, hebrajskim, po łacinie i sanskrycku). Nad wszystkim zaś rozpościera się głos McFerrina zaklęty w wymyślony przez niego, własny język, który co prawda nie znaczy nic, ale za to przemawia do wyobraźni milionów słuchaczy. Muzyka to eklektyczna, bezwstydnie balansująca między różnymi gatunkami i stylami. Zaśpiewana ze zniewalającym rozmachem i utkana z setek motywów, z których każdy może być podstawą nowej piosenki. Obraz będzie pełny, gdy dodamy zniewalającą muzykalność McFerrina. No i jeszcze jedno – jest przebój! „Say Ladeo" pewnie nie będzie tak popularny jak „Don't Worry Be Happy", ale już od premiery grają go niektóre, nawet te odrobinę bardziej komercyjne rozgłośnie radiowe. „Vocabularies" zapiera dech w piersi. □



Bobby McFerrin „Vocabularies", *Concord/Universal*

+++++

Wyższa elektronika

Autechre trzymają poziom. Jeśli uda ci się to zatańczyć, przyjmij gratulacje. I zarejestruj się na wizytę do neurologa

AUTECHRE MAJĄ MNIEJ WIĘCEJ TYLE WSPÓLNEGO Z GŁÓWNYM nurtem sceny techno, ile gwiazdy omawianego obok festiwalu Asymmetry z Iron Maiden. Owszem, taneczna elektronika była dla brytyjskiego duetu punktem wyjścia, ale eksperymenty zaprowadziły Roba Browna i Seana Boothа tak daleko, że lepiej niż w modnym klubie czuliby się dzisiaj na Warszawskiej Jesieni. Zwłaszcza że na tym etapie usłanej nagłymi zwrotami akcji artystycznej drogi interesuje ich nie tyle rytm, ile brzmienie, wzajemne interakcje zderzanych ze sobą dźwiękowych figur. Czasem rodzi się z nich zaskakująco chwytliwy temat, lecz Autechre umykają przed banałem, gorliwie psując to, co podejrzanie dobrze działa. A jednak te chwile słabości, kiedy z abstrakcyjnej chmury bitów wyłania się konwencjonalna, melodyjna, osadzona w rygorach łatwego do powtórzenia rytmu kompozycja, są siłą „Oversteps" – pozwalają głowie odpocząć i zarazem stanowią odpowiedni kontrast dla chwil, kiedy Brown i Booth pokazują, na co stać ich samych oraz ich drogie zabawki.

Wierzę mądrym ludziom, że muzyka to w gruncie rzeczy matematyka przetłumaczona na fale akustyczne. O ile jednak przytłaczająca większość otaczających nas utworów to ledwie podstawy algebry, o tyle w przypadku Autechre mamy do czynienia z równaniem różniczkowym cząstkowym k-tego rzędu. Nie, żebym wiedział, co to takiego, ale brzmi groźnie, tajemniczo i na swój sposób pięknie. Zupełnie jak „Oversteps". – *jsz*



Autechre „Oversteps", *WARP*

Autechre *jak zawsze skryli się za chmurą dźwięków*



Na to idziemy

GŁOŚNO I DOBRZE

W tym hałasie jest metoda

Dla wielbicieli eksperymentów

Dla tych, których mierzi perspektywa zatłoczonych knajp na Krupówkach i huczących od dyskotek Mazur, Wrocław przyszykował na majowy weekend interesującą alternatywę. Ale cicho i tu nie będzie – Asymmetry Festival to propozycja dla wielbicieli ambitnego, eksperymentalnego hałasu.

Trudno znaleźć wspólny mianownik dla artystów, którzy w długi weekend zjadą do Firleja. Część z nich cieszy się dużym uznaniem na metalowo-alternatywnej scenie, innych wielbi tylko garstka ortodoksów. Wszyscy jednak mają własną wizję muzyki ekstremalnej. Podczas pięciu wieczorów będzie więc szansa na organoleptyczny kontakt z twórczością między innymi Włochów z enigmatycznego Zu nagrywających dla wytwórni Mike'a Pattona. Ich ubiegłoroczny album „Carboniferous" to brawurowe połączenie noise rocka i free jazzu, które mógłby pobłogosławić sam John Zorn. Holenderski kolektyw Mount Fuji Doomjazz Corporation przedstawi w pełni improwizowany program będący interpretacją ścieżki dźwiękowej do filmu „Człowiek słoń" Davida Lyncha. Zagra także Esoteric z Wysp Brytyjskich, który doom metal, gatunek oparty na riffach groteskowo ciężkich i wolnych, doprowadził do skrajności i brzydzi się kawałkami, które trwają krócej niż kwadrans. Jesu to z kolei projekt niezwykle kreatywnego Justina Broadricka wielbionego na scenie industrialnej za jego pionierską działalność w Godflesh. Pozostali wykonawcy w rodzaju Mouth of the Architect, Kylesa, Helen Money czy laureaci konkursu Neuro Music – warszawska Moja Adrenalina – także gwarantują mocne wrażenia. Zapewne po przeczytaniu tej litanii nazw można mieć wrażenie, że Asymmetry to impreza absolutnie niszowa. Prawda, zaproszonych do Wrocławia gości nie ma na listach przebojów, ale lepiej nie bagatelizujcie tego, że większość z nich pisze dziś historię ciężkiego grania. Kiedy przyjadą za 10 lat na stadion, z tak bliska nie będziecie mogli ich zobaczyć. – *łd*

Asymmetry Festival, *Wrocław, Firlej, 29.04–3.05*



Guziki z rogami

Brytyjski duet w stolicy

To będzie głośny długi weekend. Komu nie po drodze z eksperymentującymi metalowcami, musi koniecznie dać się ogłuszyć brytyjskiej formacji Fuck Buttons. Potraktujcie to nie tylko jako rekomendację, ale też jako ostrzeżenie – jeśli myślicie, że ze strony dwóch gosgusiów z laptopami (OK, mają też mikrofony, perkusjonalia i parę innych zabawek) nic wam nie grozi, to pomyślcie jeszcze raz. Fuck Buttons na płytach (choćby wydanej w ubiegłym roku znakomitej „Tarot Sport") może i brzmią jak wykarmieni postrockowymi dłużyznami kuzyni Aphex Twina, ale na żywo pokazują rogi, dowodząc, że nie tylko nazwę mają hardcore'ową. Duet z Bristolu przyjeżdża do nas w ramach przystawki do piątej edycji festiwalu Tauron Nowa Muzyka – aż szkoda, że tak mocnej ekipy organizatorzy nie zostawili sobie na sierpień. – *jsz*

Fuck Buttons, *1.05 Warszawa, Powiększenie, 2.05 Katowice, Jazz Club Hipnoza*

REKLAMA

+++ MICHAŁ OLESZCZYK

Serce i kalkulacja

Oscarowy Jeff Bridges popełnia grzech pychy i zostaje zań artystycznie ukarany

Trudno dziś oglądać rolę Jeffa Bridgesa, nie pamiętając o przyznanej mu oscarowej statuetce dla najlepszego aktora. Jeszcze trudniej o rzeczowy namysł, czy była to nagroda zasłużona. Jako Bad Blake – zapijaczony śpiewak country znajdujący odkupienie w miłości – Bridges robi wszystko, co akademia kocha i za co nominowała go do nagrody już w 1985 roku (za „Gwiezdnego przybysza"). Jest sprytny, pełen pomysłów i brawury. Ciągła żonglerka nieodłącznym zestawem rekwizytów (okulary, butelka, szklanka, papieros) to popis aktorskiej inwencji. Nic, tylko bić brawo.

A jednak jest w tej roli coś wykalkulowanego – tak jak i w całym „Szalonym sercu", które bynajmniej nie zapracowuje na swój romantyczny z ducha tytuł. Są tu sceny znakomite, kiedy Bridgesowi sprawia frajdę przebywanie w skórze wyliniałego lisa z błyskiem w oku. Jest wówczas tak, jakbyśmy znowu oglądali go we „Wspaniałych braciach Baker" (1989). Kiedy śpiewa o tym, że „zrobił już wszystko, co człowiek zrobić może", i dodaje kilka piosenek dalej, że „był sobie kimś, a potem został kimś innym" – brzmi to jak spowiedź wielkiego aktora. Piękno tych momentów polega na luzie Bridgesa i kreowanej przezeń intymności. Niestety, w wielu innych scenach do głosu dochodzi popis. Bridges popełnia w „Szalonym sercu" grzech pychy: od pierwszej sceny gra rolę życia. Tak jakby nie był nią „Big Lebowski" (1998).

W tym świetle jeszcze prawdziwiej – choć niezamierzenie ironicznie – brzmi piosenka „Spadanie zdaje się lataniem", którą Bridges wykonuje elektryzująco. O ile jednak w jego przypadku możemy mówić o roli nierównej, w której momenty „przefajnowane" sąsiadują z cudownymi, o tyle wielką pomyłką „Szalonego serca" – prawdziwym strzałem w kolano, jeśli nie w serce – jest rola Maggie Gyllenhaal jako młodej samotnej matki zakochującej się w Badzie. Nie idzie o to, by był to impuls niezrozumiały (Bad ma dość łobuzerskiego czaru, by uchylić podobne wątpliwości). Rzecz w tym, że Gyllenhaal dostała źle napisaną postać i zamiast pójść na całość i uwierzyć w jej schematyzm, stara się psychologizować. Większość jej kwestii brzmi jak badanie tekstu na próbach czytanych (dodajmy na obronę, że nie da się inaczej wypowiedzieć zdań w rodzaju: „Rumienię się, bo mam płytko osadzone naczynka krwionośne").

W 1984 roku Oscara dla najlepszego aktora dostał Robert Duvall za „Pod czułą kontrolą". Była to historia piosenkarza country walczącego z butelką, widmem upadłej kariery i rodzinnej klęski. Brzmi znajomo? Producentem „Szalonego serca" jest ten sam Robert Duvall; gra tu także małą rolę barmana. Najpiękniejszy prezent dla przyjaciela – oscarowa rola. Ani „Pod czułą kontrolą", ani „Szalone serce" nie są filmami wybitnymi. I Duvall, i Bridges zagrali wiele ról o niebo lepszych. A my jak głupi i tak będziemy wracać do nich właśnie. I kto tu jest szalony? □



Jeff Bridges *zagrał ślicznie, ale samego siebie z* **„Big Lebowskiego"** *nie przeskoczył*

„Szalone serce", reż. Scott Cooper, *USA 2009, Imperial CinePix, 112', premiera 30 kwietnia*



Nie ma to jak ***w winnicy*** *– przekonują bohaterowie filmu Vlada Lannégo*

+++

Kino turystyczne

„2 młode wina", czyli jak Czesi reklamują Morawy

GDYBY KTOŚ PODŁOŻYŁ w „2 młodych winach" dubbing, gwarantuję, że po kwadransie i tak zorientowalibyście się, że obcujecie z czeskim kinem. Składniki dania filmowego są bowiem takie jak zawsze: sielska atmosfera, naiwna fabuła i galeria przerysowanych postaci. W uroczej scenerii winnicy na Morawach spotykają się dwaj czescy hulacy Jirka i Honza. Pierwszy zbałamucił córkę mafioso, na prowincji szuka więc schronienia przed wynajętym przez niego płatnym mordercą. Drugi wierzy, że na winie zbije fortunę. Problem w tym, że na razie więcej czasu spędza, spożywając je, niż produkując. W toku akcji chłopcy popadają w coraz większe tarapaty, prowokując mniej lub bardziej komiczne sytuacje. W starym aucie wysiadają hamulce, w piwniczce z winem zatrzaskują się drzwi, w drabinie pękają szczeble. I tak dalej, i temu podobne. Sceny rodem z kreskówki przemieszane są tu z ujęciami do złudzenia przypominającymi fragmenty turystycznego spotu promującego region morawski. Co bez wątpienia jest zasługą reżysera Vlada Lannégo, który swój styl wizualny szlifował, pracując w reklamie. I trzeba przyznać, że choć walory artystyczne „2 młodych win" są raczej małe, rekompensują je walory poznawcze. Jeśli winnice czeskie są równie piękne, jak je tu odmalowano, apeluję, by zamiast do kin niezwłocznie ruszyć na Morawy! – *kp*

„2 młode wina", reż. Vlad Lanné, *Czechy 2009, Vivarto, 94', premiera 30 kwietnia*



+++++

Życie do kwadratu

Alfred Hitchcock i jego sobowtór

ISTOTĄ SZTUKI JEST POWTARZANIE motywów, tematów, obsesji. Co się jednak stanie, gdy powtórki staną się jałową repetycją? To pytanie przewija się w tle rewelacyjnego quasi-dokumentu Johana Grimonpreza. Zrealizowany techniką *found footage* (łączenie archiwalnych materiałów ze współczesnymi dokrętkami) jest wariacją na motywach opowiadania Toma McCarthy'ego o spotkaniu Alfreda Hitchcocka ze swoim sobowtórem z przyszłości. Jest rok 1962, reżyser pracuje na planie „Ptaków", odczytywanych później jako metafora zimnej wojny. I właśnie obrazki z tego okresu stanowią dokumentalną ramę dla fikcyjnego dialogu. Grimonprez tworzy filmowy kolaż, gdzie fragmenty telewizyjnych newsów, debat, reklam i propagandowych filmików o atomowej zagładzie przeplatają się z fragmentami dzieł mistrza suspensu. Wniosek? Strach (temat Hitchcocka) stał się towarem, który nie potrzebuje kina jako swojego medium. Jest tani i dostępny na wyciągnięcie ręki, nawet w niewinnej z pozoru reklamie kawy. Czy może dziwić, że w tej sytuacji twórca miary Hitchcocka może czuć się niepewnie? Grimonprez pokazuje kryzys tożsamości artysty w sytuacji, gdy równej obróbce podlega zarówno dzieło, jak i postać samego twórcy. W pewnym momencie nie można jednak odróżnić siebie od swoich zdublowanych wersji. Odpowiedzialnymi za ten stan rzeczy reżyser niezbyt oryginalnie czyni współczesne media, jednak film wyróżnia się perspektywą. Pokazuje kryzys z wnętrza pękniętej osobowości, gdzie – jak mówi bohater – nasze „słowa i gesty stają się tylko mętnym wspomnieniem snu". Najgorsze, że może już nie naszego. – *mb*

„Dubel", reż. Johan Grimonprez, *Belgia/Niemcy 2009, Gutek Film, 80', premiera 30 kwietnia*

REKLAMA

Film z cyklu

Wiesz co dobre



W POGONI ZA ZBRODNIARZEM

wtorek 4 maja **22:25** TVP1

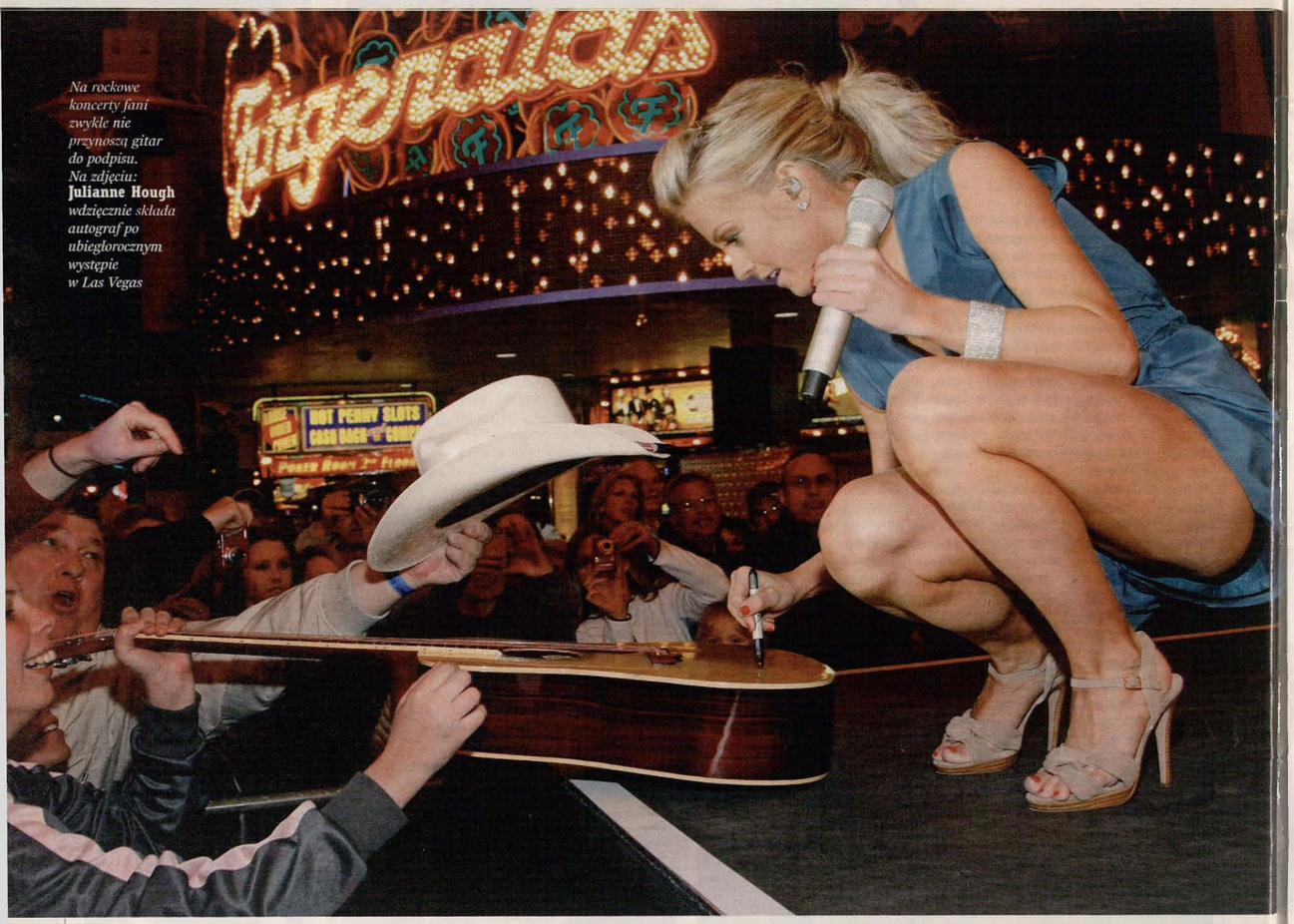
Co można robić na wakacjach? Chwytać zbrodniarzy wojennych w Bośni – odpowiada amerykański dziennikarz Scott Anderson, który próbę samodzielnego odnalezienia Radovana Karadžicia opisał w artykule „What I Did on My Summer Vacation" opublikowanym w magazynie „Esquire". Na jego podstawie powstał scenariusz „W pogoni za zbrodniarzem". Zrobić film o wojnie i jej konsekwencjach bez uciekania się do patosu to rzadka sztuka. Wzbogacić zaś powagę o elementy czarnego humoru i nie umniejszyć tragedii wojny (wręcz przeciwnie, wyolbrzymić jej absurd) – to już rzecz niespotykana. Udało się to jednak reżyserowi Richardowi Shepardowi („Kumple na zabój"), który w swym filmie opowiada historię niejakiego Simona Hunta (Richard Gere). Reporter nie tylko zawsze przywozi najlepsze historie wprost z frontu, ale także ma dryg do wychodzenia cało z wszelkich opresji. Jednak nagle przeżywa załamanie nerwowe – w tym samym momencie załamuje się jego kariera. Duck (Terrence Howard), operator kamery, a zarazem towarzysz Hunta w najniebezpieczniejszych chwilach („Nie piszemy przecież przewodnika turystycznego, idź i nakręć, co tam się dzieje!"), wraca do USA, gdzie otrzymuje lukratywną posadę. Jednak potrzeba silnych emocji uzależnia – dlatego kiedy podczas przypadkowego spotkania Hunt przedstawia mu swój szalony plan schwytania odpowiedzialnego za czystki etniczne „Lisa", Duck się nie waha. Dziennikarze wyruszają więc na polowanie... (angielski tytuł filmu: „The Hunting Party" ma więc podwójne znaczenie). Film otwiera zapewnienie: „Tylko najbardziej niedorzeczne fakty w tej historii są prawdziwe". Nie można oprzeć się wrażeniu, że są tak samo niedorzeczne i prawdziwe jak wojna. Świetne kino!

Wiesz co dobre

Program **Wiesz co dobre** to system rekomendacji Škody.
W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre.

FOT. IMPERIAL CINEPIX, VIVARTO

MISTRZOSTWO NA PIĘTNIE WARTO MIEĆ ŚLĄSKO MOŻE BYĆ DNO więcej recenzji na www.przekroj.pl

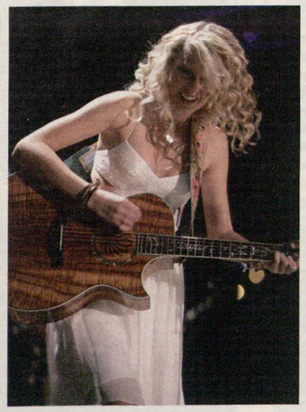


Na rockowe koncerty fani zwykle nie przynoszą gitar do podpisu. Na zdjęciu: **Julianne Hough** *wdzięcznie składa autograf po ubiegłorocznym występie w Las Vegas*

NA RDZENNĄ NUTĘ JAREK SZUBRYCHT

I Bóg dał Ameryce country...

Cały świat powoli odkrywa, że stojąca na straży tradycyjnych wartości muzyka country jest wartością samą w sobie. I my, przejrzawszy na oczy, z szacunkiem uchylamy kapelusza



Dwa lata temu za sprawą „Zapaśnika" przypomnieliśmy sobie o wrestlingu, specyficznej amerykańskiej odmianie zapasów. Dzisiaj dzięki „Szalonemu sercu" z Jeffem Bridgesem (nasza recenzja na s. 71) mamy szansę przyjrzeć się z bliska muzyce country. Różnice? Zasadnicze. Wrestling, choć bywa bolesny, o czym przekonywały nas blizny na ciele Mickeya Rourke'a, jest udawany. To wyreżyserowany spektakl, krwawa zabawa. Country natomiast to bardzo poważna sprawa. Podobieństwa? Ani wrestlingu, ani country Ameryka żyjąca z wciskania światu swojej popkultury sprzedać nie umiała.

A może Amerykanie country nie chcieli nam sprzedać? Może się nim nie chwalili, bo się go... wstydzili? Coś jest na rzeczy. Stany Zjednoczone nie są krajem jednorodnym kulturowo. Jeśli wyrobiliśmy sobie o nich zdanie na podstawie płyt, filmów i książek, to wszystko wskazuje na to, że znamy tylko wschodnie i zachodnie wybrzeże tego wielkiego kraju. Słuchamy eksperymentalnych dźwięków wykuwanych w garażach Nowego Jorku przez pryszczatych okularników, oglądamy pełne przemocy i ironii seriale telewizyjne tworzone przez ich rodziców, zazdrościmy wystaw tamtejszym galeriom i muzeom, dyskutujemy o filmach i importujemy spektakle pisane przez ateistów erudytów. A może kochamy inne oblicze amerykańskiej kultury, to głośniejsze, bardziej przebojowe i kolorowe? To, które w pocie czoła, z zaangażowaniem wszystkich dostępnych sił i środków – oraz fachowców na bieżąco importowanych z całego świata – wykuwają dla nas hollywoodzka fabryka snów i kalifornijski przemysł fonograficzny? Nic w tym złego, możecie się przyznać, wszyscy to kochają. Warto jednak pamiętać, że między tymi dwoma skrawkami wybrzeża, na których tłoczą się imigranci, innowiercy i indywidualiści, rozciąga się olbrzymia kraina. Może nie mlekiem i miodem płynąca, ale wystarczająco dostatnia i piękna, by autochtoni byli z niej dumni. A zamieszkują ją ludzie prości, prawi (a jeśli nikczemni, to w swej podłości równie prostolinijni) i bogobojni. Ten kraj nazywa się, może dlatego, że innego tam nie znają, po prostu Kraj. Po ichniemu country.

Pionierzy byli schludni, nie ubierali się na scenę jak do stajni. **Taylor Swift** *wraca do korzeni*

Głos ludu

Historia muzyki country jest stosunkowo krótka, bo młody przecież jest sam Kraj. Wszystko zaczęło się 200, może 300 lat temu gdzieś przy pasterskich ogniskach u podnóża Appalachów, gdzie spotykali się imigranci z Irlandii, Niemiec, Włoch, Hiszpanii – właściwie z całego Starego Świata – i uczyli się nawzajem piosenek przywiezionych zza oceanu. Podsłuchiwali też śpiewy niewolników z Afryki Zachodniej, spodobało im się brzmienie bandżo, a trochę dalej, na terytorium dzisiejszego Teksasu, poznali i ukochali tęskne meksykańskie pieśni zwane corridos. Pierwszy oficjalny śpiewnik protocountry został opublikowany w 1910 roku przez etnomuzykologa Johna Lomaksa. Nosił tytuł „Pieśni kowbojskie i inne ballady pogranicza" i to właśnie zawierał, bo trudno byłoby je wtedy sklasyfikować w ramach jednego spójnego gatunku. Pionierskie nagrania country (za najwcześniejsze uważa się pieśń „Sallie Gooden" skrzypka Ecka Robertsona z 1922 roku) powstawały pod szyldem „muzyki staroświeckiej", ale już kreowały mit „ludzi zza gór", którzy żyją w izolacji od złego, występnego świata i są prawdziwymi, nieskażonymi strażnikami amerykańskiego ducha. Rychło w myśl zasady „byle amerykańska wieś spokojna" country stało się ukochaną muzyką konserwatystów. Nadawało się do tego doskonale. To muzyka ludzi pracy, a nie wymuskanych fircyków, zawodowych komediantów, co nie znają życia. To muzyka familijna i przez całe rodziny grywana, co wyklucza ruję i porubstwo, którymi później straszył dobrych obywateli rock and roll. To wreszcie zrozumiałe dla wszystkich teksty, które odwołują się najczęściej – zaraz po nieszczęśliwej miłości oczywiście – do Boga, rodzinnych stron czy w ogóle uczuć patriotycznych (co jest zapewne spadkiem po pieśniach z czasu wojen secesyjnych, które country ochoczo zaabsorbowało). I chociaż historia zna nie tylko grzeczne i prawomyślne country (jest cały nurt outlaws, czyli pieśniarzy wyjętych spod prawa, z Johnnym Cashem, Williem Nelsonem i dwoma generacjami Hanków Williamsów na czele), główny nurt właśnie taki pozostał. Nie bez przyczyny kiedy w przedostatnich i ostatnich wyborach niemal wszyscy rockmani i raperzy popierali kandydata Demokratów, za George'em W. Bushem stanęła murem niemal cała scena country. A jeśli ktoś się wyłamał, jak dziewczęta z formacji Dixie Chicks, czekała go środowiskowa anatema.

Coś jak disco polo

Jeśli pod koniec lat 90. ktokolwiek w Europie pamiętał o country, miała ona albo beznadziejnie nudną twarz Kenny'ego Rogersa, albo groteskowe oblicze Dolly Parton znanej głównie z tytanicznego biustu, niezliczonej liczby operacji plastycznych i wizerunku przywodzącego na myśl agroturystyczną Barbie. Choć, trzeba jej to przyznać, wokalistka ma do siebie przynajmniej tyle dystansu, by przyznawać, że „potrzeba mnóstwa pieniędzy, aby wyglądać tak tanio". W naszym kraju country kojarzy się jednoznacznie z Piknikiem Country organizowanym od 1983 roku w Mrągowie. I chociaż nie sposób odmówić Korneliuszowi Pacudzie, naczelnemu propagatorowi tej muzyki nad Wisłą, dobrych chęci i zapału, faktem jest, że koncerty przez niego firmowane mają jednoznacznie biesiadny charakter – w sam raz taki, by spodobać się publiczności, która na co dzień country nie słucha, ale przyjechała na Mazury, bo pogoda ładna, piwo tanie i muzyka niewymagająca myślenia. Ot, lepsze to niż festyn disco polo, ale gorsze niż... cokolwiek innego. Zresztą nawet w swojej ojczyźnie przez dobrych parę dekad country nie miało najwyższych notowań. Jajogłowi z obu wybrzeży, jeśli w ogóle przypominali sobie o współczesnych kowbojach, to głównie by się z nich natrząsać lub z równie litościwym, co ironicznym uśmieszkiem rozwodzić się nad tym, jak to zakonserwowane w XIX wieku poczciwiny z prowincji nie przystają do nowoczesnego, pędzącego w sobie tylko znanym kierunku świata. Najlepszym przykładem film „Nocny kowboj" Johna Schlesingera, ale i „Tajemnica Brokeback Mountain" nie budziłaby takich emocji (i w Europie rzeczywiście nie budziła), gdyby pod namiotem zamiast przedstawicieli najzdrowszego jądra społeczeństwa obściskiwali się pracownicy naukowi, mechanicy samochodowi albo murarze.



Jaki to festiwal? Z pewnością **nie Jarocin**

Jak trwoga, to do Boga

Od kiedy Elvis Presley zdjął kowbojki, artyści pop głównego nurtu rzadko cenili muzykę country, a już na pewno niechętnie się do tego przyznawali. Kiedy w 1969 roku Bob Dylan w kolebce gatunku nagrywał „Nashville Skyline", uznano to za prowokację, ale artystycznie uzasadnioną i ze wszech miar udaną. Jednak gdy Metallica niemal 30 lat później nagrała piosenkę „Mama Said" dedykowaną zmarłej matce frontmana, może wzruszyło to fanów w ich ojczyźnie, ale cała reszta stukała się w głowę z dezaprobatą. A gdy Madonna przywdziała kapelusz i zaczęła podkutymi buciorami wycinać hołubce na planie teledysku „Don't Tell Me" (2000), wszyscy dopatrywali się w tym nieistniejących pokładów szyderstwa. Lynyrd Skynyrd, Bon Jovi, Kid Rock – oni też czerpią z tego źródła pełnymi garściami, trudno jednak udawać, że uchodzą za arbitrów dobrego smaku.

U progu XXI wieku miejsce country było w skansenie i wszyscy wierzyli, że tam pozostanie. Łącznie z większością artystów wykonujących tę muzykę. Znakomita ścieżka dźwiękowa do równie pysznego filmu Coenów „Bracie, gdzie jesteś?" (2000) rozbudziła zainteresowanie odmianą country zwaną bluegrass, ale to była tylko sezonowa moda. Coś się jednak zmieniło rok później, po atakach terrorystycznych z 11 września. Bombastyczne przeboje pop nagle wydały się jakieś takie nie na miejscu. Rozbuchany indywidualizm w ciągu doby przerodził się w dotkliwą samotność. Amerykanie potrzebowali poczucia wspólnoty i wiary w to, że religia, rodzina czy patriotyzm mają sens. Potrzebowali country.

Nie oznacza to bynajmniej, że cały naród przerzucił się nagle z MTV na Grand Ole Opry*, bo mieszczuchom rozrywkę wieśniaków wciąż trudno było zrozumieć. Potrzebowali więc country, które wyjdzie im naprzeciw, na przykład przebojami, które poradzą sobie w konfrontacji z plastikowym popem. To zadanie doskonale wykonują takie gwiazdki jak Taylor Swift (która w tym roku była osiem razy nominowana do nagrody Grammy i zgarnęła cztery statuetki). Potrzebowali alt-country, które łączy klasyczną kowbojską nutę z alternatywnym, poszukującym brzmieniem. Nie wiem, może w Nashville uważają ich za odszczepieńców, ale to dzięki takim artystom jak Devendra Banhart, Bonnie Prince Billy czy Calexico przyznanie się do słuchania country nie oznacza już towarzyskiego samobójstwa.

Facet w Czerni

Najbardziej symptomatyczny dla wielkiego odrodzenia country jest jednak przypadek Johnny'ego Casha. Legendarny Facet w Czerni na początku lat 90. stracił kontrakt płytowy i zapomniany przez Boga i ludzi grywał po spelunach dla garstki widzów – zupełnie jak Bad Blake z „Szalonego serca". Pomocną dłoń wyciągnął do niego słynny producent muzyczny Rick Rubin, który wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzył, że Cash nie wyśpiewał jeszcze ostatniego słowa. I rzeczywiście, ich wspólne sesje wychodzące na płytach opatrzonych szyldem „American" nie tylko przypomniały o Cashu starym fanom, ale też podbiły serca zupełnie nowej publiczności. Największym sukcesem była płyta „American IV: The Man Comes Around" wydana – a jakże! – w 2002 roku, która pokryła się platyną po obu stronach Atlantyku.

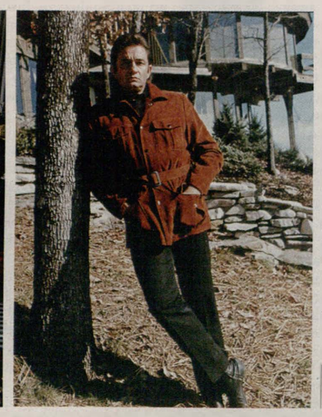
Nikogo więc nie zaskoczyło, że Hollywood wysmażyło mu hagiografię w postaci filmu „Walk the Line", a w teledysku do „God's Gonna Cut You Down" nakręconym tuż po śmierci Casha artystę żegnają nieutuleni w żalu Kanye West, Patti Smith, Justin Timberlake, Kate Moss, Bono, Jay-Z, Johnny Depp i cały tłum innych gwiazd.

Bo takiego country dzisiaj już nie wstyd słuchać. Wstyd go nie znać. □

REKLAMA







Dwie legendy country (i dwie skrajności): sexy-ciocia **Dolly Parton** *i obrażony na świat samotnik* **Johnny Cash**

Najsłynniejsza audycja radiowa country, nadawana na żywo z Nashville nieprzerwanie od listopada 1925 roku

FOT. GETTY/FPM (3), KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM, AP/BE&W



Niejeden już pisarz brał się do demolki naszych romantycznych mitów. Do legionu bluźnierców dołączył teraz **Paweł Goźliński**

TADEUSZ NYCZEK

Nasz morderca w Paryżu

Emigracyjno-antyromantyczny thriller Pawła Goźlińskiego nie spodoba się miłośnikom narodowej mitologii

Demontaż romantyzmu zaczął się niedługo po odzyskaniu niepodległości w 1989 roku. Kiedy Wielka Polska Rozpacz Dziejowa zaczęła powoli zarastać mniej depresyjną roślinnością niż ta denno-bagienna, w odstawkę poszedł mesjanizm, mit emigracji politycznej, narodowa martyrologia wyzwoleńcza. Ostatnim heroldem romantycznych idei został bodaj Jarosław Marek Rymkiewicz. Ale to, co napisał teraz Paweł Goźliński w debiutanckim „Julu", przechodzi ludzkie, a co najmniej polskie pojęcie. To nie jest demontaż romantyzmu. To jest demolka.

Goźliński ustawił sobie scenerię jak malowanie: Paryż lat 40. XIX wieku. W głównych rolach polscy emigranci popowstaniowi. W rolach drugoplanowych i epizodach lokalni Francuzi. Tyle że w „Julu" nie ma nic ze wzniosłych idei emigracyjnych ani wymarzonego Paryża, gdzie ma się dokonać wzmożenie polskiego ducha. Owszem, pomieszkują tu jednocześnie Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Cóż, skoro główny wieszcz awanturuje się z żoną wariatką i najchętniej przebywa z dala od domu, Słowacki jest chory, zazdrosny i zbzikowany na swoim punkcie, Krasiński wiecznie ironizuje. Nie ich życie jest tu jednak ważne, ale niektóre poetyckie frazy wierszy i dramatów wyzwalające cały łańcuch absurdalnych zbrodni, jakby morderca parodiował Mickiewiczowskie wezwanie do przekucia Słowa w Czyn. „Jul" bowiem to powieść także na poły kryminalna. Także – bo w istocie to hybryda różnych gatunków beletrystycznych, od brukowej powieści sensacyjnej po katastroficzną groteskę w witkacowskim stylu.



Paweł Goźliński „Jul", *Czarne, Wołowiec 2010, s. 384, 39,50 zł*

Każdy w tej perwersyjnej książce jest na swój sposób wykoślawionym wybrykiem natury, kultury i historii. Psychopaci, pijacy, karciani oszuści, narodowi zdrajcy, kurwy, mordercy, złodzieje, popaprańcy, nawiedzeni księża i naciągacze obojga płci... Zbieranina indywiduów opętanych sekciarskimi ideami zbawienia Polski albo po prostu wolą przeżycia na paryskim bruku jest tak odległa od romantycznego mitu Wielkiej Emigracji jak „Jul" od „Anhellego". Żebyż to tylko! Ktoś ma sparaliżowane pół twarzy, inny odstrzelone usta. Są syfilitycy, genetyczni mutanci, suchotnicy bądź chorobliwie otyli. Główny bohater śpi w prawdziwej trumnie przez siebie zaprojektowanej. Sposoby zadawania śmierci przez tajemniczego mordercę również należą do wyszukanych. Obcięcie dłoni i podpalenie delikwenta, upadek z wysokiego rusztowania w kościele, patroszenie ciężarnego brzucha i w miejsce noworodka wtykanie psiego szczeniaka.

Do tych cudnych obrazków dołącza sam Paryż. Czarne Chicago z czasów wojen gangów, ponure Los Angeles z kryminałów Chandlera czy gówno płynąca Warszawa z „Wieszania" Rymkiewicza to wesołe miasteczka przy Paryżu Goźlińskiego. Chcecie posmakować jego uroków? Proszę. „Przez cały rok tlem, towarzyszem, początkiem, celem i końcem wszystkiego jest tutaj błoto. Kiedy się rodzisz, wciska się do kołyski. Kiedy wiozą cię na cmentarz, w błocie od dołu do góry uwalany jest całun i złocona albo z desek sklecona trumna. Błoto jest na butach żałobników i chusteczce, którą wdowa podnosi do oczu. Przechodnie jako ostatnią pamiątkę dostają od ciebie strumienie błota tryskające spod kół karawanu. Ksiądz, kiedy cię żegna, palcem wybiera z ucha zaschniętą skorupę".

Tytułowy Jul to zarówno familiarny skrót od Juliusza (Słowackiego rzecz jasna), jak i spolszczony francuski lipiec, Juillet 1845 roku, główny czas akcji powieści. Książka jest drażniąca, prowokująca, miejscami nawet denerwująca. Może wywołać sporo nieporozumień. Wymaga bowiem nietypowej lektury – trzeba ją brać serio i niepoważnie zarazem. Tam, gdzie zmaga się z polską mitologią romantyczną i mentalną historią emigracji, ociera się wprawdzie o kolejny stereotyp – antyromantyczny tym razem – ale bywa prawdziwie drapieżna i przejmująca. Kiedy z husarską fantazją i językową ekspresją uruchamia groteskowo-westernowe przygody karykaturalnych bohaterów – trzeba przestawić dźwignię odbioru na lżejszy tor i czytać ją jak „Przygody barona Münchhausena" czy „Tajemnice Paryża". Wtedy wszystko się skleja i pretensje do autora o bieganie po tonacjach można odłożyć na inną okoliczność. □

FOT. JERZY NOGA/WYD. CZARNE, EAMON MCCABE/BE&W

MARTA MIZURO

Cały jestem czekaniem

Orhan Pamuk w roli trubadura

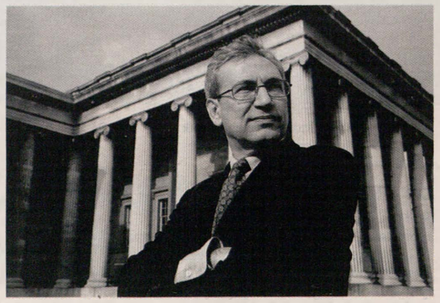
Jest rok 1975. Kemal, 30-letni syn bogatego fabrykanta, ma niebawem poślubić wysoko urodzoną Sibil. Tymczasem jednak spotyka swą daleką kuzynkę: niezwykle urodziwą, acz biedną 18-letnią Füsun. Mężczyzna skrzętnie korzysta z wdzięków dziewczyny i ostatnich chwil wolności. Tuż po wystawnej ceremonii zaręczyn jego kochanka znika „gdzieś w Stambule", a Kemal dochodzi do wniosku, że nie może bez niej żyć. Zrywa z narzeczoną i szuka Füsun, by po kilku miesiącach odnaleźć ją już jako mężatkę. Matka wybranki daje mu wszak do zrozumienia, iż powinien uzbroić się w cierpliwość. Przez osiem lat mężczyzna niemal dzień w dzień odwiedza ukochaną, która wraz z mężem mieszka u rodziców. Te wizyty stają się treścią jego egzystencji. Ponieważ długo nie może odzyskać miłości swojego życia, Kemal zabiera z jej domu różne drobiazgi, tworząc zaczątek kolekcji, która po latach trafi do osobliwego muzeum.



Orhan Pamuk „Muzeum niewinności", *przeł. Anna Akbike-Sulimowicz, Wydawnictwo Literackie 2010, s. 752, 42 zł*

„Muzeum niewinności" powstało już po uhonorowaniu Pamuka literackim Noblem. Turecki pisarz stworzył tę powieść jakby na złość tym, którzy twierdzili, że wybór Szwedzkiej Akademii Królewskiej miał charakter polityczny. Przekorę okazuje autor wręcz ostentacyjnie – przełom lat 70. i 80., kiedy toczy się akcja powieści, to w Stambule czas bardzo gorący, tymczasem bohater martwi się wyłącznie o to, by zdążyć wrócić do swojego domu przed godziną policyjną. A poza tym bez reszty pochłonięty jest kontemplowaniem każdego gestu i słowa Füsun, miejsc „kultu" oraz analizowaniem swoich uczuć do niej. I choć Kemal zdaje sobie sprawę ze swojej śmieszności (komentarzem do jego zachowania są tu kiczowate produkcje tureckiego kina tamtych czasów), nie daje za wygraną.

Czy da się bez znużenia śledzić ten miłosny trans przełożony na ponad 750 stron? Jak najbardziej. Nie tylko z zazdrością, że aż tak można kochać, ale przede wszystkim z zachwytem, iż tak wybornie można to opisać. Pamuk nie pierwszy raz dowodzi, że niezrównany z niego trubadur. Nie chcę powiedzieć ostatni, ale z pewnością jeden z ostatnich, którzy opiewają miłość równie czysto i pięknie. □



Pamuk *(tu przed British Museum) może być dumny ze swego „Muzeum"*

MISTRZOSTWO NA PIĄTKĘ WARTO MOŻE BYĆ ŚLABO DNO więcej recenzji na www.przekroj.pl

Dzieła i przetwory

Kultura masowa pod lupą Umberta Eco

„Apokaliptycy i dostosowani" powstali w 1964 roku i stanowili wkład młodego wówczas krytyka w dyskusję o kulturze masowej. Czy nasza cywilizacja stanie się wyłącznie obrazkowa – pytali wtedy „apokaliptycy" postulujący, by zamknąć się w okopach elitarności i mocą autorytetów powstrzymać zmiany. Dziś już wiemy, że ich pomysł był naiwny. A Eco (wyraźnie po stronie „dostosowanych") stawiał diagnozę, która wciąż wydaje się trafna. Jego zdaniem w idei powszechnego dostępu do kultury nie ma nic złego. Problem leży w trybie odbioru, który staje się typowo konsumpcyjny i rozrywkowy. Odbiorca nie oczekuje żadnej intelektualnej przygody ani nie poszukuje w dziele sprzymierzeńca w sporze ze światem. Co więcej, od bezpretensjonalnych, rozrywkowych komiksów czy kryminałów zdaniem badacza gorsze są dzieła, które udają sztukę i utrzymują konsumenta w przekonaniu, że jest człowiekiem wysokiej kultury. – *sf*



Umberto Eco „Apokaliptycy i dostosowani", *przeł. Piotr Salwa, W.A.B., Warszawa 2010, s. 536, 49,90 zł*

Mówić w końcu o sobie

Kobieta na życiowym zakręcie w przejmującej powieści Doris Lessing

Złota kolekcja

DORIS LESSING, LAUREATKĘ NAGRODY Nobla z 2007 roku, kojarzy się w Polsce i na świecie przede wszystkim z feminizmem. Ona sama próbowała z tym skojarzeniem czasem polemizować. Bynajmniej nie odżegnując się od nurtu literatury kobiecej, wskazując natomiast, że zdarzało jej się pisywać na tak wiele tematów, korzystać z tak różnych środków wyrazu, że ograniczenie się do wyławiania z jej prozy tylko wątków feministycznych dość poważnie zniekształcała obraz całego dzieła. Z całą pewnością jednak nie dotyczy to „Lata przed zmierzchem". Powieść ta bowiem mogłaby zająć oddzielną gablotkę w Sèvres pod Paryżem i spoczywać tam opatrzona podpisem „powieść feministyczna". I to jaka!

Bohaterką „Lata przed zmierzchem" jest 45-letnia Kate Brown, wzorowa gospodyni domowa z londyńskiego przedmieścia. Całe jej dotychczasowe życie podporządkowane było potrzebom dzieci i męża. Kate nie jest nieszczęśliwa: dzieci, relacje z mężem, ogród, nawet sukienki i bibeloty – wszystko to napawa ją swego rodzaju dumą. Poznajemy ją jednak w momencie, kiedy jej sytuacja życiowa gwałtownie się zmienia. Dorastające dzieci nie życzą sobie chwilami nazbyt czułej opieki, mąż nad życie rodzinne przedkłada karierę zawodową i przelotne romanse, a panią Brown ogarnia coraz większe poczucie pustki. Na domiar złego wskutek zbiegu okoliczności okazuje się, że Kate ma – po raz pierwszy w dorosłym życiu – samotnie spędzić wakacje. Kilka ciepłych miesięcy samotności napawa ją przerażeniem i bardziej z chęci zajęcia się czymś niż z rzeczywistej potrzeby pani Brown przyjmuje posadę tłumaczki konferencyjnej. Jej umiejętności planowania, organizowania i umilania życia wyćwiczone do perfekcji przez lata bycia panią domu okazują się bardzo przydatne w nowej pracy. Kate robi błyskawiczną karierę oraz wdaje się w romans. Właściwie w układ, który ma być romansem i remedium na poczucie odrzucenia, a okazuje się bolesną parodią namiętnego związku. Ale to dopiero początek bolesnej przygody odkrywania własnego potencjału. Nim minie lato, Kate wyjedzie do Hiszpanii, zapadnie na tajemniczą, wycieńczającą chorobę, będzie śnić sen w odcinkach, wreszcie wróci do Londynu, gdzie przez nikogo nierozpoznana po raz pierwszy w życiu zajmie się tylko sobą.

Ciekawym wątkiem książki jest sen, który bohaterka śni przez całe lato. Sen o foce, którą Kate za wszelką cenę usiłuje ocalić, dźwigając ją w stronę życiodajnego morza. Przed każdym, kto choćby raz i chałupniczą metodą bawił się w senną psychoanalizę, fantazja ta odkryje całe bogactwo znaczeń. W słynnej i świetnej „Biegnącej z wilkami" Clarissy Pinkoli Estés można zresztą znaleźć cały rozdział poświęcony analizie bajki o foce, który z pewnością rzuca dodatkowe światło na z założenia nieco zaciemnioną kwestię podświadomości Kate. Pani Brown ma również nader ciekawe kłopoty z komunikacją. Mimo że biegle operuje kilkoma językami, że każdy kolejny dialekt wydaje jej się dźwięczną łamigłówką, żadna mowa, żadne narzecze nie jest w stanie posłużyć jej do mówienia o sobie.

„Lato przed zmierzchem" to książka o formułowaniu zdania na własny temat – zarówno w sensie psychologicznym, jak i językowym. O odzyskiwaniu wolności w sytuacji, w której nie jest się do końca pewną, czy się ją straciło. O regułach, którym się podporządkowujemy, nic o tym nie wiedząc.

O tym, co leży i nie leży w tak zwanej kobiecej naturze.



Doris Lessing *„Lato przed zmierzchem", przeł. Barbara Rewkiewicz-Sadowska, W.A.B.*

„Lato przed zmierzchem" mówi o odzyskiwaniu wolności w sytuacji, gdy nie wiadomo nawet, czy ją się utraciło. O regułach, którym się podporządkowujemy, nic o tym nie wiedząc. O tym, co leży i nie leży w tak zwanej kobiecej naturze

REKLAMA



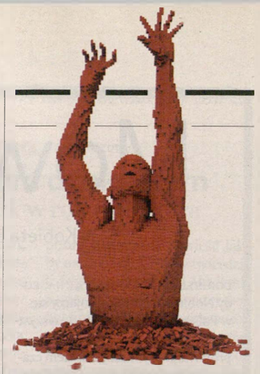
ŁADNE RZECZY!



Oto smukła, elegancka wersja barowa i zarazem **przyrząd do ćwiczeń** – aby się oprzeć, trzeba zaangażować mięśnie ud i łydek



Przedziwny giętki i miękki mebel kombinowany może być leżanką, siedziskiem, krzesłem albo **łóżkiem dla krasnoludka**

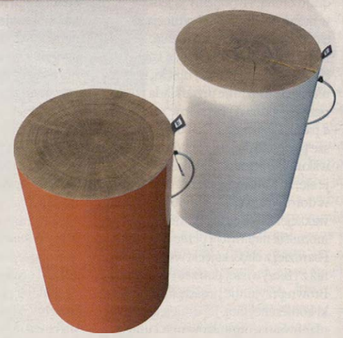


OLA SALWA

Siadać czy nie siadać?

Nowoczesne stołki i siedziska wprowadzają nas w konfuzję

NA PEWNO DOSKONALE ZNACIE KRZESŁA VITRY LUB Kartella zrobione z wysokiej jakości sztucznego tworzywa. Wyglądają jak tandetny plastik, wcale nie zapraszają do miłej chwili relaksu, ale dziś należą do klasyki dizajnu. Być może za kilka lat do tej zaszczytnej kategorii trafią mniejsi kuzyni krzeseł, czyli stołeczki i siedziska. Te najnowsze też najczęściej są wykonane z plastiku* lub innej substancji pochodzenia nieroślinnego, jak stal (czasem przełamane drewnem), a do tego mają dziwną formę. Nie wiem, co się stało z klasycznym modelem: płaskie siedzisko plus cztery nogi, które choć może nieco nudne, ale zapewniały dużą stabilizację. Dziś posługiwanie się tymi tradycyjnymi elementami jest meblowym odpowiednikiem czarnej sukienki za kolano lub prostego modelu dżinsów i uchodzi za przeżytek, a w najlepszym przypadku (czyli gdy nie chcemy nikogo obrazić) za „rzemiosło tradycyjne". Odważne próby formalne w wykonaniu dizajnerów wcale mnie zresztą nie dziwią – w przypadku tak prostego i funkcjonalnego mebla innowacja musi mieć ogromny rozmach, trzeba więc chwytać się niekonwencjonalnych środków. Bo co można zrobić – wyeliminować nogi? Po odjęciu dwóch nie można już usiedzieć. Nadać siedzisku formę półokrągłą lub bardzo je rozszerzyć? Też niewygoda i aneksja zbyt dużej przestrzeni. Z kolei wprowadzenie oparcia sprawi, że stołek lub siedzisko przejdzie samego siebie i stanie się krzesłem. A tego byśmy przecież nie chcieli. □



Polski klejnocik wśród prezentowanych przedmiotów, czyli drewniano-stalowy stołek, powstał w studiu Malafor. Uparci mogą zamienić go w stolik kawowy



Dizajnera Matthiasa Demackera **inspirowało origami**. Spokojnie, stołek nie jest wykonany z papieru, ale z pomalowanego aluminium



Splash jest dla ludzi uwielbiających robić kilka rzeczy jednocześnie i zmieniających zdanie, bo **może być stołkiem albo wazą**

W tym tygodniu główną rolę gra u nas plastik. Także w wersji zabawkowo-gadżeciarskiej, czyli klocków lego. Dla artysty Nathana Sawai są one tym, czym dla starożytnych rzeźbiarzy były glina, brąz lub marmur. Jego ulubionym tematem są postacie ludzkie, czasem zapadające się w klockowym bagnie, czasem z otwartą klatką piersiową. Nie ma tu mowy o klasycznej pozycji stojącej. Do swoich prac Sawaya zużył półtora miliona klocków. Jego wystawa „The Art of the Brick" (czyli „Klockowa sztuka") właśnie podróżuje po USA. Ciekawe, czy sam artysta ma dzięki niej zniżki na wizyty w Legolandzie?

FOT. B-LINE.IT (4), JAMES AMBLER/BARCROFT USA/BULLS, WWW.STEREODESIGN.PL

Na zdjęciu okulary przeciwsłoneczne SS 6848 z soczewką polaryzacyjną TAC i filtrem UV 400 oraz oprawki korekcyjne S 7741

www.solano-sunglasses.com

SOLANO
high-end performance

collection 2010
Dostępne w dobrych salonach optycznych

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI, BOGDAN KRĘŻEL

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:
SZARY UGRZĄZŁ W FORMULARZACH,
KURKIEWICZ JUŻ WRESZCIE MOŻE,
A KRZYŻÓWKA PODPOWIADA:
KAŻDY CHŁOP O NIĄ DBA – ROLA

Wymyślił i narysował **Marek Raczkowski**



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Czas przePITy, czyli w poszukiwaniu straconych pieniędzy

ROK TEMU SZARA STWIERdziła, że weźmie sprawy w swoje ręce i założy firmę. Teraz za to płaciła. – Nie sądzisz, że pracownicy urzędów skarbowych i Ministerstwa Finansów przypominają współczesnych artystów? Cały ich wysiłek idzie w to, by ich praca była bardziej niezrozumiała... – powiedziała do męża, ślęcząc nad jedną z deklaracji podatkowych. Bo by człowiek pracy mógł 1 maja swój trud świętować, dzień wcześniej musi wykonać nieludzką pracę.

Rodzajów formularzy PIT istnieje 37, choć dla ułatwienia niektóre z nich noszą nazwę IFT (może to skrót od opowieści urzędników skarbówek o co pikantniejszych wpadkach podatników, opowieści kończonych słowami „I wtedy...”?). Zważywszy, że w 2008 roku obowiązywało 29 rodzajów PIT-ów, a rok wcześniej 28, widać, że polskie finanse przeżywają złoty wiek. Nie myślcie jednak, że na tym koniec.

Za PIT-ami dumnie podążają CIT-y (14 rodzajów) gonione przez NIP-y (8), które czują na plecach oddech deklaracji VAT (14). Gdyby ktoś szukał prawdziwych wyzwań, powinien sięgnąć po deklaracje akcyzowe (25 rodzajów) lub tak zwane inne, wśród których znaleźć można rzadkie okazy o tajemniczych nazwach ORD, WZP, WZS, POG, PCC, SD, TYT, ZZ, DT, IKE. Każdy z tych białych kruków ma oczywiście kilka(naście) odmian i do wyboru kilka załączników. Gdy więc na stronie MF Szarzy zauważyli pod każdym z nich link „więcej”, nie odważyli się nań kliknąć, by nie stać się współczesnymi Józefami K. Nie chcieli otworzyć jakichś drzwi tylko po to, by wejść do innego korytarza z kolejnymi drzwiami. Link zaś „poleć znajomemu” według Szarych świadczył o tym, że nasi finansiści nie byli pozbawieni swoistego poczucia humoru.

Przed wizytą w US Szara bohatersko postanowiła zapoznać się z ustawą o PIT-ach, która okazała się zaskakująco podobna do Samanthy Geimer – mimo młodego wieku była niewiastą nad wyraz doświadczoną. Od swych narodzin w 1991 roku jest bez przerwy zmieniana. Niektóre jej artykuły znikają niczym jednodniowy trądzik, inne pojawiają się znienacka jak posłoneczne piegi. Jedne przepisy ustawy odsyłały Szarą do innych jej przepisów, te do kolejnych, które kierowały ją jeszcze gdzieś indziej, jak w jakimś borgesowsko-proustowskim labiryncie, z tym że ich działa były przynajmniej zamknięte, podczas gdy nasi ustawodawcy hołdowali zasadzie *work in progress*. Dlatego w jednym roku obowiązywały jedne zasady, w następnym zupełnie inne, ale potem triumfalnie wracały te pierwsze, w prawie identycznej formie.

– Boję się pomyśleć, co by było, gdyby wszystkie podatki miały jednakową stawkę i jeden formularz, gdyby nie było ulg i tajemniczych kwot wolnych od podatku. Tylu urzędników znalazłoby się na bruku... – powiedziała Szara, wypełniając kolejny załącznik do kolejnej deklaracji i oburzając się, że obietnica premiera o jednym okienku dla firm to oszustwo.

– Może chodziło o to – zagadbał Szary – że w jednym okienku możesz dostać i złożyć te wszystkie formularze? □

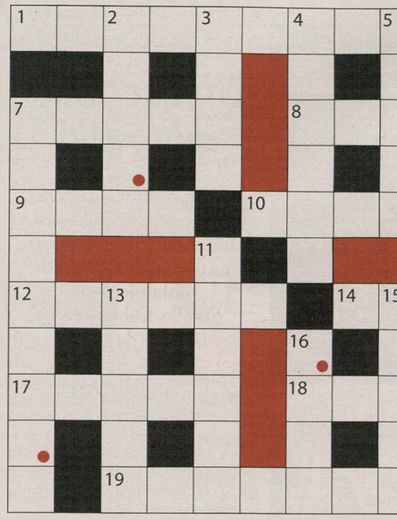
MYŚLNIK

Koronowani po koronacji już nie pochylają głowy.

Krzysztof Bilica

KRZYŻÓWKA NR 17

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest album The Nigel Kennedy Quintet! Słuchaj muzyki na stronie **www.youtube.com/emimusicpoland**



POZIOMO:
1. PUSZKA DLA OPUSZKA
7. TRYBIK W MASZYNIE
8. MA WŁASNE CUDZE ZDANIE
9. STOI PRZED KOMISJĄ
10. OMEN DOMEN
12. NIELUDZKA PRACA
14. KAŻDY ORZE, JAK MOŻE
17. ZMIENIA FAKTY W WIADOMOŚCI
18. NA BAKIER Z WOJSKIEM
19. BABY Z BABY

PIONOWO:
2. CIEKAWY WĄŻ
3. KAŻDY CHŁOP O NIĄ DBA
4. WYPATRZONY PRZEZ LUPĘ
5. BADYLARZ
6. OSTATNIA PRZYSŁUGA
7. OCZY INTERNETU
11. PODSTAWA FOTOGRAFII
13. LATA Z KOSZYKIEM
15. O RAJU!
16. CHULIGAN Z BIRMY

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

JOLKA NR 17

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 10-LITEROWE:
• W JESIENNYM WIELOBOJU
• KIERUNEK NA ŁONO

WYRAZY 9-LITEROWE:
• ZE STAREJ PŁYTY NAUKA PŁYNIE • TEN CI DOKTÓR ZBADA ODPÓR

WYRAZY 6-LITEROWE:
• WIĘCEJ NIŻ TRZECH KRÓLI
• UPRAWNIA DO ODEJŚCIA
• WPADŁA REMBRANDTOWI W AUTOPORTRET
• STARY MAZUREK
• CIĄGNĄ WÓZEK RUDOLFA V.
• NA ŚWIATŁO TAK, A INAK NA MAK
• SPĘD PĘDÓW
• WSPOMINA SKŁADKI
• NA ANTARKTYDZIE BRAK IM METRA
• KRETA OGLĄDA W SEZAMIE

WYRAZY 5-LITEROWE:
• DLA NIEJ TA CAŁA BAGATELA!
• DO PUSZCZANIA OK
• MIEJSKO POWIEDZIANE
• NAPRACOWAŁ SIĘ Z NIM ACHILLES
• MYLONY Z PROFESOREM TREBUNIĄ
• ZOSTAJĄ W DROGERII NA NOC
• NOBLESSE GO NIE OBLIGE
• ZAPADA BEZ POMOCY KOGUTA
• NA KLOPSY DLA KANONIERA
• TAM, GDZIE DOCHODZI ŚWIATŁO

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

E6_G1_C2_D10_K10_/J5_E12_J7_B6_K1_H2_/
I12_B12_A9_A3_F4_/D8_D2_K3_C10_H11_K12_A5_/,
F10_C7_/I11_H3_/C1_J9_I3_G5_/A8_F12_G9_/
A2_E10_A11_C9_J11_I7_K4_B4_

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
A	K						■			E		
B	■			■					■		■	
C					N							S
D	■		■	T	■	U	■		M			
E	■	E	■	■			R		■		■	
F						■	■	T				
G		■			S		■		■		O	■
H				S	■	B	■		■			■
I	C	■						A				
J			C	■		■		■		■		■
K		L			■			O				

ROZWIĄZANIA Z NR. 15

KRZYŻÓWKA: TRASZKA
Poziomo: 1. GRA PIERWSZE SKRZYPCE – DEBIUTANT 7. DRZEWOSTAN PO WÓDCE – KLOBA 8. CHOROBA NA MEDAL – ASTMA 9. STAJE W WODZIE – OKOŃ 10. PRZELEWA KREW – KOMORA 12. ODBIJA PIŁECZKĘ – LUSTRO 14. WYCHODZI PO ANGIELSKU – WALC 17. KOSADRZEWINA – WYRAJ 18. KRAKOWSKA KUPA – ULICA 19. ORGAN ŚCIGANIA – ŚLEDZIONA
Pionowo: 2. PIASEK PŁACZE DESZCZEM – BŁOTO 3. UI – URAZ 4. GRA W FILMIE BEZ TYTUŁU – AMATOR 5. MÓWI, ŻE ŻYJE – TĘTNO 6. SZAROPOMARAŃCZOWA – SZARAŃCZA 7. KROPLA W ŁÓDZI POTRZEB – KROPLÓWKA 11. PIERWSZE NA LIŚCIE – GRABIE 13. NAJSZYBSZY SKRZYDLOWY – STRUŚ 15. KARTKA POCZTOWA – AWIZO 16. NADWAG – TUSZ

JOLKA: FURMAN NIE MOŻE BYĆ KONIEM I ODWROTNIE (powiedzenie Lecha Wałęsy)
Rzędami: TREŚĆ, BOKSER, DZIEWICA, NAGUS, RÓWNOLEŻNIK, CIASTKARNIA, WYRKO, PERFIDIA, SMALEC, MYŚLI
Kolumnami: WŁOS, ROZMÓWCY, IRCHA, ŚREDNIAK, SOPLE, BILL, KURZ, ORANZ, ANDROIDY, STOG, UKOKIEL, REJS

Wygraj jedną z **10 płyt The Nigel Kennedy Quintet „Shhh!”**. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer **7243**. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa z dopiskiem: „jolka 17” lub „krzyżówka 17”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 4 maja 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

LAUREACI Z NR. 12

KRZYŻÓWKA:
Michał Bajka, Białystok; Maksymilian Hanysz, Milicz; Dorota Kawecka, Wałbrzych; Irena Machowska, Kraków; Janina Ozdowa, Płock

JOLKA:
Wiktor Gilas, Legnica; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Leon Małkiewicz, Branice; Damian Michałowski, Olsztyn; Andrzej Zaremba, Wrocław

FURIA. MONODRAM PEŁEN NIEWYSŁOWIONEGO NAPIĘCIA

Kino-teatrzyk PRZEMKA JURKA

WYSTĘPUJE: MEL GIBSON

MEL GIBSON *(przeglądając pismo „Variety”):*
Oto zaglądam w wyniki finansowe filmu zrealizowanego jak wszystko w Hollywood przez wiadomo kogo, w którym to filmie wystąpiłem po wielu latach przerwy w karierze aktorskiej, przerwy spowodowanej przez wiadomo jakie siły, i co widzę? Widzę, że jest cienko. I co w związku z tym robię?

(pauza)
Nic. Po prostu oddalam się z godnością.

Oddala się. Odgłosy dzikiej awantury za kulisami. Demolka. Brzydkie wyrazy.

KURTYNA zapada jak gdyby nigdy nic

LEWO MYŚLNIE

Już Jest czas mężczyzn i jest czas kobiet. Ale o tym, kiedy będzie czas kobiet, zadecydują mężczyźni

ROMAN KURKIEWICZ



FOT. BOGDAN KRĘŻEL

CZYLI JUŻ MOŻNA. JUŻ MOŻNA CHODZIĆ. JUŻ MOŻNA oglądać. Już można myśleć. Już można pytać. Już można kwestionować. Już można tańczyć. Już można jechać autobusem starą trasą. Już można czytać sondaże. Już można oglądać reklamy. Już można nie oglądać łez. Już można usłyszeć Lennona na pogrzebie. Już można się zastanawiać, co powiedzą dziś Jarosław, Bronisław, Waldemar, Andrzej. Już można nie słuchać salw. Już można odpocząć od czarnych wstążek. Już można się śmiać. Już można zobaczyć policję gdzie indziej niż na skrzyżowaniach, kiedy kieruje ruchem limuzyn. Już można zobaczyć kolor. Już można nie słuchać o majestacie. Już można się przyznać, że się nie widziało w nim męża stanu, męża opatrznościowego, odnowiciela, Lecha Wielkiego.

Już można się przyznać, że nasze żarty, gdyby je wziął na poważnie, mogły go ocalić. Już wolno zapytać, kto decydował. Już teraz trzeba zapytać, kto wymyślił Wawel. Już teraz trzeba rozglądać się dookoła. Już trzeba budować alternatywę. Już wolno, należy, już dobrze jest patrzeć przed siebie. Już dobrze jest myśleć do przodu. Już dobrze jest zaplanować. Już dobrze jest się oderwać. Już dobrze jest pobyć w ciszy. Już dobrze jest przekłuć balony, rozmrozić grad, podgrzać wodę. Już czas na podsumowanie. Już czas na inaczej. Już czas na inne. Już czas na otwarcie oczu, zamknięcie krypt. Już czas pożegnania z zaklęciami, już nie czas na zadumę, dumę. Już czas na zmianę.

Ale zmiany nie będzie. Bo krawaty, armaty, bukiety. Bo lawety, korwety, sztylety. Bo Polska mężna się poprężyła, bo Polska mężna nie przyznała się do słabości, bezradności, omyłkowości. Bo Polska jeszcze nie zginie, gdy Polki i Polacy giną. Ta podsmoleńska tragedia mogła być impulsem natychmiastowym. Ale nie będzie, bo trzeba już, natychmiast, zaraz, niezwłocznie, bezwzględnie. Bo nie ma czasu na namysł, bo był już czas na modlitwę.

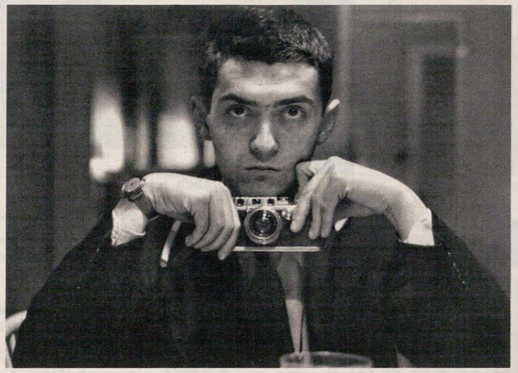
Wymódlmy sobie nową Polskę. Bo przecież jej nie wymyślimy, nie wypracujemy, nie wydziałamy. Wybierzmy nowego Pana Prezydenta, bo nie ma czasu na Panią Prezydent. Bo kto? W kolejce sami panowie. Eleganccy. Sprawdzeni. Doświadczeni. Kompetentni. Obeznani. Zasmuceni. Zatroskani. Odpowiedzialni. Silni. Męscy. Pewni. Wyprostowani. Nawykli. Odważni. Och, jakże odważni. Nie tchórze. Poprowadzą nas. Nasi pasterze. Nasi dowódcy. Nasze chłopaki.

A dalibyście spokój, Panowie. Odpoczęlibyście przed trudami kampanii, przed trudami rządzenia, przed trudami mówienia. Może czas, żeby powiedzieć, nie sprostamy, może ktoś inny lepiej, może nie dam rady, może trochę zwątpić we własną moc, może się odsunąć? Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie w tej chwili. Teraz ojczyzna woła. Swoich dzielnych Panów. Nie ma czasu, żeby wołać kogoś innego. Polska nie może sobie na to pozwolić. Polski na to nie stać. Polsce się to nie opłaci.

Czyżby? □

FOT. CLP RELAZIONI PUBBLICHE (3)





Pierwszą na świecie wystawę zdjęć Stanleya Kubricka do 4 lipca można oglądać w **mediolańskim Pałazzo della Ragione**



KUBA DĄBROWSKI

Nieruchome początki

Niektórzy pisarze zaczynają karierę od dziennikarstwa. Reżyserzy filmowi często na początku zajmują się dokumentem. Stanley Kubrick robił zdjęcia do gazety

1945 ROK, NOWY JORK. STANLEY KUBRICK ma 17 lat, z miernymi wynikami ukończył szkołę średnią i nie ma najmniejszych szans na dostanie się na studia. Sytuacja jest ciężka, chłopak musi zacząć na siebie zarabiać. Umie robić trzy rzeczy: gra na perkusji, nie jest jednak geniuszem i z jazzu raczej nie wyżyje; regularnie ogrywa w szachy staruszków przy parkowych stolikach, ale to szczyt jego możliwości w tej dyscyplinie; potrafi też robić zdjęcia.

13 kwietnia Kubrick fotografuje kioskarza płaczącego na tle gazet informujących o śmierci prezydenta Franklina D. Roosevelta, zdjęcie kupuje magazyn „Look". Niebanalne podejście do tematu podoba się redaktorom do tego stopnia, że proponują 17-letniemu amatorowi stały kontrakt. Stanley rusza do pracy. Z dnia na dzień przed chłopakiem z Bronksu otwierają się drzwi do wielkiego świata, zaczyna podróżować i ocierać się o sławy, fotografuje między innymi mistrza wagi średniej Rocky'ego Graziano i młodego Montgomery'ego Clifta.

W „Look" nie funkcjonują pojedyncze kadry, podstawową formą jest reportaż. Bohaterów śledzi się w różnych sytuacjach, później składa się z tego wizualną opowieść. Większość fotografów lubi polować na „mocne" klatki i narzeka na ten styl pracy. Kubrick przeciwnie – bardzo mu pasuje budowanie narracji. Zdjęcia stricte dokumentalne miesza z wypozowanymi portretami. Detale zestawia z kadrami akcji. Do każdego realizowanego projektu dobiera nowe środki wyrazu. Czasami fotografuje przy zastanym świetle, innym razem zabija słońce lampą błyskową. Estetykę dopasowuje do tematu. Reportaż o radiowozie stylizuje na film gangsterski, społecznie zaangażowana opowieść o nastoletnim czyścicielu butów to klasyczny „podpatrywany" dokument, portrety cyrkowców odrealnione są światłem flesza (podobne podejście będzie później stosował w swoich filmach).

W 1950 roku szkolny kolega Alexander Singer proponuje Kubrickowi nakręcenie kroniki filmowej. Fotograf ma zrobić to, co do tej pory dla „Look", z tą różnicą, że obrazy będą się poruszać. Zadanie wydaje się łatwe, a pieniądze znacznie większe niż w prasie. Powstaje szesnastominutowy dokument „Day of the Fight". Zafascynowany nowym medium Kubrick rzuca posadę reportera. Dalszy ciąg historii już znamy. □

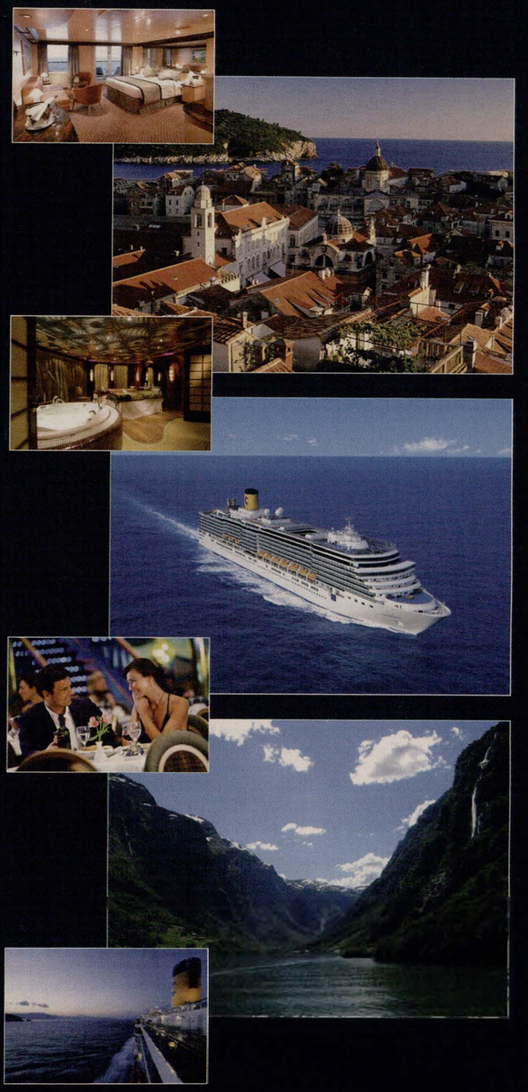
Nie sądzę, by pisarze czy malarze albo też filmowcy tworzyli, ponieważ chcą światu coś niezwykłego przekazać. Tworzą, bo coś czują

STANLEY KUBRICK

Marco Polo Travel®

PODRÓŻE Z WIDOKIEM NA MORZE

Niezapomniany urlop 2010 na horyzoncie !



MORZE ŚRÓDZIEMNE
CZĘŚĆ ZACHODNIA

8 DNIOWY REJS NA STATKU COSTA PACIFICA ****

Civitavecchia / Rzym ♦ Savona ♦ Barcelona ♦ Majorka ♦ Tunis
Malta ♦ Sycylia ♦ Civitavecchia / Rzym
terminy: marzec - listopad 2010

DUBAJ I EMIRATY

8 DNIOWY REJS NA STATKU COSTA DELIZIOSA ****
lub COSTA LUMINOSA ****

Dubaj ♦ Muscat ♦ Fujayrah ♦ Abu Dhabi ♦ Bahrain ♦ Dubaj
terminy: marzec - maj 2010, listopad 2010 - marzec 2011

FIORDY NORWESKIE

8 DNIOWY REJS NA STATKU COSTA DELIZIOSA ****

Kopenhaga ♦ Flam ♦ Hellesylt ♦ Geiranger ♦ Bergen
Stavanger ♦ Oslo ♦ Kopenhaga
terminy: czerwiec - sierpień 2010

Marco Polo Travel Sp. z o.o.
ul. Nowogrodzka 47A, Roma Office Center 00-695 Warszawa
tel. 022 622 00 82 (81)
www.marcopolo.com.pl ♦ www.rejsy.pl

Costa
CRUISING ITALIAN STYLE

REJSY
WAKACYJNE ♦ DLA ZAKOCHANYCH ♦ SPA & WELLNESS ♦ LUKSUSOWE ♦ EKSPEDYCYJNE ♦ TEMATYCZNE ♦ INCENTIVE

NETMEDIA



Darujcie mi ton nadto otwarty, ale i ja – jako i wy wszyscy – chciałbym i chcę żyć długo. Wbrew pesymistycznym gestom, makabrycznym pozom i straszliwemu lękowi od czasu do czasu miewam ochotę być na ziemi długo i w przytomności umysłowej; i nieraz w chwilach – tak jest – bezwstydnej rzewności i haniebnego roztkliwienia wyobrażałem sobie, że tak jak początkowi mojego życia towarzyszyła postać Andrzeja Wantuły, tak sędziwości towarzyszył będzie mój kuzyn, biskup Adam Pilch z Wisły

JERZY PILCH

7 KWIETNIA

ROZPATRUJĄC DZIEŁO SCHULZA OD STRONY SZANS NA ŚWIATOWĄ KARIERĘ, Gombrowicz napisał między innymi: „Jeśli rozpoetyzowanie tej prozy nie zmęczy zanadto, to olśni". Niewielkiej – praktycznie żadnej – korekty to drobne i niemal między wierszami rzucone spostrzeżenie wymaga. Otóż: męczy, ale olśniewa. Nie: jeśli nie zmęczy, to olśni. Przeciwnie: zmęczy i olśni. Udręczy i olśni. Męczarnie, a nawet kaźń zada i olśni. Bywają pisarze wielcy i udręczający – których się podziwia i w których za bardzo się nie wchodzi. Schulz jest tak wielki i tak udręczający, że niepodobna go opuścić.

8 KWIETNIA

W SUMIE OCZYWIŚCIE SZKODA, ŻE POMIĘDZY PARTIAMI poetyckimi a – właściwie nie wiem, jak te drugie nazwać – realistycznymi? nie ma zbalansowania, gdyby było, wtedy – wzrost nie wzrost – Schulz byłby poza naszymi, a może nawet poza kafkowskimi kategoriami.

Sławne pierwsze zdanie „Sklepów" ma balans nie lada. „W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich". Czytając wedle metodologii Wisławy Szymborskiej (Jakie ogary? Dlaczego poszły? Czyj las?) – łatwo zauważyć, że biblijna i muzyczna ta fraza wiadomości i konkretów podaje bez liku: kto, kiedy, w jakim celu wyjechał, kto został – praktycznie co słowo konkret; dopiero na sam koniec: płomienie, oszołomienie i żar – akurat tyle upalnej aury, by była, a nie przygniatała. Pierwsze zdanie „Sanatorium" już balansu nie ma, owszem piękne, owszem inaugurujące sławny wywód o Księdze, ale już męczące i długie.

„Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobojętnością transcendentu, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi zalśnić, zapachnieć tym dreszczem przestrachu, przeczuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka, przekracza pojemność naszego zachwytu".

Nie chcę być tani, ale istotnie „przekracza pojemność" – za dużo „rzeczy bez nazwy", za dużo nut – przepisałem, ale – wierzcie mi – nie chciało mi się przepisywać. Przepisywanie pierwszego zdania „Sklepów" – to była ucieczka czysta.

W ogóle „Sklepy" są wyrazistsze i mniej nużące od „Sanatorium". „Sklepy" są takie jak ich pierwsze zdanie i „Sanatorium" jest takie jak jego pierwsze zdanie. Czy do dziś nieodnaleziony „Mesjasz" był taki jak jego pierwsze zdanie? „Przyszedł Mesjasz – powiedziała matka – widziano go w Samborze". (Podaję wersję zapamiętaną przez Artura Sandauera – są inne, na przykład: „Widziano go 30 kilometrów od Drohobycza" – nie sądzę, by był to autentyk, konkret, ale za daleko idący; podawanie odległości do Mesjasza w kilometrach nie pasuje ani do wizji, ani nawet do – niesłychanego – poczucia humoru Schulza). Są inne warianty – przytaczam najlepszy. Jeśli taka była całość – mamy przepadłe arcydzieło.

Jeśli książka ta była gotowa, lub prawie gotowa, musiała być to proza zbalansowana i obfita w wiadomości i konkrety. Straszliwie silna – już o mityczności nie wspominam – matryca fabularna tej historii jest po prostu nie do napisania prozą poetycką. (Chyba że dla grafo, ale grafo da radę wszystko). Jakkolwiek to brzmi: nadejście Mesjasza to nie będzie sama poezja. To musi być pełna przygód i wydarzeń opowieść. Zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju prozą nie do końca włada, najprawdopodobniej był to podstawowy powód, że praca szła opornie, jak pisał w listach: „Mesjasza nie tykam".

A zatem „Sklepy" – wzlot. „Sanatorium" – regres. „Mesjasz" – kolejny, może nawet genialny wzlot. Równie widowiskowy, co wymierny: paczka z papierami po Schulzu, którą co pewien czas oferuje tajemniczy posiadacz, waży podobno około dwóch kilogramów. Nie wiadomo, co w niej jest, ale wiadomo, ile waży. Pełny – niczym w pierwszym zdaniu „Sklepów" – balans.

18 KWIETNIA

OSTATNI DZIEŃ ŻAŁOBY NARODOWEJ. CHYBA NIE ZDĄŻYŁEM zabitemu w katastrofie świętej pamięci Adamowi Pilchowi powiedzieć, że gada się z nim tak, jakby nie był – nic nikomu nie ujmując, zwłaszcza nic a nic nie ujmując moim współbraciom – luterskim księdzem. Za szerokie horyzonty, za błyskotliwa inteligencja, za daleko idąca wrażliwość. Pełen luz połączony z pełnym pryncypializmem.

Nieraz dawałem wyraz przeświadczeniu, że prawdziwy ksiądz nie musi za dobrze znać się na Panu Bogu, nawet z wiarą nie powinien przesadzać – musi i powinien znać się na ludziach. Mieli tę cechę najwięksi kapłani, z jakimi przyszło mi się zetknąć: Tischner czy Wantuła; miał ją – ośmielę się powiedzieć: w stopniu szczególnie wysubtelnionym – Adam. Subtelność, wrażliwość, wyczulenie to mogą być cechy w miarę dokładnie go opisujące; jaka z takich przymiotów jest droga do stopnia pułkownika – teraz pośmiertnie generała brygady – nie mam zielonego pojęcia. Dla rozumienia świata i ludzi są to, owszem, dary konieczne i wystarczające. Rozmawiało się z nim i miało się wrażenie, co tam wrażenie, miało się absolutną pewność, że ten dziwny ksiądz, że ten osobliwy ksiądz pastor, że ten niepojęty ksiądz pułkownik rozumie nie tylko każde słowo, ale i każdą w tym słowie literę, i każdy akcent.

Niekiedy rozmowy bywały – głównie z powodu mojej skłonności do awarii – awaryjne – może to wyostrzało odbiór; nawet jak wyostrzało, to nie wyczerpywało. Przy czym nie tylko gwoli uniknięcia laurkowej słodyczy, ale zwyczajnie: gwoli realizmu odnotować trzeba, że jego wszechrozumienie drugiego człowieka nie było tożsame z akceptacją; z jakąś tanią pseudoewangeliczną pseudodobrocią. Skąd! Adam od irytacji ani fundamentalnie nie był, ani okolicznościowo nie bywał wolny. Rozumiał kogoś też w tym sensie, że bez pomyłki mógł stwierdzić: rozumiem go, ale on nic a nic nie rozumie.

Ewangelicy, zwłaszcza starsi, uchodzą za znających Pismo; sam mam w tej książce jaką taką, kulawą, bo kulawą, ale orientację – Adam znał Biblię – powiedziałbym – ponadpokoleniowo, ponadwyznaniowo, ponadbibliograficznie. Daleki od dziecinnej wiary w cudowną moc biblijnych fabuł – był zarazem pewien ich szczególnej, nie literalnej, ale i nie metaforycznej siły. Polegał na tym, o czym w Ewangelii mówi się często, polegał na Słowie. Niepojmowanym jako czarodziejskie zaklęcie, jako opowieść czy jako bojowe hasło ludu Chrystusowego.

Jego, a chyba mogę też powiedzieć: nasz – jakby żył, nie dementowałby tej uzurpacji – Bóg nie mieszkał w niebie, domem jego, naszego Boga, był biblijny dyskurs.

W każdym razie orientację w Piśmie miał niewiarygodną; dzwoniłem nieraz z prośbą o lokalizację jakiegoś cytatu albo z pytaniem o jakiś mętnie zapamiętany akapit, co do którego niekiedy nie miałem nawet pewności, czy w ogóle jest w Biblii; obojętnie, gdzie go zastawałem, nawet jak prowadził samochód, odpowiadał natychmiast, bez zająknienia, a jak się pojawiał jakiś cień wahania, w tle słychać było pełen merytoryzmu głos jego żony, pastorowej Kornelii – nie tylko perfekcyjna znajomość Słowa Bożego tę parę łączyła.

19 KWIETNIA

NIE ZDĄŻYLIŚMY. NIE ZDĄŻYLIŚMY PRAKTYCZNIE Z NICZYM. O takich sielankach, że z Adamem – w przyszłości biskupem polskich lutrów – siedlibyśmy kiedyś w fotelach i obszernie pogawędzili o upiorności naszego ukochanego miejsca urodzenia, o Panu Bogu, o kolegach teologach i kolegach literatach, o toksycznych krewnych i o przyjaznym – wziąłem to spostrzeżenie od niego – sygnale ekspresu ruszającego z Wisły Uzdrowisko do Warszawy Centralnej – o takich idyllach nie wspominam nawet.

Darujcie mi ton nadto otwarty, ale i ja – jako i wy wszyscy – chciałbym i chcę żyć długo. Wbrew pesymistycznym gestom, makabrycznym pozom i straszliwemu lękowi od czasu do czasu miewam ochotę być na ziemi długo i w przytomności umysłowej; i nieraz w chwilach – tak jest – bezwstydnej rzewności i haniebnego roztkliwienia wyobrażałem sobie, że tak jak początkowi mojego życia, dzieciństwa i wczesnej młodości towarzyszyła postać Andrzeja Wantuły, tak sędziwości towarzyszył będzie młodszy wprawdzie ode mnie o kilkanaście lat, ale przecież wówczas też już wiekowy mój kuzyn, biskup Adam Pilch z Wisły. Dawałbym mu do czytania jakieś nowo napisane rzeczy, on by mi wytykał ewidentne potknięcia teologiczne, nie reagowałbym na to z przesadną wyrozumiałością, cóż ty, siedemdziesięcioparoletni smarkaczu, będziesz luterski włos na czworo rozdzielał – ach, od czasu do czasu pogadalibyśmy jak Pilch z Pilchem – pożarlibyśmy się mianowicie krwawo.

Nie zdążyliśmy. Jak to bywa przy śmierci nagłej, przy gromie z mglistego smoleńskiego nieba, a może nawet, jak to bywa, przy – o ile są takie – zwyczajniejszych odejściach – nie zdążyliśmy. Nie zdążyliśmy ani pogadać, ani się pospierać, ani nasycić przyjaźnią, ani nawet kuzynostwem.

20 KWIETNIA

ZAWSZE MNIE BAWIŁO DOCIEKANIE POKREWIEŃSTW, POWINnowactw i wszelkich możliwych więzi, jakiemu z fascynacją uwielbiali się oddawać starzy wiślanie. Nie zdążyliśmy zostać starymi wiślanami, nie zdążyliśmy też przeto – pochylając się nad genealogiami – nacieszyć nawet tak prostym i tak zarazem niezwykłym paradoksem, iż wbrew pozorom nazwisko Pilch wcale nas nie łączy – krewniakami jesteśmy po kądzieli. Babki nasze – Cieślarówny z domu – były siostrami i wyszły za dwu różnych i zupełnie z sobą niespokrewnionych Pilchów. Dla wzmożenia efektu była jeszcze trzecia siostra, która też wyszła za Pilcha, też, ma się rozumieć, niespokrewnionego z dwoma poprzednimi. Kto nie z Wisły, nie rozumie? Nie dziwota – ci ze świata rozumieją mało. Naprawdę nie rozumiecie? Przecież proste to jest jak drut: trzy siostry Cieślarówny wyszły za trzech różnych Pilchów. Dwie z nich były naszymi babkami, ich jednak mężowie – dziadek Adama Pilch i mój dziadek Pilch (znany w Wiśle jako stary Kubica) – spokrewnieni nie byli, ale ponieważ – co już zostało podkreślone – ich żony były siostrami, byli oni szwagrami. Drobną komplikacją tego czytelnego układu, a zarazem dodatkową naszą więzią jest to, że matka Adama – Hanka – jest wnuczką przyrodniej siostry mojego dziadka Pilcha (Kubicy), więc ta przyrodnia – z pierwszego małżeństwa – córka ojca mojego dziadka, i przez to siostra mojego dziadka Pilcha (Kubicy), Ewa też była z domu Pilch. (Potem po mężu Branc, jej zaś córka wyszła za Cieślara, ale innego, z ojcem wspomnianych na początku trzech sióstr, co za trzech różnych Pilchów wyszły, niespokrewnionego). Dla pełni (ale niezupełnej, bo są tu jeszcze liczne dodatkowe więzi) obrazu dodam tylko, że dwaj z tych Pilchów: mąż mojej babki i mąż babki Adama, nosili to samo imię Paweł, trzeci z nich nosił imię Jan, ale – co oczywiste – był w Wiśle znany jako Pieterek.

Nigdy się, Adamie, nad tymi wiślańskimi labiryntami krwi nie pochylimy – w sobotę idę na Twój pogrzeb. Odczekaj trochę, a jak Pan Bóg Ci wyjaśni, jaki popełniliśmy błąd w jego wizerunku – przyśnij mi się i przynajmniej z grubsza powiedz, o co w tym wszystkim chodzi. □

RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA BOGDANA KRĘŻLA

CZAS

HOZELOCK

nowe rozwiązania
komfort pracy



Zraszacze Aquastorm™ 360 zapewniają **równomierne** podlewanie powierzchni nawet przy **niskim ciśnieniu wody.**

Innowacyjne bębny do przechowywania węży wyposażone w unikalną **funkcję zwijania węża,** gwarantują sprawną, szybką i czystą pracę

Złączki typu SOFT TOUCH wygodne w użyciu, trwałe, **zapobiegają załamywaniu się węża**

Victus - Emak Sp. z o.o., 61-619 Poznań, ul. Karpia 37, tel.: +48 61 823 83 69, fax: +48 61 820 51 39, biuro@victus.pl, www.victus.pl

Delfin, Pelikan, Pantera

Sprawdź, która taryfa pasuje do Ciebie.



W Orange wiemy, że każdy z nas jest inny. Dlatego wprowadzamy trzy nowe taryfy, dopasowane do indywidualnych potrzeb.
Taryfy Delfin są dla tych, którzy lubią dużo rozmawiać i dlatego dostaną nawet 6000 minut na rozmowy z 5 numerami w Orange i stacjonarnymi. Dla tych, którzy wolą pisać, mamy taryfy Pelikan i nawet 5000 SMS-ów do Orange oraz nieograniczony dostęp do wybranych portali społecznościowych.
W taryfach Pantera wszyscy nieustannie poszukujący informacji dostaną do 1 GB na połączenia z internetem w swoim telefonie, a także nawet 1000 minut na intensywne rozmowy.

Czas na Orange

Szczegóły nowej oferty sprawdź w salonach sprzedaży lub na orange.pl.
Kupując w sklepie internetowym orange.pl dostajesz więcej.

orange